

# DUNCAN KYLE

FEDERAL INTELLIGENCE

AMBER MIZAR



SOBETSK TSNH N

# ŁODOWA KLATKA

# DUNCAN KYLE

Angielski autor powieści przygodowych skutecznie rywalizujący z Alistairem MacLeanem i Desmondem Bagleyem.

## ŁODOWA KLATKA

Chirurg John Edwards otrzymuje list nadany w Moskwie, a zaadresowany do profesora Edwarta, członka Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego. Pomyłka czy prowokacja? Edwards zostaje wplątany w spisek KGB, mający zmienić oblicze świata.



Cena det. zł 34 000.-

   
AMBER mizar

ISBN 83-7082-081-6

---

# DUNCAN KYLE

---

# KODOWA KLATKA

---

Przełożył  
JOTEŁ



Tytuł oryginału  
A CAGE OF ICE

Ilustracja na okładce  
TOM HALLMAN

Projekt okładki  
ADAM OLCHOWIK

Redaktor

KRYSTYNA GRZESIK

Redaktor techniczny  
JANUSZ FESTUR

Copyright © 1970 by Rupert Crew Ltd.

For the Polish edition  
Copyright © 1992 by Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
Publisher in cooperation with  
Wydawnictwo MIZAR Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-081-6

## PROLOG

Noc na pustkowiu. Arktyczny wiatr zbiera płatki śniegu z rozległej, gładkiej bieli i wyjąć porywa ze sobą. Żadnego więcej ruchu na martwej równinie śnieżnej, gdyż tutaj, trzy tysiące metrów nad poziomem morza, nawet zwierzętom przystosowanym do przetrwania zabraknie jednej z rzeczy koniecznych do życia: pożywienia. Jest więc tylko wiatr i śnieg, mróz i ciemność.

I człowiek.

Pod śniegiem jakiś ruch, drgnięcie. Mały pagórek nabrzmiewa, zarysowuje się i wreszcie przedziera się przezeń ciemny prostokąt, bezceremonialnie odwalający śnieg. Cofa się potem z rykiem i niknie w swojej jamie. Teraz u wejścia długiego i prostego tunelu pojawia się światło. Podłoga krystaliczna jak piasek, a na ścianach życiodajne arterie. Niosą energię, bez której człowiek umiera, i ciepło, bez którego nie może żyć; to one dają możliwość rozmowy z innymi ludźmi, wytopienia wody, podgrzania jedzenia i oziębienia drinków.

Camp Hundred.

Cztery lata temu podczas krótkiego lata Luke Chance nadjechał tu wielkim traktorem, który jak pociąg towarowy wlokł za sobą przycupnięte na nartach płozach wagoniki, zwane wanaganami. Był tam też śnieżny pług Petersa, podobny do tych, jakich w Szwajcarii używa się do odśnieżania dróg. Kiedy Chance wybrał już miejsce, pług zaczął wżerać się w lodową powłokę, rozkruszony śnieg odrzucając przez komin, tak że pęczniącą hałdą układał się wzdłuż krawędzi rowu. Gdy pług wkopał się już na piętnaście stóp, rów zwieńczono wypukłym dachem z blachy falistej, na który zwalono odgarnięty

śnieg. Jama była gotowa, teraz mogły się zacząć prace budowlane. Chance sprawdzał, planował, organizował, prowadząc szaleńczy wyścig, by zdążyć z Camp Hundred przed nadejściem zimy. A kiedy zima wreszcie przysła, on triumfował. Był tu od zawsze, udając, że nienawidzi tego, ale na rzadkie urlopy wyjeżdżał z wyraźnym ociąganiem. Standardowa służba trwała sześć miesięcy i ludzie opuszczali to miejsce z westchnieniem ulgi. Chance siedział w barze, mieszając ośmioletniego bourbona z liczącą sobie dwa tysiące lat wodą z głębinowej studni; za sobą miał dzień pracy, przed sobą wieczór z miłą perspektywą brydża.

— Wiadomość do pana, pułkownika.

Chance odwrócił się, wyciągając rękę. Odstawił szklaneczkę na ladę i dwukrotnie odczytał tekst, który informował:

DOWÓDCA HUNDRED — NIEZIDENTYFIKOWANY SAMOŁOT ZMIE-  
RZA W KIERUNKU HUNDRED OD STRONY MORZA — NIE ODPOWIADA  
NA SYGNAŁY — WEDLE INSPEKCI MYŚLIWCÓW CHYBA ROSYJSKI SA-  
MOŁOT TYPU „NIEDŹWIEDŹ” — AWARIA — TRACI WYSOKOŚĆ

— KONTROLA RADAROWA — CZEKAJ — MICHAELSON USAB\* THU-  
LE

— Jak z radiem, kapralu? — zapytał Chance.

— W porządku, sir.

— Spróbujcie złapać generała Michaelsona. Będę tam za chwilę.

— Tak, sir.

Spojrzał na kartę identyfikacyjną przyszytą nad lewą kieszonką na piersi kaprała.

— Hainey.

— Sir?

— To wygląda na początki zawieszony brody — wyszczerzył zęby. Kapral Hainey odwzajemnił się uśmiechem.

— Pracuję nad tym, sir.

— W porządku. — Chance zrobił gest szklaneczką, wypił bez pośpiechu, by dać Haineyowi czas, a potem wyszedł z klubu oficerskiego i przez główny tunel dotarł do pomieszczenia radiowego.

Hainey podniósł wzrok.

\* USAB — US Army Base (Baza Armii Stanów Zjednoczonych) — przyp. tłum.

— Szukają go, sir. — Chwilę nadśłuchiwał i rzucił: — Gotowe, sir. Słuchawki czy mikrofon?

— Słuchawki. — Chance chwilę odczekał, aż odezwał się głos;

— Generał Michaelson do pułkownika Chance'a.

— Wolę rozmawiać, niż odpisywać, sir — powiedział Luke. — Coś nowego o tym samolocie?

— Nie ma żadnej wątpliwości, że leci na was. Teraz opadł już na osiem tysięcy stóp; wysokości starczy mu jeszcze na czterdzieści mil. Jest około dwudziestu mil na wschód od was.

— To Rosjanin, sir?

— Trzeba się z tym liczyć. Jeśli spadnie...

— Chce pan, żebyśmy zobaczyli, co da się znaleźć?

— Tak. Przepraszam, Chance, ale to może być istotne.

— Saperzy są zawsze gotowi pomóc siłom lotniczym, sir — odrzekł Chance.

— Siedem tysięcy stóp, ten sam kurs. Miło z waszej strony, trzeba powiedzieć. Siły lotnicze potrafią to docenić.

— To nie jest konieczne, sir.

Michaelson krótko zachichotał.

— Może właśnie dlatego... Stale opada. Wydaje się, że już tylko wyglądają, gdzie by tu wylądować. Czekaj.

Chance zapalił papierosa w zamyśleniu. Pogoda na zewnątrz była mordercza; silny wiatr, zamieć, słaby księżyc. Obrzydliwa wycieczka, a jeszcze na dodatek żaden szlak nie był przetarty na północny wschód. — Nu, dawaj, tawariszcz. Nos do góry i wracaj do domu — mruknął.

— Niewiele więcej niż sześć osiemset — odezwał się Michaelson. A po chwili dodał: — Znikł z ekranu, Chance. Obawiam się...

— Jasne. Rozumiem, panie generale. Ale potrzeba nam przynajmniej dobrego namiaru.

— Właśnie ustalamy. BMEWS\* pracuje nad tym. Czekaj.

Po dwóch minutach przyszła namierzona pozycja. Chance sprawdził współrzędne na wielkiej mapie ściennej i sięgnął po przycisk mikrofonu.

— Tu Chance. Samolot spadł dwadzieścia dwie mile stąd, kierunek wschód—północ—wschód. Być może Rosjanin. Jedziemy. Chcę

\* BMEWS — Ballistic Missile Early Warning System (System Wczesnego Ostrzegania Pocisków Balistycznych) — przyp. tłum.

mieć jeden duży traktor, jeden osobowy wanagan, dwa buldożery i dwa — zawahał się przez chwilę, myśląc, ilu ludzi mogło być na pokładzie „Niedźwiedzia” — nie, trzy tchórze. Załogi do tunelu traktowego. Byłbym też wdzięczny, gdyby pan doktor zechciał wyłączyć swoje hi-fi i przyłączyć się do nas. To tyle.

Szybko ruszył do siebie, naciągnął long johnsa, spodnie wełniane Grenfella, kurtkę, futrzaną czapkę, puchową kurtkę z kapturem i wielkie białe buty filcowe. Teraz biegiem do garażu traktorów. Pod sufitem wirował wentylator, wypychając w noc opary dieslów. Spojrzał na osobowy wanagan przyciągnięty i zamocowany do wielkiego metalicznopomarańczowego traktora, rzucił okiem na małe, dygoczące tchórze i wskoczył do kabiny buldożera, który stał najbliżej wyjścia.

— Otwierać! — krzyknął. — Ruszamy!

Jego głos zniknął w huku silników, ale od czasów kawalerii gest uniesionej ręki znaczył „Naprzód!” We wszystkich pojazdach dłonie w podwójnych rękawicach chwyciły za dźwignie biegów. Konwój zaczął wytaczać się przez wielkie drzwi, prowadzące do końca ulicy Głównej i do szczytu podjazdu, gdzie spychacze obniżyły lemiesz, by odgarnąć śnieg. Operację tę nazywano w Camp Hundred „uprzątaniem schodków”. Ogrzewanie tłoczyło do kabin ciepłe powietrze, podczas gdy konwój wypełzał na powierzchnię.

Chance zastanawiał się, jak długo potrwa droga i w jakim stanie jest załoga samolotu. Nawet jeśli przeżyli upadek, to bez odpowiedniego ekwipunku i schronienia ludzie mogą przetrwać w Arktyce raptem kilka minut. Przez chwilę wyobrażał sobie, jak tam musi być, wstrząsnął się i zmusił do myślenia o dotarciu na miejsce wypadku. Dwadzieścia dwie mile; to nie wydaje się dużo i nie byłoby w jakichś normalniejszych warunkach. Mój Boże, niektórzy faceci potrafią przebiec taki dystans w dwie godziny. Ale warunki były jak najdalsze od normalnych i dobrze wiedział, że taka podróż może zabrać i tydzień: gdy droga zryta jest szczelinami, a wszechobecna białość redukuje widoczność nie do kilku jardów, nie do jarda, nie do cali, lecz — do zera. Ach, gdyby tak można było wysłać same tchórze, zwinne pojazdy osobowe na gąsienicach, by tam powęszyły. Mogłyby dotrzeć szybciej niż w godzinę. Ale równie dobrze mogłyby nie dotrzeć, zamiast tego znikając w jednej z głębokich szczelin, które płynny ruch skorupy lodowej stale zamykał i otwierał, wiatr zaś pokrywał zdradzieckimi kładkami



cienkiego śniegu. Nagle waliłeś się w to, zanim sobie w ogóle zdałeś sprawę, że jest. To dlatego oba spychacze i traktor były połączone ze sobą. Ostatecznie, gdyby pierwszy pojazd nagle się zapadł, pozostałe dwa wytrzymałyby nacisk i nawet gdyby nie mogły go wyciągnąć, to potrafiłyby go utrzymać do czasu, aż załoga wygramoli się bezpiecznie na wierzch.

Sznureczek pojazdów sunął przed siebie; kierowcy wlepiali oczy w szyby, by dostrzec zarys poprzednika. Pomiędzy pełniami, w trwającej pięć miesięcy nocy, niewiele można było dojrzeć oprócz śnieżnych deseni miotających się w światłach reflektorów.

Po pięciu milach Chance włączył radio.

— Chance do Hundred. Chance do Hundred. Odbiór.

— Hundred do pułkownika Chance'a. Dobra słyszalność. Wedle naszych namiarów odchyliście się o dwa stopnie na południe.

— Dwa stopnie?

— Dokładnie tak, sir.

Chance opuścił mikrofon i nachylił się do kierowcy.

— Wykręć trochę w lewo, Jablonsky. Jedziemy za bardzo na południe. — Spojrzał na kompas, żałując, że nie można na nim bez reszty polegać. Pod tą szerokością kompas miewał nieprzewidywalne odchylenia z racji bliskości magnetycznego bieguna północnego. Po paru minutach dał ręką znak, by wyprostować kurs, i znowu rzucił do mikrofonu:

— W porządku, Hundred?

— Tak jest, sir.

— Pilnuj kursu, Hainey. Będę się zgłaszał co minutę.

— Zrozumiałem, sir.

Przez siedem mil jechali równo, Chance zgłaszający się co sześćdziesiąt sekund i czekający na decyzje dotyczące kursu. Szło im całkiem dobrze: dwanaście mil w niewiele ponad godzinę...

Nagle spychacz szarpnął rzucając go na przednią szybę. Gruba futrzana czapa i kaptur zamortyzowały trochę siłę uderzenia, ale i tak zabolalo. Wcisnął się z powrotem w fotel, walcząc z siłą grawitacji. Jablonsky, przypięty pasami, zareagował błyskawicznie, odłączając silnik od gąsienic, ale buldożer nachylony był teraz pod kątem czterdziestu stopni.

Chance czekał, modląc się, by nic się nie przydarzyło linie napiętej teraz do ostateczności. Spojrzał przez boczną szybę na nietknięty śnieg, a potem przez przednią na białą ścianę rozpadliny skrzącą się w świetle reflektorów. Nie sposób było w tej chwili ocenić jej głębokości, ale reflektory omiatały dobre dwadzieścia stóp. Przyszło małe szarpnięcie, potem drugie, i snop światła uniósł się odrobinę. Można było tylko czekać w nadziei, że kierowcy traktora i drugiego spychacza nie poluzują żadnej z lin. Działając razem, ciągnąc wolno i mocno, nie powinni mieć wielkich trudności, ale był to rodzaj operacji dużo łatwiejszej w opisie niż w wykonaniu.

— Dać wsteczny na gaśienice, sir?! — krzyknął Jablonsky.

— Jak poczujesz następne szarpnięcie. Ale ostrożnie, Jablonsky, żebyś, na Boga, nie rozpieprzył krawędzi.

Białe filcowe buciory i wielkie wyczucie, jakie było potrzebne, żeby ponadmetrowe gaśienice nie pożarły sprasowanego śniegu, na którym się teraz opierali. Siła odpowiednia, by się odepchnąć, ale za mała, by zerwać śnieg. To wszystko. Spoglądając na dłonie i stopy kierowcy manewrujące dźwigniami i pedałami, poczuł lekką zmianę położenia kabiny. Znowu zerknął na ścianę szczeliny, po której powoli wspiwały się światła, ukazując linie między warstwami osadowymi wyznaczającymi lata. Cofali się.

— Trzymajcie tak, Jablonsky! — Gaśienice nie ślizgały się i cal po calu wypełzali. Czekał, czując pot na karku. Niewiele brakowało; ciężar spychacza był ogromny, a śnieg pod nimi ciągle dość miękki. Gdyby lemiesz się oderwał i zwałił w rozpadlinę, buldożer mógłby polecieć za nim, a szarpnięcie mogłoby zerwać linę. Raz jeszcze się udało. W chwilę później rzuciło go na oparcie fotela, gdy spychacz wyrównał do poziomu, Jablonsky dodał gazu, a gaśienice ze zgrzytem wgrzyły się w powierzchnię śniegu.

— Dobra. Stop.

Chance otworzył drzwi, poczekawszy, aż masywna gaśienica zatrzyma się, postawił na niej nogę, zeskoczył i celowo stając w świetle reflektorów ruchem ręki przywołał resztę maszyn, każąc im zatrzymać się parę jardów od krawędzi szczeliny. Ze skrytki z narzędziami w swoim spychaczu wyjął latarkę na pasku, zaświecił ją i przerzuciwszy wokół ramion linę asekuracyjną ruszył powoli do brzegu rozpadliny. Wszystko zależało teraz od tego, jak jest głęboka. Mogła mieć parę,

ale i kilkaset stóp; długa na kilka jardów albo ciągnąca się milami. Przy długich, głębokich szczelinach ryzyko było ogromne. Jedynym wtedy sposobem było obejście, ale przez cały czas nie odstępowało cię niebezpieczeństwo, gdy z tyczką w rękę starałeś się wytropić jej bieg i wiedziałeś, że być może wdepnąłeś na kładkę śnieżną i już za chwilę znikniesz wszystkim z oczu. Podchodząc do krawędzi, ostrożnie i mocno wwiercał stopy w śnieg. Mostek był teraz mało prawdopodobny, ostatecznie brzeg szczeliny wytrzymał ciężar spychacza. Ostrożność jednak zawsze popłacała. Czując, jak luzuje się lina asekuuracyjna, szarpnął nią, by przypomnieć tamtym o naprężeniu, a potem skierował snop światła w głąb rozpadliny. Trzydzieści, może trzydzieści pięć stóp głębokości, ściany zbiegające się w dół. Trochę gorzej, niż przypuszczał, ale nie tak znowu źle, jak mogłoby być. Szeroka może na piętnaście stóp.

Zawrócił i wydał polecenia Jablonsky'emu i Martinowi, kierowcy drugiego spychacza, a potem usadowił się w ogrzewanej kabinie, przyglądając się, jak pracują. Mający piętnaście stóp wysokości lemiesz buldożera mógł za każdym razem zagarnąć osiem do dziewięciu metrów sześciennych śniegu — coś około tony — spychając je w kierunku rozpadliny, wwalając w nią i stopniowo zasypując. Spojrzał na zegarek. Stracili już dwadzieścia minut, a wypełnianie i ugniatanie szczeliny zabierze jeszcze co najmniej godzinę. Nie dałby złamanego grosza za szanse kogokolwiek, kto uwiązał tam w lodowym pustkowiu.

Po chwili wysiadł znowu i pomaszerował nad skraj. Oba spychacze radziły sobie bardzo dobrze i śnieg piętrzył się całkiem wysoko, na razie jednak zasypywane było wąskie dno rozpadliny, czym wyżej jednak, tym postępy będą coraz wolniejsze. Odwrócił się gwałtownie, gdy ryk silnika obwieścił ponowne zbliżanie się Jablonsky'ego, i poczuł na twarzy smagnięcie wiatru. Pospieszenie obrócił się do niego plecami i zaciągnął sznurki kaptura tak, że został w nim tylko niewielki otwór. Oddech ogrzeje wewnątrz kaptura i twarz będzie teraz bezpieczna od ukąszeń zimna.

Wielkie silniki dieslowskie porykiwały w ciemności, gdy maszyny niestrudzenie posuwały się w przód i w tył, a każdy przemarsz potężnego lemiasza wsypywał w szczelinę kolejne zwały śniegu. Chance wiele już razy tego zakosztował. Niecierpliwość prowadziła donikąd. Kierowcy dwoili się i troili, ale przypominało to napełnianie wiadra za pomocą łyżeczki od herbaty. Najlepszym rozwiązaniem było pozwolić, by rzeczy toczyły się swoim biegiem, i nie patrzeć zbyt często:

dogładana rozpadlina nigdy nie chciała się zapełnić. Jeśli udało się przez chwilę zająć myśl czymś innym, wtedy powrót nad krawędź był naprawdę przyjemny i dodawał otuchy, że tyle już udało się zrobić. Wywołał Camp Hundred.

— Zapytajcie Thule, czy był jakiś sygnał z wraku samolotu — zwrócił się do Haineya. — Powiedzcie, żeby nasłuchiwali w całym paśmie częstotliwości.

— Zrozumiałem, sir.

Począł, a w kilka minut później odezwał się Hainey.

— Stacja przechwyty pokryła ich, jak tylko zniknął ślad radarowy. Żadnego sygnału.

— W porządku, Hainey. Koniec.

Czekając zapalił papierosa; chciał wyjść i zajrzeć, ale kazał sobie siedzieć, aż pozostał mu tylko calowy niedopałek. Żadnego pożytku z pośpiechu, gdyż taka sama szczelina, albo i większa, mogła czekać sto jardów dalej, a wtedy wszystko zaczęłoby się od początku. W końcu wyrzekał się z kabiny, raz jeszcze umocnił kaptur i podszedł do krawędzi. Śnieg był już bardzo blisko brzegu i za kilka minut powinien się z nim zrównać. Chance stał więc przyglądając się, jak podchodzi do góry, a ponieważ czuł, że mróz zaczyna się do niego dobierać, przytupywał nogami i wymachiwał rękami dla pobudzenia krwi. Kierowcy nie potrzebowali żadnych pouczeń, obojdwaj robili to już wielokrotnie, więc nawet teraz, gdy poziom śniegu zrównał się z brzegami szczeliny, dalej go podsypywali, aby miało się co zapadać, gdy wjadą na niego maszyny. Podczas gdy góra śniegu rosła, Chance kontrolował swe ciało, poruszając dłońmi w rękawicach, palcami stóp w butach i wykrzywiając mięśnie twarzy. Mróz wślizgiwał się w człowieka i dlatego był tak groźny. Pierwsze zdrętwienie brwi, nosa, kości policzkowych czy brody było zbyt nieznaczne, by je zauważyć.

Teraz śnieg wyraźnie już wybrzuszał się ponad szczeliną; Chance poczekał jeszcze, aż wzniesie się na pięć stóp, i ruchem ręki przywołał jeden z tchórzy. Ten szybko nadjechał i zatrzymał się u brzegu rozpadliny. Chance podszedł i otworzył drzwi.

— Powolutku, po stopie, nie więcej. Będzie osiadał pod wami i wasz spód może się osunąć. Jeśli tak się stanie, wyłączcie silnik i czekajcie, aż was wyciągniemy.

— Tak, sir.

Tchórz poczekał, aż lina połączy go z traktorem, a potem zbliżył się do zwału śniegu. Nos podniósł się, pchany przez gąsienice do przodu i do góry, a potem zaczął łagodnie opadać, gdy śnieg osuwał się pod jego ciężarem. Znowu nos do góry przy następnym kroku i powolne osuwanie się. Dość szybko dotarł na drugą stronę, ale tchórze były lekkie, miały nie więcej niż dwie tony, tymczasem spychacze i traktor ważyły po dwadzieścia. Chance przywołał tchórze, by powrócił drogą równoległą do pierwszego przejścia, a następnie znowu posłał naprzód buldożery do nagarnięcia śniegu. Powtórzył całą operację pięciokrotnie, zanim ośmielił się zaryzykować z ciężkimi pojazdami. W końcu jednak znowu był w kabinie Jablonsky'ego.

— No, Jablonsky — powiedział — przydepnijcie trochę.

Zlany potem kierowca poruszył dźwigniami i buldożer pojechał powolutku do przodu. Dotarł do krawędzi, wtoczył się na usypany śnieg — moment przerwy — i przód odrobinę się obniżył.

— Jedną stopę do przodu — powiedział Chance. Nos spychacza zapadł się jeszcze bardziej. Teraz było jakieś dziesięć stopni. — Jeszcze parę kursów ze śniegiem — orzekł Chance, a Jablonsky wrzucił wsteczny bieg i wycofał się z rozpadliny.

Kilka minut później przekraczali most, który oznaczyli piętnastopowymi chorągiewkami, głęboko zarytymi w śnieg.

Kiedy wszyscy już byli na drugiej stronie, Chance nakazał gestem jazdę. Spojrzał na zegarek; od chwili opuszczenia Camp Hundred minęły dwie godziny. Nie było najmniejszej szansy, by ktokolwiek mógł przetrwać, ale miał rozkaz dotrzeć do wraku, a jego konwój był w stanie to zrobić.

Toczyli się uparcie przed siebie, a nawigator z Camp Hundred utrzymywał ich na kursie. Raz jeszcze zatrzymała ich rozpadlina, ale tym razem miała niecałe dwanaście stóp głębokości i spychacze zappełniły ją w kilka minut.

Czterdzieści minut później Chance spojrział na zegarek: musieli już być w pobliżu, a wedle Haineya ściśle trzymali się kursu. Włączył reflektor na dachu i powolnym łukiem penetrował przestrzeń przed sobą. Widoczność nie przekraczała dwustu jardów, a Bóg jeden wiedział, jak daleko sunęła po lodzie rozbita maszyna. Kazał Jablonsky'emu stanąć, wysiadł i ustawił pojazdy w tyralierę. Było to

niebezpieczne przedsięwzięcie, wszystkich wystawiające na ryzyko, ale nie było innego sposobu, jeżeli w ogóle mieli odnaleźć samolot.

Sześć pojazdów rozrzuconych co sto jardów ruszyło powoli przed siebie. Chance patrzył na kłębiące się w strumieniach światła tumany śnieżne i myślał, ile czasu potrzeba, by zniknęły wszystkie ślady po rozbitym samolocie. Jeśli kadłub i statecznik zostały zgniecione, to już mógł przykryć je śnieg, ale zwykle po kraksie coś jednak pozostawało na wierzchu: skrzydło, sterczący w niebo ogon...

Kilka minut później tchórz na lewym skrzydle dał znak światłami; wykręcili w jego stronę, a po chwili Chance zobaczył z daleka głęboką rysę, którą mógł wyźłobić jedynie duży obiekt szorujący po lodzie. Pytanie tylko, w którym kierunku. Ponieważ jednak łatwiej było posuwać się do przodu, niż wracać, podążył za śladem na prawo. Przy padkiem miał rację. Po dwustu jardach w reflektorach ukazał się żałosny palec wskazujący w niebo. Teraz szybko ruszyli ku niemu.

Odrzutowiec rozpadł się na kawałki i nie sposób było powiedzieć, jak wiele rozrzuconych szczątków znikło już pod śniegiem, niemniej długi kadłub, tył złamany i odgięty, leżał jak masywna, ciemna rura.

Nie grozi już chyba pożar, pomyślał Chance. Albo wrak zdążył się wypalić, albo ogień w ogóle nie wybuchł. Kiedy Jablonsky podprowadził spychacz do samej burty samolotu, Chance wyskoczył z latarką w rękę.

Wdrapał się ostrożnie na strzaskany kadłub, starając się nie zaczepić o wyszczerzone, porozrywane blachy, i poświecił sobie. Nic ciekawego, tylko sterta beczek, może po benzynie. Skierował się wolno ku kabynie pilotów, odciągnął strzaskane drzwi i wcisnął się do środka.

Było ich pięciu; przymocowane do foteli, groteskowo powyginane ciała. Obu pilotów rzuciło do przodu i przewieszali się teraz przez swą uprząż. Radiooperator leżał obok fotela; nawigator niemal dotykał podłogi, a jego arkusze gwałtownie powiewały w podmuchach wiatru wdzierającego się przez rozbity przednią szybę. Twarz ostatniego mężczyzny, siedzącego za pilotem, została rozgnieciona o siedzenie przed nim.

Było jasne, że nikt nie przeżył uderzenia, co — pomyślał Chance — było ich szczęściem. Gdyby to mogło od niego zależeć, wolałby roztrzaskać się, niż zamarać na śmierć, trwożnie wyglądając pomocy, a zarazem wiedząc, że nawet jeśli nadejdzie w tym zapomnianym przez Boga miejscu, zawsze jest to za późno.

Wycofał się z kabiny i wrócił na koniec kadłuba. Ciała się zbierze, zawiezie do Camp Hundred, skąd samolot weźmie je do Thule, a dalej — do domu, pewnie do Rosji...

Traktor przyciągnął już wanagan i ustawił się wzdłuż kadłuba. Po kilku minutach zwłoki były wyswobodzone z pasów i wydobyte z wraku. Chance raz jeszcze wszedł do środka. Nigdy dotychczas nie był w rosyjskim samolocie i z zaciekawieniem myszkował po wnętrzu, ale nie znalazł nic szczególnego. O ile mógł się zorientować, był to po prostu samolot wojskowy, ciekawy jedynie z uwagi na swą państwowość.

Dał sobie w końcu spokój. Skrzydła, oderwane i odrzucone o kilkadziesiąt jardów, były już prawie niewidoczne pod śniegiem. Dziwnie jakoś było pomyśleć, że te martwe, zimne przedmioty niosły w górze pięciu ludzi przez polarną noc; płomieniste dysze z wyciem zmierzały na spotkanie śmierci. Rozejrzał się w lewo i prawo, dostrzegając garby silników częściowo pokryte już bielą, które wkrótce miały zniknąć na zawsze w grenlandzkim pustkowiu.

Nagle potknął się, omal nie upadając. Spojrzał, by sprawdzić, o co zawadził. Długa połyskująca rura o rozwidlonym zakończeniu. We współczesnej aparaturze wszystko mogło służyć do wszystkiego, jemu jednak przypominało to urządzenie do spryskiwania roślin, jakie widział kiedyś na farmie w Kentucky. Cokolwiek tu robili, z całą pewnością nie opylali upraw!

Po dwóch godzinach byli z powrotem w Camp Hundred; traktory milczały w garażu, ciała spoczywały w tunelu magazynowym, a Chance znów zmierzał ulicą Główną do klubu oficerskiego. Wszedł, zamówił old grandad i pociągnął mały łyk. Potem jego spojrzenie pobiegło w dół. Na białym filcu butów śnieżnych widniały oleiste plamy. Nie, to nie był olej. Przeciągnął ręką, która także zrobiła się czarna. Przez chwilę patrzył zdumiony, zanim zrozumiał.

Po prostu węgiel. A jednak musiał być pożar. Może tylko jednego silnika.

Dokończył drinka, wiedząc, że czeka go jeszcze pisanie raportu...

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie był to z pewnością miły wieczór. Przez cały dzień śnieg przepłatał się z zimnym, zacinającym deszczem, aż w końcu pogodziły się, łącząc siły. Przez dwadzieścia coraz bardziej mokrych i beznadziejnych minut łapałem taksówkę, ale wszystkie puste udały się tam, gdzie znikają taksówki, gdy nadchodzi parszywa pogoda, a pozostały tylko te, które na tylnych siedzeniach wiozły zadowolonych z siebie szczęściarzy. Można tak było zabawiać się całymi godzinami: z nową nadzieją schodzić na jezdnię na widok żółtej taksówki, by po chwili, widząc, że zajęta, czym prędzej odskakiwać, zanim zdąży rozłożyć Spod opon wachlarz wodny, próbując cię nim przykryć.

Pierwsza strata jest najmniejsza, mruknąłem do siebie i pomaszrowałem; ciężki płaszcz przydawał mi wagi, ale za to ze zdecydowanie lekkich spodni krople ściekały do butów. Kiedyś człowiek ubierał się Odpowiednio do pory roku, ale chłopaki od serii produkcyjnych i od marketingu — zwłaszcza ci ostatni — doszli do wniosku, że interes wymaga pewnego urozmaicenia.

Teraz w lecie, gdziekolwiek wejdiesz, klimatyzacja owiewa cię zimnymi podmuchami, w zimie natomiast podpieka cię ciepłem. Być może korzystnie wpływa to na sprzedaż płóciennych spodni w zimie, a tweedów w lecie, ale z pewnością nie zwiększa ogólnej pomyślności.

Z Grand Central jest kawałek drogi na East 75, ale już po chwili jesteś tak zmoczony, zziębnięty i diablo zawzięty, że stajesz się obiektem godnym zainteresowania Masocha. Lubię pokoik na Siedemdziesiątej Piątej Ulicy, ale dziś, mówiąc szczerze, wolałem, żeby to



była Czterdziesta Szósta. Kiedy tam więc dotarłem, pragnąłem tylko drinka i gorącej kąpieli — w tej właśnie kolejności — zanim ponownie wychnę, tym razem z ekwipunkiem, który mnie pozwoli ochłapać paru zmokniętych przechodniów.

Wszedłem przez wahadłowe drzwi, otrząsając się jak ogar z kąpieli, i ruszyłem prosto do windy.

— Ach, profesorze Edwards — usłyszałem głos Boba.

Stanąłem w pół kroku. Wygrzebywał się ze swej wartowni z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Doktor Edwards zupełnie wystarczy.

— Tutaj stoi profesor — list na wyciągniętej dłoni, spiczasty paznokiec na wskazującym palcu. — Gratulacje. Nie mogło to trafić na porządniejszego faceta.

Bob i ja byliśmy tu jedynymi Anglikami, bardzo mi więc nadskakiwał i to w taki sposób, bym czasem tego nie przeoczył. Wziąłem od niego stosik listów i niemal biegiem puściłem się do windy. Woda skapywała ze mnie na dywan, ale od dołu unosił się błogi strumień ciepłego powietrza. Zdjąłem kapelusz i upajałem się ciepłem przez jedną koma cztery sekundy, potrzebne windzie na osiągnięcie mego piętra. Mając przed sobą perspektywę ciepłej kąpieli, wydobyłem klucze jak Bat Masterson, wpadłem galopem i odkręciłem wodę.

Rzuciłem listy na blat, powiesiłem płaszcz na rozgrzanej szafce i zaordynowałem sobie dwie miarki J&B z półmiarką wody. Wychyliłem połowę porcji i zacząłem zdejmować ubranie. Jeśli jest w życiu coś przyjemniejszego od popijania dobrego scotcha w gorącej kąpieli, będę zobowiązany temu, kto mi powie, co to takiego. W przyszłej małej monografii o urokach kąpieli podkreślę, że ani ośle mleko, ani wszystkie perfumy Arabii nie mogą się równać z prostą, sybarycką rozkoszą ciepła na zewnątrz i ciepła wewnątrz.

Wyganianie chłodu z ciała zabrało jakieś dziesięć minut, ale dla pewności przeznaczyłem na to pół godziny, od czasu do czasu pokręcając kurki stopą, zaprawianą do tej czynności od chwili, gdy równolegle uczyła się chodzić. Po wyjściu z wanny owinąłem się szlafrokiem, ale po przetarciu z pary szkła zegarka zorientowałem się, że czas nieubłaganie umyka. Co prawda nie byłem jeszcze spóźniony, ale pewne przyspieszenie było nader wskazane. Pomaszerowałem do sypialni, gdzie czekały na mnie wszystkie te miłutkie suche skarpetki

i czyste koszule, a po drodze przypomniałem sobie o listach, mimochodem zastanawiając się, któż to mianował mnie profesorem.

Na szczycie list od Reader's Digest, obiecujący mi życie w niewyobrażalnych rozkoszach, jeśli nabędę stertę płyt niezapomnianych mistrzów koncertowych; dalej szło natychmiast rzucające się w oczy żądanie pieniędzy dla elektrowni. Dwie broszurki ubezpieczeniowe i pakiecik różnokolorowej literatury, w której zgodny chór towarzystw farmaceutycznych nie tyle prosił, ile domagał się, bym poświęcił im parę minut mego cennego czasu. Miało to być ponoć konieczne do utrzymania mych pacjentów w dobrej kondycji. I korzystne. Nie precyzowali dla kogo. Tak czy inaczej, trafili kulą w płot. Nie miałem żadnych pacjentów. Jakiś komputer wywęszył gdzieś magiczne „dr”, dał znać wszystkim innym komputerom, no i wpadłem pod papierowy prysznic. Do diabła z tym. Przejrzę później.

Pogrzebałem w szafie i wybrałem przyjemny, stonowany garnitur, aby medyczni akademicy mogli być spokojni, że ani nie jestem postrzelencem, ani nie zamierzam podrywać ich żon. Ubrany w trenaż szykowałem się już do wyjścia, gdy mój wzrok padł na lustro. W trenażu przewiązanym paskiem i w kapeluszu nie sposób nie wyglądać jak kiepska imitacja starego, nieodżałowanego Bogeya. Zacisnąłem pięść wystawiając palec wskazujący i odciągając pięść. „Rączki”, powiedziałem. „Perfesorze”, dodałem. Nie pamiętam w czym, ale gdzieś tak mówi. W każdym razie w głowie zapaliło się światełko; wróciłem do biurka i odszukałem list. W rzeczy samej stało na nim PROFESSOR EDWARD, FAGS \*. W trzech słowach trzy błędy; po pierwsze byłem tylko doktorem, po drugie na nazwisko miałem i mam Edwards, z „s” na końcu, po trzecie nie jestem geografem, lecz chirurgiem. Wszystko wskazywało na skacowanego operatora męczącego się przy jakimś terminalu i wyrzuciłbym pewnie kopertę do kosza, gdyby nie pieczętka z napisem Mockba. Wysłane dwa tygodnie temu. Chciałbym zobaczyć tego — spóźnionego czy nie — kogo nie zaintrygowałaby taka pieczętka.

Podważyłem kciukiem taśmę, rozerwałem kopertę i wyciągnąłem małą broszurkę. Cisnąłem kopertę do kosza i obejrzałem przesyłkę.

\* FAGS — Fellow of American Geographical Society (Członek Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego) — przyp. tłum.

Była wydrukowana po rosyjsku, tak że nie wiedziałem, o czym była ani kto ją wysłał. Przekartkowałem, ale nic to nie dało: żadnego listu czy choćby karteczki z pozdrowieniami. Wsunąłem książeczkę do kieszeni, żeby mieć czym ożywić wieczorne rozmowy.

Zjechałem windą do garażu w podziemiach; siedzenia MG niezmiennie wąziutkie. W dawnych dobrych czasach nic to nie znaczyło; duży lincoln nawet by nie zauważył, wessawszy mnie do chłodnicy wraz z powietrzem. No, ale wtedy byłem jednym z tych zagorzałych sportowców, którzy lubią sami przerzucać biegi, wpatrzeni w licznik obrotów, by uchwycić właściwy moment. W każdym razie byłem rad, że starczyło mi rozsądku, aby przystać na normalny dach. MG rozkosznie warknął i ruszyłem. Pomrukując przesuwiał się między innymi samochodami, by wreszcie ruszyć rampą na ulicę. Wykręciwszy z podjazdu, skierowałem się przez miasto do parku. Zgodna współpraca śniegu i deszczu została zakłócona. Temu drugiemu w oczywisty sposób marzyła się zawieja i został potraktowany jako słabszy partner. Duże, nabrzmiące, rozmokłe płatki osiadały na szybie, odkładane na boki przez wycieraczki, ale nic z nich nie pozostawało na jezdni, mokrej, błyszczącej i zdradzieckiej. Wszystko to nie polepszało widoczności, zwolniłem więc do trzydziestu mil na godzinę. To ohydna prędkość dla małego wozu z ręczną skrzynią biegów, ponieważ nigdy nie wiesz, czy jechać na trójce, czy na czwórce i miotasz się jak kocur między dwoma fotelami przy kominku. Na czwórce już czujesz się winny poślizgu, w który zaraz wpadniesz, na trójce ciągle się zastanawiasz, po co, u diabła, marnujesz tyle paliwa. Dla mnie to jedyny argument za automatyczną przekładnią i taki jest, jak sądzę, powód, dla którego ludzie z metropolii albo mają automat, albo dają sobie w ogóle spokój z samochodem. Ja jednak nie byłem facetem z metropolii; wychowałem się na wsi i przywykłem do jazdy po drogach, gdzie liczyło się zawieszenie, zabawa z biegami i kręcenie kółkiem. Miałem też nadzieję, że kiedyś powrócę na te drogi zamiast zdążać przez wąwozy Manhattanu do parku pełnego zboczeńców, gwałcicieli i ćpunów, a dzięki drapaczom na East Side będę nieustannie uprzytamniać sobie, że te drzewa i trawa są tylko intruzami pośród stali, szkła i wyczelowanych kamieni.

Nigdy nie wjeżdżam do parku — zwłaszcza o zmroku — bez wzniesienia wcześniej malutkiej modlitwy, by żadna kropelka wody

nie padła na głowicę rozrządu i by do układu paliwa nie dostał się żaden brudek, który mógłby zablokować gaźnik.

Zatrzymanie się w Central Parku w nocy to murowane kłopoty; czyhające tu odpady cywilizacji obrabują cię ze wszystkiego, a na odchodne skopią dla zabawy. Zastanawiałem się czasem, czy sami kolesie boją się tu wchodzić. Czy — jeśli nikt się nie pojawi — zaprawiają jeden drugiego?

No więc pojawiłem się ja, myśląc o nadchodzącym wieczorze. Sztynna formalność kolacji nowojorskich nie daje się porównać z żadnym innym znanym mi miejscem. Może jeszcze gorzej jest w Nowej Anglii, ale, mówiąc szczerze, ani nie znam Nowej Anglii, ani niezbyt tego pragnę; gustuję w luźnych biesiadach. Dżentelmeni lubiący o sobie myśleć jako o wodzach nowojorskiej medycyny zawsze przypominali mi butelki, które wydobywali na te okazje z piwnicy: pokryte pajęczyną, skorupą kurzu i nader wiekowe. Ich pokryte skorupą kosmetyków żony miały zwyczaj zwracać się do ciebie per „młodzińcze”, a mówiły zawsze jakby z dużej litery. Wiele z nich z uporem wspinało się na szczyty towarzyskie i wspinanie się weszło im w nawyk. Trzeba się nieźle nałazić, by znaleźć bardziej wredną drużynę — męską czy żeńską — establishmentu medycznego. Było odrobinę dziwne, że nie włożyłem smokinga, choć może nie całkiem, jako że w ogóle go nie miałem. Gdyby w zaproszeniu podkreślono nieodzowność smokinga, musieliby się obyć beze mnie.

Ruch był całkiem znośny. Myślę, że ci, którzy dotarli do domów, Woleli raczej zostać — tu martini, a tam piecyk — i przerzucali kanały, uciekając przed reklamami. To znacznie lepsza zabawa od oglądania programów i kiedyś przez całe dwadzieścia trzy minuty udało mi się nie natknąć na żadne zachęty ani żadnego sponsora. Tak czy inaczej, sunąłem sobie łagodnie przez park, słuchając wiadomości i rozmyślając, czy będzie coś mocniejszego od sherry, kiedy nagle z wyciem wyjechał zza mnie samochód na pełnych światłach. Odbiły się od wstecznego lusterka, podniosłem więc rękę, by przysłonić oczy, ale za późno: zostałem oślepiony. Odruchowo zwolniłem i przycisnąłem hamulec, nawet przy trzydziestce nie mając ochoty wpakować się czołowo na drzewo. Zorientowałem się, że jego reflektory przesuwają się w lewo i pomyślałem, że nawet jeśli złamał zakaz wyprzedzania w parku, to skoro zwolniłem, przynajmniej mnie nie zahaczy.

Zahaczył. Mijając mnie wielki sedan poszedł w bok, tylnym zderzakiem twardo i głośno waląc w bok mojego MG. Świat zatańczył, a ja straciłem orientację. Fatalnie oślepiony rozpaczliwie kręciłem kółkiem, by trzymać się tego, co wydawało mi się linią prostą, i z całych sił przydeptywałem hamulec. Chwała niech będzie tym dziesięciocelowym hamulcom ze wspomaganiami; chwyciły twardo i równo, natomiast stanąłem, bez poślizgu.

To wtedy rozleciała się przednia szyba. Była przede mną, przejrzysta na tyle, na ile pozwalał śnieg i wycieraczki, i w jednej chwili pokryła się mgłą odłamków. Zacząłem walić w nią pięścią wybijając kawałki szkła; przez dziurę, niewyraźnie, gdyż oczy ciągle niewidziały, zobaczyłem oddalające się światła sedana. Uderzyłem jeszcze kilka razy w szybę, robiąc jakąś dwudziestocelową dziurę, i spojrzałem dokoła. MG stał w trawie, zupełnie zjechałszy z drogi, ale ciągle był na czterech kołach, a silnik pracował. Dałem wsteczny; znalazłszy się na jezdni przerzuciłem biegi, poganiając zwinne autko w nadziei, że dorwę faceta, który mi przywalił.

Śmiało mogłem to sobie darować. Niezależnie od faktu, że z parku było więcej niż jedno wyjście, koleś ruszał z lotnego startu, a poza tym musiał nieźle przycisnąć swojego czterolitrowca, jak tylko się zorientował, że mnie trącił. Nie bardzo też wiedziałem, za czym mam się rozglądać, nie było pewne, czy na jego samochodzie będą jakieś znaki, a poza tym to nie takie łatwe przyglądać się prawemu tylnemu zderzakowi samochodu przed tobą. Wyjeżdżając z parku czułem zimno na twarzy, zimno na rękach, na desce pełno było mokrego śniegu, który bez przeszkód wlatywał przez rozbitą szybę, nastrój więc miałem dość parszywy. To jeden z tych bohaterów, pomyślałem, wpadnie w poślizg, wleci na ciebie i zjeżdża czym prędzej, żeby tylko uniknąć kłopotów z nowojorskim kolegium i towarzystwem ubezpieczeniowym. Tak sobie w każdym razie pomyślałem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Sherry było całkiem w porządku. Bardzo wytrawne. Pamiętam, co mówiła w takich razach moja szkocka babcia: ściągało ci pośladki. Jeden tyk i przez parę minut przechadzałeś się z zapadniętymi policzkami, cała bowiem ślina w pośpiechu wracała do miejsc, skąd wychodzi, a kubki smakowe kurczyły się, porażone na chwilę wprawdzie, ale za to totalnie. Pochodziło z Hiszpanii, a gospodarze odczuwali pewnie jakąś skruchę z tego powodu, gdyż wszystkie pozostałe płyny były krajowe. No więc Alles Amerikanischer Hock z Kalifornii, najpewniej butelkowany przez Towarzystwo Niemiecko-Amerykańskie, w celu uprzytomnienia wszystkim zasług Hitlera; no więc nader gęsty płyn utoczony gdzieś na północy stanu Nowy Jork: to jego musiał mieć na myśli Nelson Eddy, gdy z takim przekonaniem śpiewał „Do diabła z burgundem”.

Konwersacja była mniej więcej tak samo milutka. Nie należą do lekarzy, którzy uważają, że kilka lat nauk medycznych gwarantuje wieczystą nieomylność, ale żeby skończyć studia, trzeba przynajmniej parę razy zamigotać szarymi komórkami. Uzyskanie doktoratu wymaga starannego wymazania zawartości umysłu. Tu zaś były wszystkie tuzy Amerykańskiego Towarzystwa Lekarskiego, niektórzy z listą tytułów na tyle długą, że trzeba było przewrócić stronicę informatora, a uwaga ich skoncentrowała się na Johnnym Carsonie. To prawda, że ceny akcji Xerox Corporation obsunęły się dziś o pół centa w stosunku do pakietu Col Sanders, ale tylko z tej przyczyny, iż świat zgłupiał i schodzi na psy. Jedna z dam zapytała, co mnie sprowadziło do Stanów,

ale gdy zacząłem jej wyjaśniać, myślami była już gdzie indziej.

Miły wieczór, który nie tylko nic nie dał, ale był wręcz ogłupiająco nudny. Tak, znam i zasadniczo popieram obyczaj, by przy stole jadalnym nie wspominać o dwunastnicy, a płyn lędzwiowy trzymać z dala od rżniętych kieliszków, miałem jednak nieśmiałą nadzieję, że może gdzieś na zapleczu znajdzie się odrobinka miejsca dla muzyki, powszechnej służby zdrowia czy nawet etycznych problemów transplantacji. Tymczasem godzinami odpowiadałem z wyraźną bezmyślnością „tak, tak” orłu białoczubemu z lewej i rzucałem równie głębokie „mhm” w kierunku jaskrawo ubarwionej papugi z prawej. Nie było niebezpieczeństwa, że coś nie będzie pasowało; żadne z moich rozmówców nie oczekiwało ani dyskusji, ani sprzeciwu. Mogłem więc sobie dowoli rozmyślać, jak wiele śniegu nabiera się w MG. Pokryłem szybę gazetą, którą przytrzymywały wycieraczki, ale jak Nowy Jork Nowym Jorkiem nie zabraknie przyjaznej duszy mającej na tyle bystrości umysłu, by usunąć ekran.

Koło północy, kiedy doszli do tego, co to Johnny powiedział Candice Bergen i jak gracko ta udaremniła błyskotliwy gantbit, pomyślałem, że jeśli moja twarz nie ma na zawsze zastygnąć w grymasie grzecznego zainteresowania, który był jej coraz bardziej niemiły, potrzebna jest jakaś zmiana.

„Tak wcześniej?”, zakrzyknęła gospodyni głosem urobionym przez długą praktykę z zupełną jednak obojętnością w oczach; gospodarz, król geriatrii, który bez wątplenia zawodowymi zainteresowaniami mógłby zacząć już obejmować samego siebie, wymruczał coś w rodzaju „...zobaczenia, chłopcze”, po czym drzwi stanęły otworem, a ja — uwierzcie mi — nareszcie byłem wolny, wolny, wolny. Bardzo podobne musi być uczucie, kiedy się opuszcza San Quentin.

Śnieg ustał; nuda była widać powszechna. Parę razy zaczerpnąłem powietrza do płuc, zacisnąłem pasek płaszcza i na początek policzyłem koła mego MG. Tym razem były wszystkie cztery. Gazeta naturalnie zniknęła, ale musiała dotrzeć niemal do chwili, gdy przestało śnieżyć, gdyż w środku nie potrzeba było szpadla. Niemniej woda nader szybko przeniknęła przez płaszcz i spodnie. Bardzo gorąco pragnąłem, bym nie stracił na starość panowania nad pęcherzem. Kiedy po rampie zjechałem do garażu, okazało się, że los obdarzył mnie

dwoma szerokimi i promiennymi uśmiechami. Nie tylko wolne było miejsce parkingowe koło windy, ale i ona sama z otwartymi drzwiami stała sobie na dole. Gładkim wężowym ruchem przemieściłem się z auta do windy i nacisnąłem guzik. Nie każdy jest takim szczęściarzem; czyjaś pięść załomotała w domykające się drzwi. Jedną z zalet wind automatycznych jest to, że zwalniają cię one od świadczeń na rzecz dobrych manier.

Drzwi windy otworzyły się na górze, ja zaś, klucze mając już w pogotowiu, wkroczyłem do swego apartamentu, jak zwykle odczuwając miłą dumę posiadacza. Mówiąc ściślej, nie tyle posiadacza, ile, jak by to powiedzieć, wynajmowacza. Oto ja, John Edwards, z Kendal w hrabstwie Westermorland, a to mój apartament w dzielnicy wschodniej, mój tak długo, jak długo będę mógł za niego płacić.

Ale miła duma raptownie zniknęła, a ja poczułem się tak, jakby zimno i lepkość z siedzenia spodni rozeszły się po całym ciele. Nie wchodziłem dalej; zamknąłem drzwi i nacisnąłem znajdujący się koło windy guzik wzywający personel. Podczas mojej nieobecności ktoś był w środku i może ciągle się tam znajdował. A jeśli tak, to mógł mieć przy sobie bardzo różne rzeczy, od noża i obrzynka poczynając, a na haubicy kończąc. Nie jestem przesadnie nerwowy, ale w takich sytuacjach lepiej mieć oparcie w jakimś przyjacielu.

Wspomagałem trochę Boba i oto nadszedł czas wzajemności. Kiedy winda nadjechała, Bob wybiegł z niej, choć przez chwilę nie byłem pewien, czy to na pewno Bob, gdyż głowę i jedno oko miał zakryte bandażem. Drugie oko połyskiwało gniewnie. Bob Roberts był emerytowanym londyńskim policjantem; przyjechał do Stanów, aby być bliżej córki. Niełatwo go było zirytować.

— Co się stało, u licha?

— Ktoś mi przywalił — powiedział. — Zabrali klucze. Nie wiem, do którego lokalu, może lokalów. Dobrali się do pańskiego, panie profesorze?

Znów chciałem go poprawić, ale nie była to dobra chwila.

— Tak — odrzekłem. — Z panem wszystko w porządku?

— Tylko rąbnęli mnie w głowę. Nic mi nie jest. Coś zginęło?

— Nie wiem. Otworzyłem drzwi i czym prędzej je zamknąłem.

Bob krzywo się uśmiechnął i wyciągnął małą kopię nocnej pałki policjantów nowojorskich.



— Batonik — powiedział. — Tak na wszelki wypadek.

Za nic na świecie nie chciałym stanąć z tym naprzeciw faceta z pukawką, ale Boba to jakoś nie kłopotowało. Otworzyłem drzwi i weszliśmy, zapalając wszystkie światła. Przez tamtą chwilę dostrzegłem tylko pościel rozrzuconą po podłodze i spodziewałem się totalnego bałaganu, lecz niesłusznie. Mieszkanie zostało przejrzane i nie uległo wątpliwości, że zrobiono to starannie, ale nie było rozgardiaszu. Obe- szliśmy wszystkie pokoje, zaglądając do wszystkich szaf, kimkolwiek jednak był sprawca zamieszania, już się oddalił.

— Brakuje czegoś? — zapytał Bob.

Rozejrzałem się. Chyba nie. Srebrna papierośnica, która kiedyś należała do ojca, leżała otwarta na biurku, tak jak ją zostawiłem. Zajrza- łem do sypialni, gdzie nieruszone połyskiwały złote spinki do mankie- tów. Poza tym nie mam żadnego Rembrandta.

— Na ile widzę, to nie.

— Może jakieś środki, sir — zasugerował Bob. — Trzyma pan tu jakieś?

Potrząsnąłem głową. Bob przez całe życie musiał widzieć z milion włamań, a pierwsze podniecenie już odpłynęło.

— Może wzięli pana za kogoś innego. Włamali się przez pomył- kę, czy coś w tym rodzaju.

— Może — wzruszyłem ramionami. — Dziękuję panu, Bob.

— Lepiej będzie, jak pan da znać na policję, sir — powiedział. — Nawet jeśli nic nie zginęło. O mnie już wiedzą. — Dotknął bandaża z niejaką dumą. — Człowiek już nigdy nie przestanie być gliniarzem.

— Oczywiście. Tak zrobię. Dziękuję, Bob.

— Sądzę, że dzisiaj już się nie zjawią. Skoro nic nie zginęło.

— Pewnie nie.

— Ale będą tu, myślę, z samego rana.

— Tak, tak. — Nagle poczułem zmęczenie. — Dziękuję panu,

— Nie ma za co, sir. — Nie bardzo się zbierał do wyjścia, a ja spostrzegłem, w którym kierunku zerka. O coś mu chodziło.

— Kieliszeczek?

Uśmiech pełen niewinnego zdumienia i radości. No, w ogóle o czymś takim nawet nie pomyślał.

— Hm, cóż, jeśli pan tak miły...

Nalałem dwie sprawy whisky.

— Wody?

Prychnął, z uznaniem unosząc szklaneczkę.

— Nie, dziękuję. Zawsze trochę szkoda. Pana zdrowie, sir.

Ze sposobu, w jaki whisky wlała się w niego, zgadłem, że musiał być miłośnikiem westernów. Odstawił szklaneczkę na stół.

— Dziękuję panu, dobranoc.

— Dobrej nocy, Bob. Raz jeszcze dziękuję.

— To ja dziękuję, sir.

Wyszedł, a ja spoglądałem za nim z uznaniem. Właściwy facet na właściwym miejscu.

Sobie dolałem wody. Zawsze tak robię, żeby wygładzić smak. Nie przepadam za uczuciem, że przetykasz ogrodowe grabki. Poszło zupełnie dobrze, przynajmniej jak dla mnie, i nalałem sobie następną. To dziwne uczucie, kiedy ktoś włamie ci się do domu. Takie jakieś mrowienie, gdzieś z pierwotnych, zwierzęcych podkładów. Gniazda, jaskinie i domy są świętością. Kiedy odkrywasz, że był jakiś nieproszony gość, z podświadomości wyślizguje się to uczucie i dzieją się te różne rzeczy, jak to mówią, ciarki po krzyżu, ścierpięta skóra, zjeżony włos.

To przytulne gniazdko przy Wschodniej Siedemdziesiątej, które powolutku nadwątląło moje zasoby, nagle przestało być takie miłe. To osobliwe, jak najnormalniejsze rzeczy potrafią się zmieniać, gdy spojrzeć na nie z nowej strony. Wszystkie meble, które były po prostu częścią codzienności, tylko tłem, nagle nabrały ostrych, wyraźnych rysów przedmiotów niezwykłych, nie tyle może zimnych czy wrogich, ile przyciągających uwagę.

Zrzuciłem z siebie stateczny, ale dokładnie przemoknięty garnitur i wziąłem prysznic w nadziei, że trochę mi pomoże. Nie pomógł. Stałem pod ciepłą wodą, gapiąc się w zasłonę i przypominając sobie film pod tytułem „Psycho”, z bardzo wyrazistą sekwencją krwi mieszającej się z wodą i wypływającej z wanny. Hitchcock. Śpi sobie pewnie snem sprawiedliwego, wprawiwszy najpierw pół cywilizowanego świata w histeryczne drgawki. Jeśli faktycznie łatwo zasypiał, nie było to uczciwe.

Z sadystyczną pasją natarłem się najostrzejszym ręcznikiem, jaki udało mi się znaleźć, nałożyłem piżamę, pantofle, szlafrok i starannie pozamykałem wszystkie otwory. Przy drzwiach były dwa zamki i

łańcuch; wszystkie zabezpieczyłem. Cały kłopot polega na tym, że zabarykadować można się tylko od wewnątrz, wychodząc zaś musisz zdać lokal na niepewny los szczęścia. Ktoś powinien nad tym popracować; Ingersoll, Yale and Towne, ktoś z tej branży. Zupełnie nowa oferta rynkowa, mogąca przynieść fortunę. Komuś.

Nie mogłem zasnąć. Bardzo się starałem, ale jak zaczynasz się starać, organizm odmawia współpracy, nawet jeśli udajesz, że tak bardzo ci na tym nie zależy. Nie sposób okpić tego duchowego nadzorcy. Doskonale wie, czego chcesz, i daje ci coś przeciwnego; kiedy z prawdziwą chęcią poczytałbyś sobie książkę, sprawia, że powieki opadają ci jak żelazne żaluzje; kiedy masz ochotę zasnąć, przetrzymuje cię bez zmrużenia oka aż do świtu.

Do diaska, dajże mi się zdrzemnąć, powiadam. Odwal się, on na to. Słuchaj, klaruję, wprowadzie prześcieradło tak się jakoś marszczy, że dziwnie przypomina papier ścierny, ale ja i tak zamierzam spać. Nie żartuj, dogaduje, jak zaśniesz z tak cudacznie wygiętym ramieniem? No dobrze, prostuję rękę, wyciągając ją spod poduszki. Ej, odzywa się, poduszka jest za nisko. Starałem się nie myśleć o tym, ale nie było na niego siły; tak się kotłowałem w pościeli, że w końcu byłem nią oplatany jak serpentyną. Ostatecznie poddałem się i leżałem na plecach, gapiąc się w sufit z umysłem tak jasnym i gotowym do pracy, jak to powinno być w sali egzaminacyjnej. Ale kiedy potrzeba, nigdy tak nie jest.

Spokojna noc. Piloci mówią, że prowadzenie samolotu to długie godziny nudy, przeplatane chwilami czystego przerażenia. Tak właśnie się czułem. Spoglądałem na pokój i po chwili zacząłem w niewyraźnym świetle rozróżniać kształty i zarysy. Było zupełnie cicho, a przecież nie tak dawno ktoś tu buszował, otwierał szuflady i szafy, skradał się po dywanie.

Ale kto? I po co?

Ta część East Sidu przypomina Fort Knox. No, może sztabek złota nie wozi się na wózkach, ale wszystko jest dyskretnie strzeżone. Mnóstwo dam jest zdania, że diamenty wydobyto z ziemi po to, żeby je nosić, natychmiast jednak opiekę nad nimi zlecają Chase Manhattan lub First National. Kilka bloków bardziej na południe od mego lokalu jest pewnie tyle dobrego malarstwa co w Prado, więcej biżuterii niż w Tower of London, i dostatecznie dużo małych, lecz kosztownych antyków,

by dom aukcyjny Parek-Burnet mógł funkcjonować aż do czasu, gdy archanioł Gabriel zadmie w swoją trąbę. Samo życie tam wystawia po prostu człowieka na strzał,

Ale miejsce, gdzie mieszkałem, nie należało już do tych luksusowych kwartałów, a choć niewiele wiem o złodziejach, to jednak, jak się zdaje, nie lubią oni tracić czasu. Jeśli był to złodziej, to niedużo skorzystał, ale nie bardzo się też tym przejął: nawet krzesła nie kopnął ze złości. Im bardziej się zastanawiałem, tym było to dziwniejsze. Wiele razy słyszałem o włamywaczach, którzy, rozczarowani, starannie niszczyli lokal. Ćpuny i im podobni są zdaje się jeszcze gorsi; jeśli cię nie zastaną, to narobią brzydkich rzeczy na dywan i zabazgrzą ściany, a jeśli napatoczą się na ciebie, to starannie nad tobą popracują.

No więc kto?

Nie był to z pewnością mój triumfalny wieczór. Najpierw zwariowany kierowca w parku, potem włamywacz zasadzający się na Boba, żeby dostać klucze do mego mieszkania...

Gwałtownie usiadłem na łóżku. Czy nie mogło, czy na pewno nie mogło być między tym żadnego związku? Bez wyraźnej przyczyny przypomniał mi się ktoś, kto bez skutku starał się złapać moją windę, a także rozpryśnięta szyba. Poczułem zimno na plecach..

Zapaliłem światło, głównie, żeby poczuć się bezpieczniej, i usiłowałem poskładać te małe zdarzenia, od których nagle zaroilo się w moim spokojnym życiu. Pomaszerowałem do domu w deszczu, wykąpałem się, zrobiłem drinka. Może to chłopcy od Cutty Shark, którzy mają mi za złe, że piję J&B? Wsiadłem do samochodu, by statecznie i zgodnie z przepisami udać się do parku, gdzie wielki wóz, pędząc na pełnych światłach, uderzył w bok mojego MG. Potem szyba. Przypuszczałem, że szkło rozbił kamyk spod kół tamtego. Starałem się przypomnieć sobie wszystko tak dokładnie, jak potrafiłem, ale bez specjalnego efektu. Nic szczególnego do momentu, gdy zaparkowałem MG tuż koło windy i szybko wśliznąłem się do środka. Ktoś chciał pojechać razem ze mną. A potem to...

Ależ nie! Nie w takiej kolejności. Ktokolwiek zakradł się do mnie, było to, zanim wróciłem samochodem.

Starałem się wymyślić, o co mogło im chodzić, jak zawsze zakładając, że o coś jednak chodziło, nie była to zaś obronna reakcja mojej wyobraźni po długim wieczorze, podczas którego nie miała nic do roboty.

Bob wspomniał o narkotykach i sam słyszałem o wielu przypadkach, gdy narkomani włamywali się do pomieszczeń lekarskich w poszukiwaniu zaświadczeń lub recept. Ale to było mieszkanie prywatne, a nie gabinet lekarski, choć istotnie na liście lokatorów figurował dr J. Edwards.

Jeśli spojrzeć na to od nieprzyjemnej strony, a tak właśnie robiłem, szarża sedana i rozbicie szyby nastąpiły przed znokautowaniem Boba. Potem włamanie, potem winda. O czym to wszystko miało świadczyć? Że skoro nie udało im się załatwić mnie w parku, wrócili, włamali się do mieszkania, nic tu nie znaleźli, zaczekali więc na mnie w garażu, ale przeszkodziła im moja szybkość?

To czyste wariactwo, za dużo oglądam filmów; na Boga, przecież ulice pełne są zdziczałych kierowców i luźnych kamyków. I każdy przynajmniej raz w życiu został obrabowany. Tym razem padło na mnie, to wszystko.

Nareszcie poczułem senność, niemniej przed pójściem do łóżka raz jeszcze sprawdziłem zasuwy i zamki. Tym razem nadzorca uchylił ciemne drzwi i przepuścił mnie.

Nie trwało to długo. O szóstej oczy otworzyły się szeroko, a przejście od stanu snu do zupełnej przytomności odbyło się szybciej niż dodanie przez wielki Univac dwóch do dwóch. Mój umysł musiał w czasie snu przeprowadzać własne operacje, które dały mu cztery. Wsunąłem się z łóżka, czując, że jestem nieosłonięty i bezbronny, i podreptałem do szafy z garniturem. Ciągłe w nim tkwiła ta broszurka, ciągle w niepojętym rosyjskim. Czy to tylko przypadek, że nadeszła ona tego samego dnia, w którym wydarzyła się cała reszta? Może tak, ale...

Zacząłem przerzucać stronicie w poszukiwaniu jakiejś informacji, notatki na marginesie, czegokolwiek, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego przysłano ją mnie. Nic. Usiadłem przy biurku i raz jeszcze przekartkowałem.

Nie miałem żadnych znajomych w Rosji, bo skąd? Nie osiągnąłem pozycji owocującej zaproszeniami od Akademii Nauk, bym zademonstrował swe talenty chirurgiczne w Moskwie. Nie osiągnąłem pozycji owocującej choćby zaproszeniami na kolację z delegacją strażaków z Puerto Rico, a co dopiero mówić o Rosji. A większość moich przyjaciół

— z wyjątkiem może jednego czy dwóch w Wietnamie — chwaliła sobie swoje miejsce i nie szukała schronienia przed poborcą podatków za Żelazną Kurtyną.

Kto więc przysłał to do mnie? Sięgnąłem po kosz i pomiędzy informatorami leków poszukałem koperty. Sprawdziłem też w kuchni, do której — byłem tego pewien — nie zachodziłem wczoraj, ale na wszelki wypadek sprawdziłem. Potem przeszukałem sypialnię, wszystkie kieszenie i raz jeszcze przerzuciłem zawartość kosza i szuflad biurka.

Koperta zniknęła.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Nie było to miłe uczucie; siedziałem tak przez pewien czas, a ono nie odstępowało mnie na krok. Można to było wyolbrzymiać albo bagatelizować, można było o sprawie myśleć lub starać się zapomnieć, ale w niczym nie zmieniało to faktu, że ktoś włamał się do mojego mieszkania po kopertę. Aby ją zdobyć, nie wahali się zranić Boba. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie wydarzenia, byli pewnie gotowi zrobić o wiele więcej, ale starałem się trzymać tego, co pewne, i myśleć spokojnie. Co nie było tak trudne. Przyjrzałem się książeczce. Jeśli nie cofnęli się przed zbrojnym włamaniem po samą kopertę, do czego by się posunęli, żeby położyć łapy na broszurce? Cóż za szkoda, że jest dla mnie niezrozumiała. Ponownie ją przekartkowałem, każdą stronicę oglądając pod światło, by dostrzec ewentualnie coś, czego poprzednio nie zobaczyłem. I dostrzegłem. Brak było jednej strony; została nierówno wyrwana tuż przy zszywce.

Przez chwilę wpadłem w panikę, wyobrażając sobie, że ktoś musiał włamać się do mieszkania podczas mego snu. Ale wcześniej już sprawdziłem okna i drzwi: nikt się do nich nie dobierał. Poza tym książeczkę miałem ciągle przy sobie od chwili, gdy Bob wręczył mi wczoraj pocztę. Prawda, zostawiłem ją na biurku na czas kąpieli i zmiany ubrania. Koperta była wtedy jednak jeszcze nierozklejona, więc nawet gdyby ktokolwiek się tu wślizgnął, by ją podciągnąć pod osłoną kłębow pary, śmiało mógłby zabrać kopertę razem z zawartością. I zapewne tak by zrobił. Tak więc druczek był ciągle w moim posiadaniu od chwili, gdy go otrzymałem. Skąd zatem wyrwana strona?

Kiedy indziej uznałbym, że to przelotny feler prasy drukarskiej, choć jednak zupełnie możliwe, było to założenie niebezpieczne.

O co więc chodzi z wyrwaną stroną i o co chodzi z kopertą? I dlaczego ja? Sięgnąłem po listę mieszkańców, którą wręczył mi — „by towarzysko uprzyjemnić sobie życie” — doradca do spraw relacji międzyludzkich w korporacji, do której należał budynek. Chciałem sprawdzić, czy pod jednym dachem ze mną mieszkał jeszcze jakiś Edwards. Skądinąd wiedziałem, że nie, a lista tylko to potwierdziła. Na biurku leżała też znacznie grubsza lista nazwisk, starannie opatrzonych numerami telefonów. Sięgnąłem po nią i zajrzałem pod Edwardsów. Kilka stron było poświęconych Edwardsom rozsianym po całym Nowym Jorku i urzekła mnie ciepła myśl o pierwszych Edwardsach, którzy porodzili Edwardsów, którzy także porodzili Edwardsów, i tak dalej, aż teraz legiony Edwardsów pracowicie mnożyły się we wszystkich pięciu dzielnicach i bez wątpienia wszędzie indziej, w całym cywilizowanym świecie. Przerwałem sobie zabawę i zamiast o prokreacji Edwardsów zacząłem myśleć o ich zawodach. Był tylko jeden o zajęciu zbliżonym do mojego; w każdym razie przedstawiony został jako wentrilokwista, mieszkający w Bronksie. Zadzwoiłem o wpół do ósmej, ale okazało się, że zmarł przed ośmioma miesiącami, a teraz mieszkała tam rodzina O'Hara, co całkowiec potwierdzał akcent. Parę razy przejrzałem spisy, aż zaczęło mi się kręcić w głowie, ale nie znalazłem innego profesora Edwardsa. Co tam jeszcze było na kopercie? Jakies litery po nazwisku, ale jakie? Przypomniałem sobie: FAGS. Można założyć, że był profesorem geografii.

Brzmiało to sensownie, że list był przeznaczony dla kogoś innego, żadnego jednak sensu nie miał fakt, że przesyłka dotarła do mnie. Być może miała dotrzeć pod numer 75 na ulicy 60 East, albo coś w tym rodzaju, adres nie był wypisany przesadnie starannie, a ta nowojorska numeracja każdego może zbić z pantałyku. Nagle przyszło mi coś do głowy; może szanowny pan profesor nie był w spisie. Zadzwoiłem do informacji; nie podaliby mi zastrzeżonego numeru, ale potwierdziłby fakt istnienia profesora Edwardsa.

To niezłe dziewczyny: grzeczne, rozgarnięte, skuteczne i zwykle nieodrzekające się od pomocy. Rzadko jednak zadaje im ktoś pytania takie jak teraz.



— Czym mogę służyć?

Wiedziałem, że zabrzmiałoby głupio, niemniej powiedziałem.

— Chciałbym wiedzieć, czy w okręgu telefonicznym Nowego Jorku jest jakiś profesor Edwards.

— Rozumiem. Jak ma na imię albo jaki jest chociaż pierwszy inicjał.

— Niestety nie wiem.

— Czy zna pan jego adres?

— Przykro powiedzieć, ale nie.

Coś zaszeptało w słuchawce. Mogły to być oczywiście normalne szумы na linii, ale raczej nie.

— Edwards — powtórzyła w nadziei, że się przesłyszała.

— Profesor Edwards.

— Oddzwonię do pana, sir.

— Może stan Nowy Jork, może New Jersey.

Podałem jej swój numer i odłożyłem słuchawkę, czując nagle gwałtowną potrzebę kawy. Poszedłem ją zrobić, pociągnąłem łyk, parząc się, i wróciłem do biurka. Miałem słuchawkę przy uchu, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

— Nic pan nie wie o nim bliższego? — zapytała. — Gdzie jest profesorem albo coś w tym rodzaju?

— To FAGS.

— Co to takiego? — rzuciła szybko. Pomyślała pewnie, że jestem jakimś kawalarzem albo jeszcze gorzej.

— Litery po nazwisku.

— Po? Więc to nie inicjały?

— Nic na to nie poradzę.

— Rozumiem, sir. Wydaje się, że tylko jeden profesor Edwards jest zarejestrowany w Nowym Jorku. Mieszka w Bronksie.

— Wiem — przytaknąłem. — Ale on nie żyje. Teraz mieszkają tam O'Harowie.

Wyraźnie postanowiła być cierpliwa. Lubilem ją za to.

— Tak sobie myślę... — powiedziałem.

— Tak, sir? — odrzekła ostrożnie.

Tym razem troszkę westchnęła, ale tylko troszkę.

— Wie pan, to nie takie łatwe, jak się nie zna inicjałów czy chociażby dzielnicy.

— Rozumiem, oczywiście. Przepraszam.

— Jeszcze do pana oddzwonię.

Powróciłem do kawy i swoich myśli, przerzucając się później na wiadomości i pogodę. Ostatniej nocy odnotowano dwa morderstwa w New York City, co, jak się zdaje, odpowiadało przeciętnej. Był też przewrót rządowy w jednym z państw arabskich, a tankowiec przełamał się na pół na środku Zatoki Meksykańskiej. Pomyślałem nagle, jak bagatelne są moje problemy, ale wcale się od tego nie zmniejszyły. Ciągle wydawały mi się całkiem poważne.

Przypomniałem sobie, że pomimo nalegań Boba Roberta nie zawiadomiłem policji o włamaniu, zadzwoniłem więc na komisariat.

— Adres? Podałem.

— Brak jakichś kosztowności?

Zawahałem się. Koperta była bez wątpienia dla kogoś cenna, ale nie byłem pewien, czy i oni na to tak spojrzą.

— Na ile mogłem się zorientować, brak tylko koperty.

— Co w niej było?

— Nic. Leżała w koszu na śmiecie.

— I to wszystko?

Co miałem mu jeszcze powiedzieć? Gdybym wspomniał o samochodzie, najpewniej zarejestrowałby mnie między wypadki drogowe, a może zrugał za niepoinformowanie o kolizji; z pewnością też mógłby mi zacytować statystykę rozbitych szyb przednich.

— Portier dostał po głowie.

— A tak, słyszałem. Tak bywa.

— Ale ja...

— Każdemu może się przydarzyć. Umieszczę w raporcie. Niech pan dzwoni do nas, jakby coś nastąpiło.

Poczułem się bezradny jak dziecko. Szukanie z pewnością zajmie dziewczynie z biura numerów trochę czasu, ogoliłem się więc, wziąłem prysznic i ubrałem. Strapiony przez cały czas i oczekujący.

Zadzwoniła za pół godziny.

— Znalazłam profesora Edwardsa, sir. — Głos miała triumfujący.

— Wspaniale — powiedziałam. — Gdzie?

— Rochester, w stanie Nowy Jork. Profesor Francis Xavier Edwards, doktor teologii, Seminarium Pod Wezwaniem Zbawiciela.

Serce mi zamarło.

— Nikogo więcej?

— Przynajmniej w stanach Nowy Jork i New Jersey. Chce pan zanotować numer?

Nie wypadało powiedzieć nie. Zapisałem numer, podziękowałem i cisnąłem kartkę do kosza, jak tylko odłożyłem słuchawkę.

Przez chwilę chodziłem od ściany do ściany udając namysł, ale w rzeczywistości odwlekałem moment przekroczenia drzwi. W miejscu, gdzie byłem, nie czułem się przesadnie bezpiecznie, ale i tak o niebo pewniej niż gdziekolwiek indziej. Wymigiwałem się od tego tak długo, jak mogłem, wmuszając w siebie płatki kukurydziane, na które nie miałem żadnej ochoty, i kombinując, co by tu jeszcze zrobić. W końcu jednak musiałem wyjść.

Rozejrzałem się po pokoju za czymś, co by mnie podtrzymało na duchu, to osobliwe jednak, jak niewiele jest sprzętów we współczesnym mieszkaniu. Na filmach ludzie w trudnych sytuacjach zawsze mają coś na podorędziu: farmerzy zdejmują ze ściany dubeltówkę, kierowcy biorą z garażu ciężki klucz, ojcowie rodziny wywijają kijami baseballowymi. Przypomniałem sobie ten fragment z „The Prisoner of Zenda”, gdzie Rupert z Hentzau zwierza się Rassendyllowi: „Nie mogę się przyzwyczaić do walki przy użyciu mebli”. Z jakąż ochotą wziąbyłem ze sobą kanapę albo dużą lodówkę, cokolwiek, za czym mógłbym się schować.

A tu nic takiego. Mnóstwo krawatów, serwetek, drewnianych łyżek i lampek stołowych, ale nic poza tym. Wychodząc więc miałem ze sobą tylko przeciwdeszczowiec i małą poduszkę na siedzenie kierowcy, gdyż najpewniej ciągle było mokre.

Odsunąłem zasuwę, zdjąłem łańcuch i — przez cały czas podenerwowany i zakłopotany — przekręciłem klamkę, uchylając drzwi, na pół niepewny, czy ktoś gwałtownie nie popchnie ich na mnie. Nic takiego nie nastąpiło, ostrożnie wyszedłem zatem na korytarz, pusty, jeśli nie liczyć Marthy, sprzątaczkę, czyszczącej podłogę na drugim końcu. Zatrzasnąłem drzwi i pomaszerowawszy do windy, nacisnąłem guzik. Drzwi zasunęły się za mną, a winda szybko i cicho pomknęła na dół. Zatrzymała się dwa piętra niżej, by wpuścić młodą parę, a potem stanęła już na parterze, gdzie tamci wysiedli, radośnie rozgadani, zostawiając mnie z niewypowiedzianą prośbą, by zechcieli zjechać

ze mną na dół. Położyłem palec na przycisku oznaczonym „Garaż”.

Lekkie szarpnięcie i drzwi znowu były otwarte. Wyjrzawszy popatrzyłem po samochodach, potem postąpiłem do przodu, rozglądając się szybko na prawo i lewo, na wypadek gdyby ktoś przyczaił się, przywarowawszy do muru. MG stało o pięć jardów ode mnie i wydawało się, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku. Głęboko westchnąwszy przeskoczyłem do niego, wrzuciłem poduszkę i wsiadłem. Za mną drzwi windy zamknęły się z miękkim westchnieniem. Poczułem się bardzo samotny.

Rozglądałem się przez dziurę w szybie. Żadnego ruchu. Szybkie zerknięcia przez boczne szybki, ale i tu nic się nie poruszało. Podniosłem wzrok, by sprawdzić w lusterku, co dzieje się z tyłu, i napotkałem swoje oczy. Wsiadanie do MG i wysiadanie z niego jest swego rodzaju sztuką, ale opanowałem ją już dawno temu; tym, co mi się nigdy nie zdarzyło, było przekrzywienie lusterka. Więc kto? Podniosłem dłoń, by je poprawić, i wtedy zobaczyłem odbitą w nim dziurkę w pokryciu dachu.

Otwór nie był wielki, długi na jakieś cztery—pięć cali, choć nie odwracałem się, żeby go zmierzyć. Nie ulegało żadnym wątpliwości — przynajmniej dla mnie — skąd się tam wziął. Przyglądałem mu się przez kilka chwil, pewien teraz, że to nie kamyk rozbił szybę, lecz kula. Strzaskawszy szybę chybiła i utkwiała w dachu. A może i metal jej nie zatrzymał.

Wypchnąłem resztę szyby, aby móc lepiej widzieć. Teraz pojawiło się boczne lusterko, w którym coś dostrzegłem. Dwadzieścia, może trzydzieści jardów ode mnie, w buicku po drugiej stronie garażu siedział jakiś mężczyzna. Trudno było powiedzieć, czy silnik jest na chodzie, nie ulegało jednak wątpliwości, czym się zajmuje: spoglądał w moim kierunku. Dalej wyłamywałem kawałki szkła, nie spuszczaając z niego oczu. Siedział bez ruchu.

Znowu poprawiłem lusterko wsteczne, tak by go lepiej widzieć. Mógł dostrzec błysk, ale nie poruszył się, po prostu siedział o trzydzieści jardów dalej, wpatrzony w moje MG. I ktoś w nim był w nocy!

Klucze trzymałem w lewej ręce; spojrzałem na nie, a później na stacyjkę. Wsiadasz do samochodu, przekręcasz kluczyk i — bach! Dosyć naczałem się artykułów o metodach mafijnych, by znać także i tę, ale ciągle było kompletnym idiotyzmem, by ktoś miał robić na

mnie zamach. Być może wcale nie było bomby, ale nie zamierzałem sprawdzać. Drzwi windy szczelnie zamknięte; sądząc po świetelku stała na szóstym piętrze. Gdyby zjechała na dół, byłbym w niej jedynym susem, ale nie zjedzie, jeśli ktoś nie naciśnie guzika, jedyną zaś osobą, która mogła to zrobić, byłem ja. Wysiadłem z samochodu i zacząłem szukać po kieszeniach, jakbym coś zgubił; miałem nadzieję, że wyglądam przekonywająco. W końcu jakby z irytacją klepnąłem się w udo, podszedłem do windy, nacisnąłem guzik i jedyne, co pozostało, to czekać. Kątem oka dostrzegłem, że drzwiczki buicka otwierają się: tamten zaczął powoli i bezgłośnie wysiadać. Sygnał pokazywał, że winda zjeżdża, ja zaś kilka razy pstryknąłem przyciskiem, aby mieć pewność, że automaty nie zmieniają mechanicznych postanowień i nie nakażą jej ruchu w górę. Facet z buicka szedł w moim kierunku. Gdybym był Spencerem Tracy, może zasugerowałbym mu, że zapomniałem kluczyków, ale chyba trochę przedobrzyłem. Winda dotarła na parter i tam stanęła. Gość był nie dalej niż o dziesięć jardów ode mnie, zatrzymawszy się przy jednym z betonowych filarów. Szanse na to, że wsiądę bez niego, miałem takie, jak Kalifornijczyk na wymiganie się od alimentów, tymczasem winda opadała i na sygnalizatorze pojawiło się „G” — „Garaż”. Z kieszeni płaszcza wydobyłem kluczyki i w udawanej radości odnalezienia zguby podrzuciłem je, a następnie złapałem w powietrzu. Zawróciłem na pięcie i zrobiłem dwa leniwe kroki w kierunku MG, nasłuchując syku otwierających się drzwi. Stały tak zapraszająco, podczas gdy ja robiłem następne dwa kroki, aż posłyszałem dźwięk oznajmiający, że zaczynają się zamykać.

Zawróciłem i ruszyłem do nich biegiem, a wraz ze mną zrobił to on. Skończyły się maskarady: chciał mnie dognać, a w jego rękę połykiwał nóż. Drzwi biegły ku sobie, a ja musiałem zrobić dwie rzeczy. Pierwsza, to znaleźć się w środku i nacisnąć guzik, druga — nie pozwolić mu na wciśnięcie czegoś w mechanizm antyzatraskowy w skrzydłach drzwi. Odmachnąwszy się jak cepem, cisnąłem mu w twarz mój boghartowski przeciwdeszczowiec. wskoczyłem do środka i rozpaczliwie nacisnąłem guzik parteru.

Płaszcz zatrzymał go na jedną, dwie sekundy, a gdy szczelina nie była już większa niż cal, rzucił się do przodu. Spóźnił się o włos, a ja spoglądając na miłosne cmoknięcie skrzydeł drzwi, sam gotów je byłem ucałować.

Winda znów się otworzyła. Wskoczyłem do hallu na parterze, wiedząc, że mam bardzo niewiele czasu. Mr Buick już gnał albo schodami przeciwpożarowymi, albo kuchennymi. Tak czy inaczej musiałem stąd zjeżdżać.

Boba Roberta nie było na dole i hall był opustoszały. Pobiegłem korytarzem, na końcu którego wiedziałem, że jest pakamera portierów. Nigdy jej nie zamykano, a jej okno wychodziło na tyły budynku, nie byłem jednak pewien, czy da się zamknąć drzwi od środka.

Nie dało się. Był zamek, ale nie było klucza. Cicho docisnąłem drzwi i przemknąłem do okna. Nie wyglądało obiecująco. Stara konstrukcja o metalowej ramie, nie otwierana chyba od dekady, podzielona na małe tafelki zbrojonego szkła. Chwyciwszy klamkę ze wszystkich sił starałem się ją przekręcić, ale nie drgnęła nawet o milimetr. Nic nie pomagało szarpanie i wieszanie się na niej. Rozpaczliwie rozejrzałem się po małym pokoiku; w każdej chwili w otwartych drzwiach mógł stanąć mężczyzna z nożem. Miałem szczęście: w przeciwieństwie do mojego mieszkania było to pomieszczenie robocze. Na starym krześle leżała torba z narzędziami, z której porwałem młotek, do lewej ręki biorąc szczotkę na długim kiju. To odrobinę wyrównywało szanse: gdyby zjawił się teraz, mógłbym dźgnąć w jego kierunku miotłą i spróbować przyłożyć młotkiem, który musiał też posłużyć do innego celu. Odbijanie nim klamki narobi mnóstwo huku i jeśli Buick nasłuchiwał właśnie w hallu, nadbiegnie tu galopem, niemniej trzeba było to zrobić. Pierwsze walnięcie nic nie dało, uderzyłem więc jeszcze raz i zobaczyłem pękającą farbę w miejscu, gdzie okno stykało się z ramą. Dwa następne ciosy poruszyły klamkę, przekręciłem ją i usiłowałem otworzyć okno, ale farba ciągle je trzymała. Cała seria razów posypała się na ramę, która w końcu uchyliła się o cal, by wreszcie rozewrzeć się ze skrzypem nie naoliwionych zawiasów. Hałas był straszliwy i specjalnie mnie to nie zdziwiło, gdy drzwi odskoczyły i wpadł przez nie Buick. Niezgrabnie dźgnąłem w jego kierunku szczotką, ale odepchnął ją na bok. Spoglądał na mnie łakomie, wargi rozchylone i napięte, stal połyskująca w prawej dłoni. Namacał obcasem drzwi i zatrzasnął je.

Ponownie machnąłem ku niemu miotłą, ale po prostu odgarnął ją na bok i podsunął się w moim kierunku. Trzymał nóż jak profesjonalista, ostrze kierując ku górze i przyciskając je z wierzchu kciukiem.

Facet wiedział, co robi; gdybym zamachnął się na niego młotkiem, mógłby ciąć mnie po żebrach. Znowu skoczyłem do przodu ze szczotką, mierząc w jego twarz, a gdy odchylił głowę, najsilniej, jak mogłem cisnąłem mu młotkiem w pierś. Nie widziałem, czy trafił, ponieważ jednocześnie rzuciłem się ku oknu, usłyszałem jednak głucho uderzenie i stęknęcie.

Parapet był wysoko nad podłogą, może cztery stopy, chwyciłem więc za ramę i podciągnąwszy się usiadłem na desce. Buick doszedł tymczasem do siebie i znów na mnie natarł. Podciągnąłem nogi pod brodę i wyrzuciłem obydwie, mierząc w twarz. Znów go trafiłem, ale tym razem z wzajemnością. Poleciał do tyłu, poczułem jednak nóż kaleczący mi łydkę.

Nie było czasu jej oglądać. Wgramoliłem się jakoś obiema nogami na parapet, spojrzałem w dół i skoczyłem. Nie było wyżej niż pięć stóp, ale wstrząs rzucił mnie na kolana. Czuję ciepły strumień krwi spływający ku kostce i mając nadzieję, że to tylko powierzchowna rana, odwróciłem się i pobiegłem alejką ku ulicy, nie zatrzymując się po drodze. Przechodnie odwracali się za mną, a idący z naprzeciwka spoglądali z zaciekawieniem; nie było czasu na wyjaśnienia, wtuliłem głowę w ramiona i próbowałem gnać jak prawoskrzydłowy. Ale z każdym krokiem łydka bolała coraz bardziej i zacząłem kuleć; przemknęło mi przez myśl, że Buickowi wystarczy trzymać się śladów krwi. Wtedy zobaczyłem taksówkę i udało mi się przyspieszyć: kierowca złamał właśnie chorągiewkę i zabierał się do odjazdu. Otworzywszy drzwi, wtoczyłem się do środka.

— Dokądkolwiek — wykrztusiłem. — Niechże pan rusza.

Ale kierowca obrócił się tylko i spoglądał na mnie. Potem powiedział:

— Tak panu spieszno?

Zerknąłem na jego wizytówkę nad schowkiem na rękawiczki.

— Pięć doliców za milę, Mr Kronskey — rzuciłem. — Ale niech pan jedzie.

— Już się robi, panie szanowny.

Ruszył. Auto oderwało się od krawężnika i wpłynęło między inne pojazdy. Odwróciłem się i wyjrzałem przez tylną szybę. Wydawało mi się, że widzę kogoś biegnącego przez następny trawnik.

— Prędzej, prędzej!

Wykręcił w Park Avenue kierując się na południe, a ja odetchnąłem z ulgą i opadłem na fotel. Nogawka spodni zeszywniała już od krwi. Ostrożnie ją podciągnąłem i ujrzałem czterocalowe cięcie, ciągle krwawiące. Krew nie tryskała, lecz sączyła się, ale i tak było jej aż nadto. Krwotok koniecznie trzeba było zatamować, a ranę zaszyć. Powiedziałem Kronskey'emu, żeby zatrzymał się przy głównej aptece na Czterdziestej Drugiej Ulicy, kupiłem tam trochę bandaża, waty, plastra, chirurgiczną igłę oraz wyjąłowione nici i wróciłem do tak-sówki. — Niech pan jedzie teraz powoli, Kronskey — powiedziałem — babunia będzie trochę haftować.

Obejrzał się i spojrzał na mnie z niepokojem.

— Jezus Maria!

— Niech pan się nie przejmuj, nie pana będzie boleć — stwierdziłem. — Niech pan po prostu jedzie przed siebie.

Patrzył na mnie dalej podejrzliwie.

— Co tu się dzieje, kochany?

Wyciągnąłem portfel i rzuciłem na siedzenie obok niego.

— Nazywam się John Edwards. Jestem lekarzem. Miałem malutki wypadek.

— Ach tak? — Wyraźnie mi nie ufał.

— Niech pan sprawdzi w portfelu.

Nie przyglądałem się, co robi, gdyż miałem dość zajęcia z nawlekaniem igły, ale posykurując, gdy wbijałem igłę w skórę, mogłem też usłyszeć, jak szeleści papierami i otwiera okładkę z kartami kredytowymi. Jeśli to go nie przekona, nie znajdę już lepszych argumentów.

— W porządku, kochany. Trzymaj pan. — Portfel pacnął na siedzenie koło mnie. — Jakżeś się pan, u diabła, tego dorobił?

— Za dużo gadałem — odrzekłem z irytacją. Wzruszył ramionami.

— W porządku. Gdzie chcesz pan jechać?

Gdzie ja chcę jechać? Nie do siebie, to jasne. Przypomniałem sobie broszurkę leżącą w kieszeni. Dobrze byłoby spróbować dowiedzieć się czegoś o niej. Może jest w niej jakaś wskazówka, o co w tym wszystkim chodziło. Niemniej, pięć dolarów za milę to wcale nie było mało.

— Jedźmy na stację Herta — rzuciłem. — I niech pan teraz nic nie mówi. To delikatna robota.



Jechał w milczeniu.

Robiłem już ładniejsze szwy. Ten wyglądał jak dzieło czterolatka, po raz pierwszy próbującego swych sił na lalce, ale rana była przynajmniej zamknięta. Owinąłem ją bandażem, umocowałem plastrem i opuściłem nogawkę. Tyle przynajmniej można powiedzieć o ciemnym, spokojnym garniturze, że całkiem dobrze maskuje krople krwi.

Gdy zajechaliśmy pod Hertza, byłem odrobinę spokojniejszy. Kronsky odwrócił się.

— To będzie dwadzieścia pięć — powiedział uprzejmie. Cholernie mało zostawało mi po tym gotówki, są jednak chwile, kiedy dobrze jest mieć kartę kredytową. To był jeden z takich momentów. Po dziesięciu minutach wykręcałem w ulicę chevroletem. W porównaniu z MG był zwinny jak prosiak w błocie, ale tysiąc razy mniej rzucał się w oczy, no i miał trochę mocy pod maską, niezależnie od pofałdowanej wykładziny na podłodze i pokancerowanej popielniczki. Uważnie popatrzyłem przez tylne lusterko, czy mnie czasem ktoś nie śledzi. Trudno powiedzieć, jak mogłoby do tego dojść, ale cała historia była tak nieprawdopodobna, że daleko mi było do lekceważenia ich możliwości.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pojechałem na Columbia University, zaparkowałem chevroleta i skierowałem się do biblioteki. Stałem przy wejściu na kilka chwil, rozglądając się i zerkając od czasu do czasu za siebie, by sprawdzić, kto podąża za mną. Obserwowałem przez parę minut, ale wszystko to byli studenci, co można łatwo odgadnąć po włosach. Nigdy dotąd tylu ich naraz nie widziałem. Chłopaki mieli tak samo długie fryzury jak dziewczyny, a płęć można było odróżnić po brodach. Wszystko w porządku, dopóki stali i chodzili, ale siedząc w bibliotece musieli mieć wrażenie, że oglądają książki przez zasłonę. Niemal każde z nich co kilka sekund unosiło rękę, by odgarnąć parę kosmyków, ale już po chwili znowu byli przesłonięci welonem włosów.

Nie sprowadzały mnie tu jednak zainteresowania fryzjerskie ani dermatologiczne. Stałem przy ladzie, do której podeszła dziewczyna, typowa bibliotekarka, w wielkich okularach o czarnej oprawce i włosach związanych w kok. Cary Grant zawsze zdejmuje im szkła i każe rozpuścić włosy, a kiedy tak zrobią, okazują się Sophią Loren. Dawno, dawno temu sam raz tak spróbowałem, ale dziewczyna była potem bardziej jeszcze podobna do długonosego mrówkojada niż przedtem. Nie miałem więc żadnych pokus.

Wyciągnąłem z kieszeni książeczkę.

— Chciałbym się dowiedzieć, co to takiego — powiedziałem. Spojrzała na broszurkę, a potem na mnie.

— To po rosyjsku.

Przytaknąłem.

— Można zgadnąć po alfabecie. Mnie interesuje, jaka to książka.

— A kim pan jest?

— John Edwards. Doktor John Edwards.

Uśmiechnęła się.

— Zobaczę, co da się zrobić, doktorze Edwards.

Zaczekałem.

Potrwało to chwilę, po której powróciła z wysokim, szczupłym, poważnym chłopakiem, o brodzie sięgającej niemal do pępka. Wydawało się, że pragnie zostać patriarchą i tylko czeka jeszcze na siwiznę.

— Wie pan, co to takiego?

— Tak. Wydział Inżynierii Uniwersytetu w Leningradzie. Tytuł brzmi „Zasadnicze problemy zaopatrzenia w energię hydroelektryczną rejonu Aktiubińska w Kazachskiej SSR”. To dosyć stara pozycja, z 1964 roku.

— Z sześćdziesiątego czwartego? — powtórzyłem zaskoczony.

Przytaknął.

— Tak tu jest napisane. Otworzyłem broszurkę.

— Brak tu, niestety, jednej strony. Chciałem, by mi ją przetłumaczono, ale...

Przerwał mi.

— Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy mieli drugi egzemplarz. Wymieniamy trochę materiałów z Leningradem. Jeśli nie chodzi o coś o znaczeniu wojskowym, rozumie pan.

— Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan sprawdzić.

— Dobrze. — Odwrócił się i odszedł w jakieś dalekie zakamarki, ale tym razem nie musiałem czekać długo.

Znowu stał wyprostowany przy kontuarze.

— Jest w katalogu, ale obawiam się, że ktoś z niej korzysta. Jest na nią rewers.

— Często bywa wypożyczana? — zapytałem.

— Chyba tak. — Sięgnął do skoroszytu i przekartkował. — Została wzięta wczoraj po południu. Za dwadzieścia szósta, mówiąc ściśle.

— Przez kogo?

Uniósł brwi, ale po wyrazie mojej twarzy zorientował się chyba, że to dla mnie ważne. Raz jeszcze zajrzał.

— Niejakiego Johna Smitha.

— Za dwadzieścia szósta wczoraj po południu?

— Tak.

— Można się jakoś dowiedzieć, kiedy była poprzednio wypożyczona?

— Czy to takie istotne?

— Kto wie — odrzekłem. — To może być bardzo ważne.

Chwilę szukał, a w końcu powiedział:

— Mam wrażenie, że nikt jej przedtem nie zamawiał. Wydaje się, iż nawet jej nie przetłumaczono, a w każdym razie nie ma po tym żadnego śladu.

— Dzięki. — Odwróciłem się i uderzyło mnie, że kilka twarzy było teraz zwróconych w moim kierunku, spoglądając obojętnie i nie uciekając przed moim wzrokiem. Z wyjątkiem jednej, a w morzu młodocianych włosów łysina połyskiwała jak jajko sadzone na placku jagodowym. Twarz była opuszczona, gdy przechodziłem obok; obserwowałem kątem oka; jakakolwiek była to książka, facet z pewnością jej nie czytał.

Nie spiesząc się wyszedłem z biblioteki do hallu, gdzie puściłem się biegiem, przeskakując po trzy schody naraz, by na zewnątrz pognąć do samochodu. Mój chevrolet wystrzelił z miejsca, jakby to było Le Mans.

Nie mogłem uwierzyć, że się znowu do mnie przykleili, ani zrozumieć, jak im się to udało, jedno jednak nie ulegało wątpliwości, że mam u nich dobre notowanie. Trzech facetów gnało do wozu; przypadkiem był to buick.

Jadąc w kierunku śródmieścia starałem się patrzeć na drogę, a nie w lusterko. Kiedy już jadę, tłumaczyłem sobie, mogę ich zgubić, jakoś się rozplywając w ulicznym ruchu, ale tej części miasta nie znałem w istocie zbyt dobrze. Mimo wszystko nie mogłem powstrzymać się od zerkania i na ogół łatwo mogłem ich zobaczyć, dwa lub trzy auta za mną. Musiałem się jakoś opędzić od tego buicka, ale nie bardzo mogłem to zrobić, gdy trzymał się tak blisko. Potrzebny mi był solidny ruch, turkoczący, furgoczący i rozjeżdżający się we wszystkich kierunkach. Spojrzałem na wskaźnik paliwa. Do niewielu zalet wynajętych samochodów należy, że zanim go weźmiesz, napełniają ci bak do pełna. Zawróciłem i skierowałem się ku lotnisku Kennedy'ego.

Wlokłem ich za sobą przez całe Queens, niepokojąc się, czy nie

wyskoczą nagle do przodu i nie zaczną strzelać, ale nie: całe pół godziny jechali sobie za mną spokojnie i wygodnie. Zrobiłem kilka odskoków w drogi dojazdowe, ale nie zgubiłem ich, podjechałem więc prościutko pod budynek TWA, zatrzymałem samochód na środku drogi i wysiadłem nie wyłączając silnika. Po kilku susach byłem w środku, potem na górę schodami i dalej półpiętem. Nie oglądałem się, ale na pewno nie byli daleko. Pomyślałem jednak, że mam jakąś szansę przy odrobinie szczęścia i jeśli wytrzyma noga. Pulsowała bardzo boleśnie i byłem pewien, że jedną z przyczyn jest rozłazący się szew, ale nic nie mogłem na to poradzić. Za rogiem czekał na mnie łut szczęścia. Kącik z fotelami, a na jednym z nich przyjezdny Teksańczyk pozostawił na chwilę kraciatą budrysówkę i wielki kapelusz. Złapałem je w przelocie i w jednej chwili byłem w hallu, kierując się ku wyjściu z napisem „Taxi”. Jeśli tylko nie widzieli, jak przywłaszczam sobie płaszcz — a chyba nie widzieli — to byłem górą.

Nałożyłem kapelusz i wskoczyłem w płaszcz, a potem odmaszerowałem, kołyszając się w biodrach i mając nadzieję, że wyglądam bardziej na kowboja niż na przebierańca z Greenwich Village. Nie opodał ciągnął się rząd biur z nazwami zagranicznych linii lotniczych; poszedłem w tym kierunku, przyglądając się zarazem samolotom w strefie postojowej i usiłując powiązać je z poszczególnymi biurami. Na wielkim stateczniku boeinga napisane było Varig; wszedłem do Brazylijskich Linii Lotniczych. Było tu całkiem wiele osób, co znaczyło, że albo samolot właśnie przyleciał, albo zabierał się do rychłego odlotu. Wśliznąłem się między nich i stałem spokojnie, czekając, co los przyniesie.

Dziewczyna zza lady ogłosiła:

— Można zamówić taksówkę, jest także linia autobusowa z lotniska do centrum. Można też z lotniska polecieć helikopterem wprost na dach wieżowca Pan American w centrum na Manhattanie.

To było coś dla mnie. Przepchnąłem się przez tłum i powiedziałem jej, że interesuje mnie helikopter. Była miła i sprawna; parę minut później siedziałem w helikopterze, przyglądając się podejrzliwie współpasażerom i zastanawiając, czy gdzieś aby nie chowają przy sobie noży czy spluw.

Kiedy pokazała się pod nami poduszczyca Manhattanu ze szpilkami wieżowców, miałem już opracowany następny ruch. Powinno mi

to przyjść do głowy wcześniej i pewnie przyszłoby, gdyby rzeczy nie rozgrywały się w tak błyskawicznym tempie.

Winda w Pan Am należy do tych, które zwożą na parter twe obute stopy, na poziomie chmur zostawiając żołądek; ale i tak nie była dla mnie zbyt szybka. Natychmiast opuściłem budynek i skierowałem się do hotelu „Commodore”, gdzie mieszkałem za pierwszym swym po- bytem w tym molochu. Mają tam punkt informacji przycupnięty w kąci- ku, a tego właśnie było mi potrzeba: nie rzucać się w oczy. Po- trzebny mi był też adres Amerykańskiego Towarzystwa Geograficz- nego, z czym nie było kłopotów.

Problem polegał teraz na tym, jak dostać się na Sto Pięćdziesiątą Szóstą Ulicę i jak dostać do ręki trochę forsy. Ale w „Commodore” — niech jego fronton nigdy nie zblaknie — zamienili mi czek na pienią- dze nie wpadając natychmiast w podejrzenia, że jestem wcieleniem Ala Capona, zamówili też auto u Avisy. Chcieli zadzwonić do Hertza, ale powiedziałem, że lubię stawać po stronie mniejszych. Zaszłyłem się z tyłu restauracji na parterze popijając kawę i wpatrywałem się w drzwi, aż portier dał znać dzwonkiem, że samochód już jest. Wtedy wyszedłem. Mogłem sobie wyobrazić komputer u Hertza łączący się ze swoim kumplem u Avisy, ale dopiero później będzie czas na usta- lenie uszczerbków mojej reputacji. Skierowałem się na obrzeża mia- sta.

Amerykańskie Towarzystwo Geograficzne mieściło się w jednym z tych cichych, starodawnych budynków, na które dziś mogą sobie pozwolić tylko renomowane placówki naukowe. Czuć było zapach polerowanych mebli i niemal się słyszało rozgwar prowadzonych przez lata poważnych dyskusji. W sekretariacie powiedziałem, o co mi chodzi, i zaprowadzono mnie do damy w średnim wieku o nazwi- sku Phelps.

— Nie wiem, czy będę umiała panu pomóc, doktorze Edwards. Słucham pana?

— Szukam profesora Edwardsa. To FAGS, więc...

— Można bezpiecznie założyć, że jest geografem. — Uśmiechnę- ła się. — Nie przypominam sobie profesora Edwardsa, ale sprawdzę.

Poszła do innego pokoju i wróciła z książką pod pachą.

— Lista osób piastujących katedry geografii na wszystkich uni- wersytetach w Stanach Zjednoczonych — wyjaśniła.

Otworzyłem ją i niemal jęknąłem. Uniwersytety podane były w

kolejności alfabetycznej, ale nie profesorowie. Trzeba było sprawdzać uczelnia po uczelni.

— A czy nie ma alfabetycznego spisu członków Towarzystwa?

— Oczywiście, już sprawdziłam. Nie ma nikogo takiego. Z pewnością zawsze może się zdarzyć omyłka... — ton jej głosu mówił, że z pewnością nie może, nawet jedna na milion lat; tu nie zdarzały się pomyłki, a swoich członków znali tak jak długość geograficzną Greenwich. Rzut oka na jej twarz upewnił mnie, że podrwiwała sobie z ignoranta.

Szukanie było przedsięwzięciem beznadziejnym od samego początku, ale oprócz broszurki nie miałem nic więcej; cóż było robić, postanowiłem przejrzeć ów spis.

— Niech pan może usiądzie — odezwała się. — Proszę, tutaj. Poszedłem za nią. „Tutaj” to był fotel pod oknem, niski na tyle, by nikt nie mógł zerwać się z niego gwałtownie i nieoczekiwanie. Był też w bezpiecznej odległości od jej biurka.

Po niecałej godzinie docierałem do Washington, West Virginia, Wyoming... i z każdą chwilą byłem coraz bardziej zrezygnowany. Nie miałem pojęcia, że w Stanach Zjednoczonych jest tak wiele uniwersytetów, ale skoro już były, to skąd na nich tyle jajogłowych. Okazało się, że nie ma uniwersytetu Zen. Dotarłem do końca i nigdzie nie znalazłem żadnego Edwardsa, co było dość dziwne, chociażby ze statystycznego punktu widzenia. Zamknąłem okładkę z lekkim plaśnięciem i pani Phelps podniosła wzrok.

— Bez skutku?

— Niestety — powiedziałem. — Bez skutku.

— Przykro mi. Nie wiem, jak jeszcze moglibyśmy panu pomóc.

— Tak, rozumiem. — Wygramoliłem się z fotela, podszedłem do niej i położyłem książkę na pulpicie. — Bardzo dziękuję za uprzejmość.

Stałem niezdecydowany. Duży pokój, ściany pokryte książkami przypominającymi o upływie czasu. Wydawało się, że niektóre z nich mają po kilkaset lat, a ich grzbiety spłowiwały tak, jak to potrafią robić książkowe okładki i miały mniej więcej ten sam kolor, niezależnie od tego, czy dawniej były niebieskie, zielone czy czerwone.

Ociągałem się z wyjściem. Gdzieś w tym budynku musiał być klucz do trapiących mnie zagadek. Pani Phelps spoglądała wyczekująco, a wyczekiwała, że sobie pójdę. Niezwłocznie. Wydawało się, iż

nic już tu po mnie, ale kiedy obracałem się ku drzwiom, coś ściągnęło mój wzrok tak długo skoncentrowany na jednym nazwisku. Był to nowy czerwony grzbiet ze złożonym tytułem:

REFERATY  
PRZEDSTAWIONE  
NA KONFERENCJI  
AMERYKAŃSKIEGO  
TOWARZYSTWA  
GEOGRAFICZNEGO  
1966  
ED  
WARD

— Kim jest Ward? — niemal krzyknąłem, a pani Phelps podskoczyła. Wyciągnąłem książkę z półki i podetkałem grzbiet pod jej nos.

— Ward. Kto to taki?

— Aaa. To profesor Ward z Princeton. Opracował kilka zbiorów referatów...

Jeszcze raz sięgnąłem po listę, odszukałem Princeton i znalazłem: „Edwin Ashley Ward. stud. geogr. — Princeton; doktorat — Cantab, Anglia; FAGS”.

— Zna go pani?

— Tak, no... — przyjrzała mi się. — To bardzo szacowna osoba, proszę pana. Jest członkiem Rady. Naszej Rady.

— Edwin Ward — przerwałem jej. — Jak na niego mówią?

— Słucham? Profesor Ward, naturalnie.

— Przyjaciele — rzuciłem zniecierpliwiony. — Jak się do niego zwracają? Ed?

— No cóż, myślę, że to możliwe.

— Słyszała to pani kiedyś?

— Noo, tak.

Poklepałem ją po ręce, ale tylko raz, gdyż kiedy tylko mój zamiar stał się oczywisty, cofnęła ją gwałtownie.

— Serdecznie dziękuję, pani Phelps.

Jeszcze nie skończyła mówić z wyniosłym przekąsem: „Nie ma za co”, gdy byłem w drzwiach.

Princeton. Szacowna osoba. To pasowało. O wiele bardziej było prawdopodobne, że uczoną broszurę ze Związku Radzieckiego otrzyma profesor geografii z Princeton niż młody i nieznaną chirurg.



Odszukałem samochód i zawróciłem do miasta. Nagle przypomniałem sobie, że straciłem dzisiejszy wykład i że trochę się zdziwią, ale w końcu nie oznaczało to końca świata, a szlag by mnie trafił, gdybym się miał teraz zacząć rozglądać za telefonem.

Przy Czterdziestej Trzeciej Ulicy wykręciłem na zachód w kierunku tunelu Lincolna, za którym ruszyłem na południe ku rozjazdowi na New Jersey. Jak dobrze być w ruchu; jechać gdzieś, gdzie może znaleźć jakąś odpowiedź. Na rozjeździe wykręciłem w bramę 9, przeciałem rzekę Lawrence i autostradą nr 1 ruszyłem na południe. Po półtorej godzinie byłem w Princeton.

To niezłe miejsce. Nagromadziło się tu dosyć powagi, by postawić tamę wzbierającej armii Ameryki Wykoślawionej. Kiedy zakładano Princeton, wybrano piękną okolicę i taka pozostała do dziś. Odnoszę czasami wrażenie, że Stan Ogrodów, jak nazywano ongiś New Jersey, zajmuje się przede wszystkim produkcją złomu i linii wysokiego napięcia, ale w Princeton nie ma ani jednej fabryki. Kiedy widzi się takie miejsce, określenie Ivy League\* przestaje brzmieć złośliwie.

Skierowałem się do kampusu i zapytałem pierwszego napotkanego dżentelmena, gdzie może być Wydział Geografii. Usłyszał mnie od pierwszego razu: włosy nie zasłaniały mu uszu, on zaś wyglądał na chłopaka, który czasem je myje. Niewykluczone, że zrobił to dziś rano.

Niezbyt dokładnie śledziłem czas, w przeciwnym bowiem wypadku musiałbym sobie uzmysłwić, że wysiłki akademickie ustąpiły pola działaniom układu pokarmowego. Trudno powiedzieć, że było słychać odgłos zgodnie przeżuujących szczęk, ale cisza była nim jakoś brzemienne. Niezrażony wkroczyłem do budynku, rozejrzałem się za pokojem profesora Warda, znalazłem go i zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Ani teraz, ani po kilku następnych próbach. Na sąsiednich drzwiach było napisane „Wstęp wzbroniony”, ale i one były zamknięte, a gdy zapukałem, posłyszałem ów osobliwie pusty dźwięk, który nieomylnie obwieszcza, że w pokoju rzeczywiście nikogo nie ma.

Nie pozostawało nic innego jak czekać. O wpół do trzeciej

\* Liga Bluszczowa — określenie najbardziej cenionych uniwersytetów z Nowej Anglii, a w sensie ogólniejszym elity intelektualnej — (przyp. tłum.).

korytarzem nadeszła dziewczyna, poszperała w torebce za kluczami, znalazła i otworzyła drzwi gabinetu Warda.

— Czy zastałem profesora Warda? — zapytałem.

Obróciła się zaskoczona. Inteligentna twarz — niebieskie oczy w jasnej oprawie — okolona burzą połyskujących włosów, każdego wieczoru wystawianych na setkę pociągnięć szczotki. Kiedyś sam będę miał tak piękną asystentkę.

— A, przepraszam, jak się pan nazywa? — Głos niski i chłodny; miłe wrażenie kompetencji.

— Edwards. Doktor Edwards.

Podeszła do biurka i wzięła z niego coś, co niewątpliwie było kalendarzem z planem spotkań.

— Był pan umówiony, doktorze Edwards?

— Nie — powiedziałem. — Ale chciałbym chwilę porozmawiać z profesorem. To dosyć ważne.

Zamknęła notatnik.

— Przykro mi, ale profesor Ward przyjmuje tylko umówionych gości. Ma bardzo wiele zajęć, rozumie pan. — Osłabiła odmowę uśmiechem, ale była to niewątpliwie odmowa.

— W takim razie proszę mnie zapisać. Na przykład na wpół do trzeciej?

Zmarszczyła brwi.

— Profesor powinien mieć jeszcze jeden wykład. On... — Przerwała.

— On co?

— To nieważne.

— Być może diablo ważne. Coś się stało?

— Nie, doktorze Edwards. Także rano powinien był mieć wykład.

— I?

— Wykład się nie odbył. — Starła się to ukryć, ale była zaniepokojona. Moja natarczywość jakoś do niej przemówiła, poruszyła jakieś struny lęku. — Profesor... On w ogóle się dzisiaj nie pokazał.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Poczułem, że jakiś ciężar nagle zaległ w moim żołądku i spojrziałem na jej zachmurzone czoło.

— Nie zjawił się dziś na wykładzie? — zapytałem. Przytaknęła.

— Często się to zdarza?

— Nie.

— Nigdy? Pokręciła głową.

— Nie przypominam sobie, żeby coś takiego przytrafiło mu się przedtem. Profesor Ward... — urwała.

— Co takiego? — nastawałem.

— To jakby wzór punktualności — stwierdziła. — Nie znosi takich rzeczy jak spóźnianie się. — Kreśliła przede mną obraz pedanta i w pośpiechu to złagodziła. — Jest bardzo miły.

— Czy mogło mu coś wypaść? Jakies zajęcia akademickie albo coś podobnego?

— Dałby mi znać. Doktorze Edwards, czy może mi pan powiedzieć, o co tu chodzi?

— Ma rodzinę?

— Jest kawalerem. Doktorze Edwards, proszę.

— Och, przepraszam, że się w to wszystko mieszam. — Nie chciałem jej nic mówić i wciągać w całą hecę. — Chciałbym się z nim zobaczyć, to tyle. Przyjechałem z Nowego Jorku, z Towarzystwa Geograficznego — skłamałem. Sądzę, że było to niewinne łgarstwo.

— Z Towarzystwa? Przecież nie ma tam nic tak pilnego.  
— Dzwoniła pani do niego do domu? Skinęła głową.  
— Nikt nie odpowiada.  
— O której pani dzwoniła?  
— Dzwoniłam kilka razy. Zastanawiałem się przez chwilę.  
— Panno...?  
— Macdonald. Jane Macdonald.  
— Panno Macdonald, gdyby musiał się spóźnić albo coś mu wypadło, zawiadomiłby panią?  
— Na pewno.  
— A gdyby zamierzał odbyć dziś wykład, o której by to było?  
Spojrzała na zegarek.

— Teraz.

— Czy mogłaby pani wykonać dwa telefony? — zapytałem. — Proszę sprawdzić, czy może pojawił się i czy jadł obiad w kampusie.

Czekałem, przysłuchując się jej i przyglądając. Podziwiałem urodę, sprawność i parę innych rzeczy. Nie trwało to długo; po chwili odłożyła słuchawkę i odwróciła się do mnie.

— Nie jadł tu dziś i nie pojawił się na wykładzie.

— A gdzie mieszka?

— Ale nie wolno mi...

— To proszę dać mi książkę telefoniczną.

Z ociąganiem podała mi adres i informację, jak się tam dostać. Kiedy wychodziłem, powiedziała:

— Da mi pan znać, gdyby coś się stało, prawda?

Jej wskazówki były przejrzyste, ale i tak odnalezienie miejsca zabrało mi trochę czasu. Jedna z tych dzielnic, gdzie dyskretne ulokowanie nazw ulic graniczy z ich anonimowością, a numerów domów nie umieszcza się na bramach. Dwa razy minąłem właściwą uliczkę, zanim się zorientowałem, że to ona. Wykręciłem w nią i jechałem powoli, rozglądając się za japońską wiśnią, o której wspomniała. Obydwoje zapomnieliśmy, zdaje się, że japońskie wiśnie tracą liście na zimę. Poza tym ogrodnictwo nie jest moją silną stroną. W gorze ulicy samochód wykręcił z podjazdu i oddalił się statecznie. W ogóle była to stateczna ulica.

W końcu znalazłem szukany domek, zatrzymałem wóz i wysiadłem. Żwir chrząścił pod stopami, kiedy podchodziłem do czterech stopni prowadzących na werandę. Jeden z tych dużych, starych, pomalowanych na biało drewnianych domów z okiennicami oraz mnóstwem przestrzeni i uroku. Domy biznesmenów są z pewnością częściej malowane, aleja wolę takie. Przycisnąłem guzik dzwonka, umieszczony na framudze drzwi. Nic nie było słychać, nacisnąłem więc raz jeszcze, zastanawiając się, czy dzwonek jest tak cichy, czy też w ogóle nie działa.

Czekałem. Żadnej odpowiedzi, znowu więc zadzwoniłem i tym razem uchwyciłem przygłuszony dźwięk gdzieś w głębi domu. Żadnego ruchu ani odgłosu. Zupełnie jak pokój na uniwersytecie: skądś wiadomo, że dom jest pusty.

Usiłowałem zajrzeć do środka przez wielkie okno z wykuszem znajdujące się po prawej, ale dostrzegłem tylko meble pod przeciwległą ścianą. Wróciłem na ścieżkę i wspiąłem się na palce, ale podmurówka była zbyt wysoka, bym mógł coś dojrzeć. Znowu zachrząścił żwir, gdy okrążałem dom. Na tyłach był duży, ładny ogród, nagi teraz w zimie, ale w lecie na pewno odgradzony, cichy i spokojny dzięki okalającym go wysokim starym drzewom. Zaraz za ogrodem zaczynał się już zagajnik.

Kilka schodków wiodło na szeroki taras ułożony z nierównych płytek; wypełnione szczeliny między nimi tworzyły orientalny wzór. Do domu prowadziły ogrodowe okna. Zbliżyłem się do nich i przycisnąłem twarz do szyby, zaglądając do czegoś w rodzaju saloniku, z dwiema starymi, dużymi, wygodnymi sofami, pokrytymi perkalem, i kilkoma głębokimi fotelami. Pokój był pusty. Ująłem klamkę i na próbę poruszyłem, zdziwiłem się jednak, kiedy się poddała, a okno uchyliło się na zewnątrz. Buchnęło powietrze rozgrzane od piecyka, powietrze mieszkania o nieco stęchłym cieple, świadczącym o mnóstwie książek w środku. Świadczyło też o tym, że nie wyłączono ogrzewania. Wszedłem ostrożnie do środka i skierowałem się ku drzwiom. Pamiętałem podany przez Jane Macdonald opis profesora, miałem jednak nadzieję, że nie należy do tych, którzy przed wyjściem zamykają wszystkie zamki, gdyż tego domagają się towarzystwa ubezpieczeniowe. O tym, że tak nie jest, świadczyło otwarte okno do ogrodu, niemniej poczułem ulgę, gdy drzwi łatwo się poddały. Wszedłem do pustego hallu i tu stanąłem nasłuchując. W każdym domu zawsze są oczywiście jakieś dźwięki i ten nie należał do wyjątków,

ale jedyne dochodzące mnie odgłosy były zupełnie normalne: gdzieś łagodne bulgotanie pompy układu ogrzewania, tykanie wielkiego dziadkowego zegara za ścianą. Poza tym zupełna cisza.

— Profesorze Ward. — Za pierwszym razem nie było to głośno. Staruszek może tu gdzieś był na przykład chory, a obcy głos rozbrzmiewający nagle w domu mógłby nieprzyjemnie go zaskoczyć. Nikt jednak nie odpowiedział, zawołałem więc raz jeszcze, tym razem głośniejsze. Cisza.

Przedem mną były drzwi frontowe. Za mną rząd ładnych, białe pomalowanych krzeseł o wygiętych oparciach. Na lewo dwoje drzwi. Jedne prowadziły do kuchni, do której zaglądnąłem na palcach. Była czysta jak skorupa wyjedzonej ostrygi; nigdzie nic na wierzchu, żadnych brudnych kubków czy talerzy ani suszących się ręczników, rozwieszonych nad kuchenką. Dotknąłem palników, były zupełnie zimne. Z kuchni przeszedłem do sąsiedniego pokoju, do którego starałem się zajrzeć z wejściowych schodków. Stał tu piękny owalny stół z tuzinem rozstawionych wokół niego krzeseł w stylu regencji o prążkowanym obiciu. Także i tutaj ogrzewanie było włączone i byłem rad, że to nie ja będę płacił rachunki za gaz.

Choć starałem się wchodzić po schodach cicho, trzeszczały jednak pod stopami, ale oprócz tego nie dochodził żaden inny dźwięk, nikt się nie pojawił ani nie ruszył. Stałem na szerokim, białym podeście, milczącym i jasnym. Prowadziło z niego kilkoro drzwi; zacząłem od prawej, otwierając i zamykając sypialnie, świadczące jedynie o tym, że żadne z łóżek nie udzieliło noclegu. Duży, ciepły składzik pełen prześcieradeł, ręczników i poszew oraz łazienka, zasobna i staromodna. Wielka wanna z błyszczącym kranem, na podłodze kafelki i wszędzie korkowe maty. Jakoś przypomniało mi to Abrahama Lincolna. Najmniejsze pomieszczenie było podobne; sedes umieszczony wysoko, porowkowany, niezbyt dostosowany do ludzkiej anatomii; nie chciałem tu mieszkać cierpiąc na obstrukcję.

Odwrociłem się, myśląc, że to już wszystko, ale wtedy dostrzegłem jeszcze jedne drzwi. Przedtem ich nie zauważyłem, gdyż pokryte były taką samą tapetą jak ściany. Otworzyłem je i zaglądnąłem.

Siedział w fotelu, głowa przechylona na prawo, gazeta rozłożona na kolanach.

— Profesorze Ward — powiedziałem miękko.

Nie odpowiedział, nawet się nie poruszył.

Odezwałem się jeszcze raz głośniejszym głosem. Ciągłe żadnej reakcji. Wszedłem do pokoju i dotknąłem jego ramienia, które poruszyło się odrobinę. Kiedy spędzi się tyle lat co ja na studiowaniu ludzkiego ciała, wie się, jakie ono jest w dotyku. Ciało powinno być nieco bardziej podatne a to nie było. Nawet gdyby spał, ramię powinno było opaść dość miękko. Położyłem mu rękę na czole, a moje palce dotknęły zimnej skóry i sztywniejącego ciała.

Był niewątpliwie martwy.

Wiem dobrze, lepiej może niż inni, co należy robić, kiedy znajdzie się zwłoki, szczególnie jeśli są powody przypuszczać, że żywe ciało stało się zwłokami w inny niż naturalny sposób: należy, nie dotykając niczego, nawet dywanu, jeśli potrafi się to sprawić, wycofać się do najbliższego telefonu i zawiadomić policję. Czego nie zrobiłem. Chciałem sprawdzić, czy Posepna Żniwiarka sama powiedziała Wardowi, iż już czas, czy miała jakichś pomocników.

Mając do dyspozycji laboratorium i patologa do pomocy mógłbym coś wykryć, ale tak nie dostrzegłem niczego szczególnego. Twarz Warda nie była uszczęśliwiona; nie umierał z promiennym uśmiechem na ustach, nie była to jednak twarz nawykła do takiego uśmiechu. Po śmierci wyglądał zapewne tak jak za życia: poważny, wyniosły, twarz nieco znużona, brwi wręcz stworzone do ocieniania autorytatywnych oczu. Zesztywnienie dosięgnęło już dłoni, które były mocno zaciśnięte na gazecie, ale nie mięły jej kurczowo, w chwili śmierci trzymał ją zupełnie normalnie. Odchyliłem połę marynarki, przypatrując się koszuli, w poszukiwaniu może śladu po kuli czy rany od noża, jakiejś krwi. Ale nie znalazłem. Gdy nachyliłem ciało, nie dostrzegłem także żadnych dziur ani rozerwań na gładkim materiale. Wyglądało to na zgon naturalny.

Obróciłem się ku drzwiom, zamierzając zawiadomić policję, jak przystało na dobrego obywatela, ale przeszkodziły mi w tym dwie rzeczy. Pierwszą było biurko, duże, eleganckie, mahoniowe biurko z blatem pokrytym gładką brązową skórą, na którym pełno było rozrzuconych papierów. Właśnie: rozrzuconych, a profesor Ward z pewnością

nie był typem człowieka obłożonego papierami podczas pracy, niektórymi na swoim miejscu, innymi — nie. Podszedłem do biurka i zobaczyłem dwie wyjęte z niego szuflady oraz papiery walające się po podłodze. Jeden z nich właśnie zsunął się z delikatnym szelestem i opadł na ziemię.

Wiedziałem teraz, że jakkolwiek umarł starszy pan, natura nie przyłożyła do tego ręki. Miejsce to zostało przeszukane, tak jak wczoraj w nocy moje mieszkanie. Stałem spoglądając na ten rozgardiasz, gdy nastąpiła druga rzecz.

Lekkie skrzypnięcie.

Zmroziło mnie na moment, zamieniłem się w słuch, ale dźwięk się nie powtórzył. Na kolanach podpełzłem do okna, odsunąłem odrobinę firankę i ostrożnie wyjrzałem. Przy bramie stało dwóch mężczyzn, jakby na straży. Obaj mieli kapelusze i ciemne, luźne palta, pod którymi z pewnością kryło się coś więcej niż tylko tkanka tłuszczowa. Wzdłuż ścieżki dwóch innych powoli i ostrożnie skradało się po trawie w kierunku drzwi wejściowych. Za bramą dostrzegłem zaparkowany samochód i przypomniałem sobie wóz oddalający się, kiedy ja podjeżdżałem.

Mózg intensywnie pracował. Wykradłem się z pokoju i zbiegłem w dół po schodach. Najszybciej i najciszej jak potrafiłem przedostałem się do hallu i saloniku. Okno ciągle było otwarte. Wyjrzałem przez nie ostrożnie. Nie dotarli jeszcze do ogrodu. Wysunąłem się, przeskoczyłem dwa stopnie i kilkoma susami przesadziłem trawnik, wpadając w zdobiący ogród krzak rododendronu dwadzieścia jardów dalej. Ciągle nikogo. Zacząłem sunąć wzdłuż krzaka, z ciężką gliną przylepiającą się do butów, ale ani mi w głowie było zatrzymywać się, by ją usunąć. Potem zza rogu wyłonił się pierwszy mężczyzna. Miał w ręku broń.

Ciągle posuwałem się, starannie ustawiając stopy, by nie złamać gałązki; przemieszczałem się bardzo wolno, starając się nie spuszczać z niego oka. Zatrzymał się, przyjrzał otwartemu oknu, a potem wszedł rozglądając się z bronią gotową do strzału. Gdy zniknął, zrobiłem to, na co on pewnie czekał: skoczyłem w róg ogrodu.

Musiał stać tuż za oknem, czekając, co nastąpi.

Wyskoczywszy na trawnik usłyszałem jego okrzyk, a potem ostry trzask i głucho uderzenie. Nie zalecam pacjentom biegania z czterocalową



raną w nodze, a moja była już dziś obciążana. Skaleczone miejsce stężało też trochę od czasu, gdy je zszywałem i bandażowałem w okolicach Grand Central. Ale nie czas było teraz myśleć o rekonwalescencji; wykurowanie rany to kwestia przyszłości, a teraz chodziło o uniknięcie w ciągu najbliższych paru minut następnej i dużo bardziej poważnej rany.

Lata temu na skraju trawnika zasadzono kępę buków, między którymi była ścieżka. Minąwszy drzewa znalazłem się w dużym ogrodzie różanym z arkadami i filarami. Biegłem przez niego jak wyścigowy ogar. Na końcu ogrodu stał mur, za którym rozpościerał się zagajnik. Pomyślałem, że gdybym znalazł się między drzewami, ucieczka mogłaby się powieść. Gnałem z wzrokiem wlepionym w ścianę. Im byłem bliżej, tym bardziej rosła; okazało się, że ma około sześciu stóp, rozpaczliwie więc rozglądałem się za czymś, co pomogłoby mi ją przeskoczyć. Wzdłuż całej niemal długości muru rosły krzaki róż, ale w kącie zauważyłem kupę kompostu, a obok coś, co wyglądało na stosik cegieł. Skręciłem w ich kierunku, ośmielając się też rzucić okiem przez ramię.

Sylwetka mężczyzny była wyraźnie widoczna w przerwie między bukami; ze względu na uniesiony pistolet kluczyłem na tyle, na ile pozwalały krzewy róż. Głina ciążyła mi na nogach; miałem uczucie, że biegnę po kleju, ale mur przybliżał się. Stos cegieł był wysoki na kilka stóp. Wydawał się jednak niepewny i łatwo mógł się zawalić, gdy na nim stanę, dodatkowo obciążony wielkimi grudami błota przyklepionymi do butów. Usłyszałem strzał, ale ponieważ nic nie poczułem, pomyślałem, że chybił. Czytałem gdzieś, że granicą celnego strzału z pistoletu jest dziesięć jardów; miałem nadzieję, że to prawda. Dopadłem stosu cegieł, wskoczyłem nań jedną stopą i rzuciłem się na szczyt muru. Zgrzytliwy klekot pode mną obwieścił, że konstrukcja ceglana się rozpadła, ale ciężar ciała nie spoczywał na niej tak długo, by pociągnęła mnie za sobą. Szybki wyprost, obrót i siedziałem okrakiem na murze. Spojrzałem w dół. Goniło mnie już dwóch mężczyzn, ale byli jeszcze o czterdzieści jardów od ogrodu, poza tym nie jest najłatwiej biegać w ciężkich paltach. Zsunąłem się na drugą stronę i pobiegłem w kierunku drzew.

Noga bardzo mnie teraz bolała i marzyłem już tylko o tym, by zagłębić się w zagajnik i z minutką odpocząć. Gdyby to było lato może

rozważałbym wdrapanie się na drzewo, ale liście leżały pod stopami w mokrej, śliskiej, brudnożółtej otulinie, a gałęzie były nagie. Ustrzeliliby mnie więc jak przepiórkę. Nie sposób było zgadnąć, jak daleko ciągną się drzewa, ale miałem nadzieję, że aż do samego Ohio i że gdzieś w głębi będę mógł zatrzymać się i zaczerpnąć tchu.

Nagła szpila bólu przeszła łydkę, potknąłem się i z przekleństwem wylądowałem pod drzewem. Za sobą usłyszałem okrzyk, a obejrawszy się zobaczyłem, iż jeden z nich przebył już mur, podczas gdy drugi siedział na szczycie. Zerwałem się, odbijając w prawo. Miałem nadzieję, że ślady w listowiu nie będą na tyle głębokie, by mogły im ułatwić pościg.

Ćwierć mili dalej znalazłem się na dróżce szerokiej na tyle, by pomieścić jeden pojazd. Nie miałem pojęcia, po co zdąża przez las, było jednak oczywiste, że gdzieś musi prowadzić. Miała asfaltową nawierzchnię, przypuszczałem przeto, że musi coś znajdować się na obu jej końcach. W którą udać się stronę? Nadszedłem z prawej, pomaszrowałem więc teraz jakieś sto jardów w lewo i znowu zanurzyłem się w las po drugiej stronie. Gdy nie było już widać drogi, stanąłem nasłuchując. Z trudem łapałem oddech, w nodze nie ustawał szarpiący ból. A poza tym nie wiedziałem, gdzie jestem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stałem tam, osłaniany od drogi przez pień wielkiego dębu, pewien, że moje dyszenie dotrze aż do nich, a łomot serca powali grube drzewo. Przez jakąś minutę te dwa dźwięki zagłuszały wszystkie inne, stopniowo jednak zaczynałem odzyskiwać oddech, a puls spadł do około stu pięćdziesięciu. Stałem, nie mogąc powstrzymać wywołanego przez wysiłek drżenia kończyn, i nasłuchiwałem. Pośród leśnych odgłosów niełatwo było rozróżnić, co jest czym, ale w końcu posłyszałem ludzki głos. Był dość słaby, a ton nie wskazywał, że jest to miękkie wyznanie, więc musiał dochodzić z całkiem rozsądnej odległości. Odezwał się drugi głos, krótko i ostro, pewnie nakazując pierwszemu, by się zamknął. Pomyślałem, że są pewnie na drodze i zastanawiają się, w którą też stronę poszedłem. Miałem nadzieję, że będą na tyle nierozsądni, by podążyć razem w wybranym kierunku. A może — nagle poczułem w ustach nieprzyjemny metaliczny smak — czekają na dwóch pozostałych i wejdą w las tyraliera?

Zacząłem posuwać się chyłkiem, stale kierując się w lewo i coraz głębiej w las. Co kilkanaście jardów stawałem i nadstawiałem uszu; raz czy dwa wydawało mi się, że słyszę trzask gałązki czy szelest liści, ale nie powstrzymało mnie to od marszu.

Był to koszmar. Tępy ból w każdym mięśniem nóg, w klatce piersiowej jakby wielki eksplodujący ciężar. Byłem zlany potem i coraz słabszy. Odrobina płatków — czyżbym jadł je dziś rano? wydawało się, że lata temu — miała nastarczyć na pokrycie ogromnych wydatków energii. Jeśli miłośnicy płatków Quaker wybaczą mi takie stwier-

dzenie — nie mogą one robić tego bez końca. Wlokąc się przed siebie zauważyłem, że las rzednieje. Na skraju, gdzie drzewa zaczynały już prześwitywać, zobaczyłem długie pole ciągnące się może przez pół mili. Jęknąłem; jeśli czegoś nie chciałem, to właśnie dużej otwartej przestrzeni. Bez żadnej osłony będę miał szanse daleko mniejsze od królika. Na lewo i prawo nie było ani odrobinę lepiej; po obu stronach podobne pola.

Jakoś jednak musiałem wydostać się z lasu. Chociaż ich nie słyszałem, ciągle musieli mnie szukać i gdybym zaryzykował powrót, mogłem wleźć prosto na jednego z nich. Lub obu.

Rozglądałem się niezdecydowany, gdy na horyzoncie zobaczyłem kropkę przesuwającą się ze stałą prędkością. Potem następną. W dzisiejszych czasach może to oznaczać jedynie szosę, a właśnie szosy było mi potrzeba. Parę razy odetchnąłem głęboko, pompując tlen do płuc, i przeskoczyłem przez drucziane ogrodzenie. Pobiegłem po mokrej trawie modląc się, bym wytrzymał i nie zwałił się z nóg, zanim dotrę do szosy. Stopniowo upodabniałem się do tych długodystansowców, biegnących pod koniec chwiejnym krokiem.

Byłem chyba w połowie drogi, pozwalając sobie na nieśmiałą nadzieję, że nikt mnie już nie ściga, gdy z tyłu postyszałem słaby okrzyk. Obróciłem się w biegu i zobaczyłem dwie figurki przełazące przez ogrodzenie. Dalej byli w paltach; w jaki sposób, u licha, ciągle się trzymali na nogach? Może mieli na śniadanie jajka. Uśmiechnąłem się krzywo i pokuśtykałem dalej.

Nigdy nie pojmę, jak udało mi się dotrzeć do drogi. Na końcu pastwiska był płot, z którego raz zleciałem, zanim udało mi się przejść. Z trudem wgramoliłem się pod mały nasyp na skraju drogi z nadzieją, że zaraz pojawi się samochód. I że się zatrzyma.

Z pierwszym się nie powiodło. Kierowca spojrzął na mnie i naciśnął na gaz. Nie miałem do niego pretensji; wątpię, bym w podobnej sytuacji sam się zatrzymał na widok rozczochranego, brudnego łązika na skraju drogi. Ale kiedy zerknąłem na pole, zobaczyłem, że moim prześladowcom brak nie więcej niż kilkaset jardów.

Z rozpaczą patrzyłem to w jedną, to w drugą stronę. Nadjeżdżała ciężarówka. Była ciągle jeszcze daleko, toteż pokuśtykałem w jej kierunku, machając rękami, a potem wyciągając także portfel, by pokazać, że mam swój. Kiedy zbliżyła się, zobaczyłem, że kierowca wykręca,

aby mnie ominąć, więc przesunąłem się, zastępując mu drogę. Jeśli miałem już zginąć, to wolałem tu pod kołami niż w inny sposób. Zapisały hamulce, a ja zacząłem krzyczeć, jak mogłem najgłośniej: „lekarza, lekarza”. Kierowca opuścił szybę.

— To ja jestem lekarzem — wydusiłem z siebie. — Szybko, to bardzo pilne.

— Wskakuj pan. — Przechylił się, by otworzyć mi drzwi. Wdrapując się do kabiny dojrzałem moją dwójkę, jak przesadzała płot.

— Dzięki — wysapałem, opadając na fotel.

— Niezłeś pan zgoniony, doktorze — powiedział przyjaźnie. — Co się stało?

— Uciekałem przed bykiem — odrzekłem.

— Ohoho.

— Dokąd pan jedzie?

— Do Philly. A pan dokąd się wybiera?

— Princeton.

Popatrzył po mnie i wykrzywił się.

— Nie wpuszczą pana do kampusu.

Zerknąłem na niego. Poddał mi pewien pomysł. Miał na sobie brązowy kombinezon i jedną z tych płaskich czapeczek, jakie noszą Anglicy, golfiści i kierowcy ciężarówek.

— Nie sprzedałby mi pan swojego kombinezonu?

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie ostro.

— Gadałeś pan, że jesteś lekarzem — powiedział tonem oskarżenia, a noga powędrowała na hamulec.

Wyciągnąłem z portfela swoje papierki i pokazałem mu.

— A po co on panu?

Trudno mi było znaleźć powód. Najlepiej było przemówić do pazerności.

— Ile jest wart?

— Z jakies pięć dolców.

— Dam panu dwadzieścia. Ale razem z czapeczką.

— W porządku. — Znowu stopa na hamulcu, więc musiałem pośpieszyć z wyjaśnieniem, że dokonamy transakcji, gdy dotrzemy na miejsce, gdzie będę mógł złapać taksówkę lub wynająć auto.

Wyjechałem na szosę samochodem wypożyczonym tym razem od Chevy'ego; obawiałem się, że jak Hertz i Avis dogadają się w mojej sprawie, resztę lat przyjdzie spędzić w Sing-Singu. Rozrzuciłem ich auta po okolicy jak hojny siewca, co nie jest ulubionym przez nich sposobem traktowania wozów.

Daszek czapki dobrze zakrywał mi twarz, a brązowy kombinezon, z przodu i z tyłu reklamujący pralnie Phoenix, powinien być wystarczająco dobrym przebraniem, ale dość się dziś wydarzyło, bym stracił pewność co do swego nazwiska, przez całą więc drogę oczy miałem szeroko otwarte. Bez trudu rozpoznałem łąkę — nie zapomnę jej do końca swych dni — ale ani na niej, ani w pobliżu nie widać było nikogo.

Wracając do Princeton przypomniałem sobie Jane Macdonald i obietnicę, że zadzwonię do niej. Zobaczyłem stację paliwa, zatrzymałem się i wszedłem do budki.

— Tutaj John Edwards. Mam złe wiadomości.

— Niech pan mówi — powiedziała spokojnie.

— No cóż, on nie żyje. Było włamanie do domu i nie żyje. Chwila ciszy, a potem:

— O Boże!

— Przykro mi. Nic nie mogłem już poradzić. Gdy tam dotarłem, był martwy. Nie żył od kilkunastu godzin, może od zeszłego wieczoru.

— Kto...W jaki...

— Nie wiem. Niech pani posłucha, czy dzwonił ktoś, pytając o profesora? Ktoś, kogo pani nie zna?

— Pan — odpowiedziała, a w jej głosie można było wyczuć oskarżenie.

— Nie zrobiłem tego — rzekłem. — Nie żył już od wielu godzin. Mówiłem to pani. Niech pani powie, dzwonił ktoś?

— Parę minut temu. — Powracała jej jasność myśli. — Zadzwonił jakiś mężczyzna i powiedział, że przesłał coś przez pomyłkę profesorowi Wardowi. Jakiś materiał...

— I?

— Chciał się dowiedzieć, czy może przyjść i odebrać.

— Jak się nazywał?

— Robert Smith.

— Tak, tak — powiedziałem. — Z pewnością prawdziwe nazwisko. Teraz niech pani słucha. Proszę zadzwonić na policję i powiedzieć, że profesor nie żyje. Niech pani mówi, że jest pani przestraszona, gdyż ktoś może się włamać do jego biura. Cokolwiek, co ściągnie ich do gabinetu profesora. Potem proszę się ze mną spotkać.

— Nie. — Trudno było mieć do niej pretensje.

— Spotkam się z panią w miejscu przez panią wyznaczonym — powiedziałem z desperacją — gdzie będą dokoła ludzie. Nie chcę zrobić pani krzywdy. Chcę tylko się dowiedzieć, dlaczego on zginął i dlaczego ktoś stara się zabić mnie.

— Pana?! — okrzyk zdumienia.

— Wczoraj wieczorem. Dziś rano po raz drugi. A trzeci przed chwilą. Ale mam nadzieję, że się im urwałem.

Obiecała spotkać się ze mną w barku i odłożyła słuchawkę. Znalazłem się tam w pięć minut, pochłonąłem kanapki i kawę, usadowiwszy się w miejscu, gdzie częściowo byłem skryty za stelażem z tanimi książkami.

Nadeszła w chwilę potem, blada, niespokojna, przestraszona i — piękna. Pomimo wszystko doprawdy piękna; podziwiałem jej nerwy, niemniej spoglądała oto na mnie bardzo podejrzliwie oczyma, które płakały, i to nie tak dawno.

Zamówiłem dla niej kawę, ale zaczęła nie czekając, aż ją przyniosą.

— Kim pan właściwie jest, doktorze Edwards?

— Właśnie doktorem — odpowiedziałem. — Jestem lekarzem. — Znowu w robocie był portfel.

— Więc co się, na Boga, dzieje? Profesor nie żyje? Naprawdę?

— Byłem u niego w domu. Siedzi martwy w fotelu.

— Jak umarł, doktorze?

— Nie wiem. Nie było żadnych śladów przemocy.

W oczach błysnęły jej łzy.

— Był już dość stary. Sześćdziesiąt siedem lat. I jego serce... — Głos jej się załamał, a ja odwróciłem wzrok, by mogła się pozbierać. Po chwili odezwała się: — Nie mógł się pan zorientować, jak umarł?

Potrząsnąłem głową.

— Bez pomocy... — Nie skończyłem, myśl o sekcji nie jest przyjemna. — Ktoś buszował w jego pokoju, czegoś szukając.

— Buszował? — zdziwienie w głosie.

Przytaknąłem.

— Ale po co, doktorze Edwards? Czego mogli szukać?

To się okaże później, jeśli w ogóle. Na razie chodziło o kilka pytań, na które mogła znać odpowiedź.

— Czy profesor był ważną osobą?

— Tak, w swojej dziedzinie był jednym z pierwszych. — Ciągle jednak myślała o czymś innym i powróciła do swej wątpliwości: — Skąd mam wiedzieć, że pan nie ma z tym nic wspólnego?

— Znikąd. Wydaje się, że wspólnie jesteśmy uwikłani w coś, czego nie rozumiem.

Patrzyła na mnie z powątpiewaniem, a nawet podejrzliwością. Zacząłem opowiadać.

— Wczoraj wieczorem ktoś usiłował zepchnąć mnie z drogi, po czym strzelono do mnie. Dziś rano napadł na mnie facet z nożem, a potem po całym Nowym Jorku uganiała się za mną grupka jegomościów z silnym postanowieniem zabicia mnie. Kiedy dostałem się do domu profesora Warda i znalazłem go martwego, rzucili się na mnie uzbrojeni mężczyźni. Uciekłem przez las. — Podciągnąłem nogawkę spodni i pokazałem jej bandaż na nodze, która wcale nie wyglądała dobrze. — Tylko tyle im się udało.

Wyciągnąłem z kieszeni broszurkę i wręczyłem jej.

— Czy mówi to coś pani? Pokręciła głową.

— To po rosyjsku, prawda?

— Tylko tyle wiem. Czy profesor Ward miał jakieś związki z Sowiecami?

Oczy jej się rozszerzyły w zdumieniu.

— Ależ skąd!

— Jest pani pewna?

— Całkowicie. Chyba pan nie podejrzewa...

— Czego?

— No... że pracował dla nich.

— Zupełnie nie wiem, co o tym myśleć. Znalazłem to we wczorajszej poczcie i wtedy wszystko się zaczęło.

— Wydaje mi się, że to jakaś rozprawa naukowa. Dostawał je z całego świata.

— Z Rosji także?

— Czasami.



- Od kogo? I dlaczego?
- Nie słyszał pan o wymianie informacji naukowej?
- A od kogo pochodziły przesyłki? Chodzi mi o te zza Żelaznej Kurtyny.
- Wydziały geografii, instytuty. Tego typu instytucje.
- To jakaś broszurka techniczna — powiedziałem. — O hydroelektrowniach. Coś to pani mówi?
- Nie — zaprzeczyła — żadna technika. Jest — poprawiła się — był geografem, tylko geografem, choć to bardzo obszerna dyscyplina.
- A znajomi — nastawałem. — Czy miał w Rosji jakichś znajomych? Jakiegoś przyjaciela?
- Nie, przyjaciół nie. Znał tam parę osób. Był kilka razy w Rosji na konferencjach czy czymś takim. Ale czasami korespondował zjedną osobą. Z profesorem Komarowem z Leningradu.
- Kopertę nadano w Moskwie. To zapamiętałem.
- Kto to taki Komarow?
- Nazywa się Froł Komarow — odrzekła. — Chyba bardzo ważna postać. Jest członkiem Akademii Nauk.
- Czy dobrze się znali z profesorem Wardem?
- Spotykali się, jak Ward tam wyjeżdżał. Zdaje się, że Komarow raz tutaj przyjechał, ale to było, zanim ja zaczęłam pracować u profesora. Czasami ja coś do niego wysyłałam, a czasami przesyłki od niego przychodziły do Warda.
- Czy profesor Ward mógł się interesować elektrowniami wodnymi w Kazachstanie?
- O tym jest ta broszurka?
- Tak.
- Sądzę, że nie. Interesował się oczywiście wieloma rzeczami, ale...
- Została wydana w 1964. Uniosła brwi.
- Nie rozumiem więc...
- Ani ja — zaczęłam właśnie odpowiadać, gdy za mną rozległ się głos.
- Doktor Edwards?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Odwrociłem się, podniosłem wzrok i spojrzałem w lufę pistoletu. Za pistoletem znajdował się facet wysoki chyba na dziewięć stóp, a szeroki na osiem. U boku miał bliźniaka. Obaj byli w policyjnych uniformach.

— Zadałem pytanie. Czy to pan jest doktorem Edwardsem?

— Tak.

— A pani nazywa się Jane Macdonald? — zwrócił się do dziewczyny.

Skinęła głową.

— Dobra. Wychodzimy.

— Nie musi pan tak straszyć tymi narzędziami.

— Coś takiego — zrobił gest pistoletem. — Wychodzimy.

Wzięłem Jane pod ramię i wyszliśmy. Przy krawężniku stał duży wóz patrolowy, oświetlony jak Time Square. Siedliśmy z tyłu i samochód ruszył. Żaden z olbrzymich bliźniaków nie odezwał się w drodze na komisariat, ale w samym sposobie ich siedzenia czaiła się groźba. Z auta popchnięto nas do budynku; przez duży pokój przeszliśmy do drugiego, mniejszego, w którym nie było ani okien, ani przytulności. Jeden z policjantów wyszedł, drugi stanął przy drzwiach.

Po chwili otworzyły się one i wszedł nowy facet, w cywilnym ubraniu i kapeluszu.

— Dlaczego pan go zabił?

— Dlaczego go zabiłem? — powtórzyłem mechanicznie. — Ja go wcale nie zabiłem.

— Ach nie? W każdym razie to pani dzwoniła — zwrócił się to Jane — jakieś półtorej godziny temu?

— Tak, to ja.

— Powiedziała pani, że profesor Ward nie żyje i że grozi czyjeś włamanie do gabinetu na uniwersytecie.

— Tak — potwierdziła. — Ja... Nie dał jej skończyć.

— A skąd pani wiedziała, że profesor nie żyje?

Zerknęła na mnie.

— Od doktora Edwardsa.

— A on już wiedział — stwierdził detektyw przeciągle. — Jakże miał nie wiedzieć.

— Znalazłem go — wtrąciłem się. — Dostałem się do domu...

— Tak, tak. Wiemy już. Wczoraj późno w nocy. Niebieskie MG — podał mój numer. — A potem dziś po południu, w chevrolecie.

Nagle zrobiło mi się zimno. Spojrzałem mu w oczy.

— To nieprawda, ja...

— Ma pan MG? — zapytał. Także i Jane wpatrywała się we mnie. Znowu była pełna podejrzeń. Nie sposób było zaprzeczać; sprawdzili numery.

— Tak, to moje auto.

— Pytałem już, dlaczego pan go zabił?

Poczułem zimny pot na głowie.

— MG jest w Nowym Jorku — powiedziałem. — Nigdy go nie opuszczało.

— No pewnie — odrzekł. — To dlatego je tu widziano. Około trzeciej nad ranem. Ale dobrze, trzymajmy się pańskiej wersji. Gdzie pan był dziś o trzeciej w nocy?

— Byłem — zacząłem, ale zawahałem się. Byłem u siebie w mieszkaniu, wpatrzony w sufit i niespokojny, ale w żaden sposób nie mogłem tego dowieść. — Byłem w domu — stwierdziłem bez przekonania.

Po prostu stał, patrząc mi w oczy i trwało to całą wieczność.

— Rozmawiałem już z Nowym Jorkiem — powiedział w końcu.

— Z komisariatem dzielnicowym. Ciągłe jeszcze sprawdzają, ale wszystko pasuje. Dlaczego pan go zabił?

— Nie zabiłem — powiedziałem z rozpaczą. — Wczorajszej nocy

byłem w Nowym Jorku. Byłem na przyjęciu. Kiedy wróciłem, stwierdziłem, że ktoś włamał się do mnie. Może to potwierdzić Bob Roberts, portier w moim bloku.

— Niech pan się nie przejmuj. Sprawdzamy wszystko. Na razie jest pan zatrzymany jako podejrzany o morderstwo.

Dlaczego nie opowiedziałem mu o wszystkim? Bo i tak by mi nie uwierzył. Jakkolwiek przeraźliwy mógł być dla mnie ciąg wypadków, nie była to konstrukcja, która wytrzymałaby lekkie chociaż dmuchnięcie. Jeśli wyciągnę książkę, zacznę tłumaczyć, pomyśli, że go nabieram i staram się przeszkadzać w śledztwie. Tajemnicze napady bez powodu. Stara broszurka naukowa. Wszystko to nie trzymało się kupy, dopóki sam nie potrafiłem znaleźć w tym związku czegoś pewnego.

— Trudno — stwierdziłem. — Ale pilnujecie gabinetu profesora?

— Tak. — Odwrócił się do Jane. — To prawda? Ktoś groził włamaniami?

— Nie — odrzekła. — To był jego pomysł. W rzeczywistości zadzwonił jakiś mężczyzna i powiedział, że omyłkowo wysłali coś do profesora Warda i czy mogliby się zjawić, żeby to odebrać.

Tak stanowczo, jak potrafiłem, powiedziałem:

— Na litość boską, niech ktoś pilnuje gabinetu. Będą usiłowali się tam dostać!

Zignorował mnie.

— A co pani mu odpowiedziała?

— Że pomogę mu rano, jeśli będę potrafiła.

Zamknęły się za mną drzwi celi. W napięciu i przygnębieniu leżałem wpatrując się w sufit. Wydawało się, że nie ma na nich sposobu, kimkolwiek byli. Z którejkolwiek strony przyglądałem się całej sprawie, żadna nie wydawała się wiarygodna. O siódmej pojawiła się taca z jedzeniem, a choć kręciłem nosem, kawa była niezła. Godzinę później zabrali mnie z celi i znowu zaprowadzili do małego ciemnego pokoiku. Krzesło strasznie twarde.

— Pański zawód?

— Jestem lekarzem.

— Taaak. Niech pan mi powie, doktorze, czy trudno jest zrobić zastrzyk dożylny? — Nie wiedziałem, dlaczego pyta. — Niełatwo?

— Nie — stwierdziłem. — Trzeba odszukać żyłę.

— Potrzebne jest fachowe przygotowanie?

Coś w jego głosie powiedziało mi, że nowiny są kiepskie.

— Właśnie dostaliśmy wstępny raport z sekcji zwłok profesora Warda. Niech pan zgadnie, na co umarł?

Czekałem.

— Potężna dawka insuliny o przedłużonym działaniu. Wstrzyknięta dożylnie.

Wstrząsnął mną nagły dreszcz.

— No więc tak to widzimy — oznajmił. — Pragnął go pan zabić.

— Ale dlaczego?

— Kto to wie. Chciał go pan zabić. Dowiemy się jeszcze dlaczego. Powiada pan zatem, że włamano się do pańskiego mieszkania. Dowodzi to, że przed północą był pan w Nowym Jorku. Potem przyjechał pan tutaj, zrobił mu zastrzyk i wrócił do siebie. Dziś przyjechał pan ponownie, udając, że nie zna profesora Warda, udał się pan do niego do domu, znalazł ciało, a potem naopowiadał panie Macdonald, jak to ktoś usiłował pana zabić. Kłopot tylko w tym, że około czwartej zadzwonił ktoś do nas, iż jakiś samochód kręci się podejrzanie w pobliżu. MG. Pańskie. To nie Nowy Jork, panie doktorze. Tutaj o tak ранней porze ludzie się dziwią, gdzie też ktoś się wybiera.

Gapilem się na niego. Wszystko dopasowane ładnie i dokładnie. Ci, którzy zagieśli na mnie parol, zabezpieczyli się z pewnością ze wszystkich stron. Telefon o czwartej nad ranem, po tym, jak zabili Warda, był znakomitym pomysłem. Gdyby udało im się ze mną dzisiaj rano w Nowym Jorku, śmierć Warda byłaby związana ze mną. Ponieważ im się nie udało, to teraz robotę odwali za nich policja.

Nie było wielkiego sensu wprowadzać go w całą historię, nie uwierzy mi za grosz. No i nie uwierzył. Opowiedziałem wszystko szczegółowo, od początku do końca, ale nawet przez chwilę nie zagościł na twarzy wyraz zdumienia. Nawet kiedy pokazałem książkę. Powróciłem do celi i wyglądało na to, że pobędę tutaj do pierwszego posiedzenia sądu. Dobry prawnik, wspomagany przez dziurę w dachu MG oraz wielką pomysłowość i doświadczenie, może przekonałby ławę przysięgłych nie tyle o mojej niewinności, co o braku dostatecznych podstaw do skazania...

Gdzieś jednak ktoś nie przysypiał. Koło dziesiątej wyciągnięto mnie z celi i zaprowadzono do znanego mi pokoiku. Byłem niemal zdruzgotany, krzesło wydawało się jeszcze twardsze, a z rany na nodze zaczęło się sączyć. Udało mi się ich przekonać do zmiany opatrunku, ale nie uwierzyli w pochodzenie rany.

Wszedł mój detektyw, tym razem z innym jeszcze facetem, którego nie lubiłem. Widać to było po jego twarzy.

— Edwards, to Henry Mason. Chce z panem porozmawiać.

— W cztery oczy — dodał Mason. Powiedział to jasno, wyraźnie i nader stanowczo.

Detektyw usiłował polemizować.

— Aresztowaliśmy go. Może z nim rozmawiać tylko adwokat.

— Po co tracić czas. Zadzwońcie do Waszyngtonu i połączcie się z gubernatorem. Tylko niech później nie będzie na mnie, jak wylecicie z roboty.

Spojrzałem uważnie na Masona, niemal tak uważnie, jak on wpatrywał się we mnie. Znaczenie jego było duże, nie ulegało wątpliwości, ale on sam nie bardzo. Drobnny, niepozorny facet, stalowy garnitur, szary krawat, siwe włosy. Skóra o bladej, szlachetnej karnacji, arystokratyczny nos.

Poczekał, aż drzwi się zamkną, potem usiadł na rogu biurka.

— Powiadają, że zabił pan profesora Warda.

— Kim pan jest?

— Urzędnikiem państwowym. — To mogło znaczyć wszystko, od deratyzatora Dystryktu Kolumbii po Urząd Skarbu Państwa. — Dlaczego pan to zrobił?

— Nie zrobiłem tego.

— Co pan wie o profesorze Wardzie?

— Zapewne mniej od pana.

— My wiemy, gdzie siada jaki wróbel. Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło.

Opowiedziałem, w końcu nie było tego tak wiele. Nie przegapiłem żadnego słowa, żadnego niuansu, żadnej zmiany tonu. Potem zapytał, dlaczego szukałem Warda, i także to mu powiedziałem. Ani na chwilę nie spuszczał ze mnie błyszczących szarych oczu. Poinformowałem go też, co się wydarzyło od czasu, gdy znalazłem się w komisariacie.

Wtedy się odezwał.

— Gdzie ta broszurka?

— Gdzieś tutaj. Policja mi odebrała.

— Chodźmy. — Zsunął się z biurka, podszedł do drzwi i zastukał w nie lekko. Otworzyły się natychmiast. Poszedłem za nim do pokoju detektywów. — Doktor Edwards pojedzie ze mną.

— Ale zatrzymany jest podejrzany o morderstwo — zaprotestował detektyw, jednak bez specjalnego przekonania w głosie.

— Jeśli wasze podejrzenia się skryształizują — powiedział Mason — będziecie mieć go z powrotem. — Zrobił przerwę efektowną jak u Jacka Benny'ego. — Ale tak się nie stanie. — Zażądał też książki oraz eskorty trzech policjantów.

Pojechaliśmy wprost na uniwersytet, prowadzeni przez reklamujący coca-colę samochód policyjny. Syrena na cały regulator i pełne oświetlenie. Gdy zajechaliśmy na miejsce, Mason wysiadł i skinął na mnie.

— Niech pan prowadzi.

Poszedłem przodem, w górę schodami i korytarzem do drzwi biura Jane Macdonald. Stałem w progu, nie wchodząc za Masonem do środka. Dziewczyna podniosła wzrok, zdumiona i przestraszona na mój widok, ale zaraz uspokojona obecnością policjantów.

— Doktor Edwards nie zabił profesora Warda — odezwał się Mason — ktoś jednak to zrobił. Czy zjawił się ten jegomość, który miał dzisiaj przyjść?

Pokręciła głową.

— Gdzie profesor Ward przechowywał korespondencję?

— Tam — wskazała rząd skrytek. Mason nawet nie spojrzał.

— Czy otwierała pani wszystkie listy do niego?

— Z wyjątkiem oznaczonych jako prywatne.

— Dużo było takich?

— Nie.

Wyciągnął dłoń.

— Poproszę klucze.

Miała zbyt dobry trening. Jak dotąd impet i stanowczość Masona nie zawodziły go. Ale Jane Macdonald nie ruszyła się.

— Z jakiej racji?

— Służby rządowe.

— Kim pan jest?

Wyciągnął malutki skórzany portfelik i podstawił jej pod nos.

— Jeśli potrzebne pani bliższe informacje, to proszę zadzwonić pod ten numer w Waszyngtonie.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła kluczyki.

— Swoją drogą niech pani zadzwoni — powiedział Mason — i poprosi pana Dawsona. Ten pasuje do biurka?

— Nie. Kluczyki do biurka profesor zawsze nosił przy sobie.

Mason spojrzął na jednego z policjantów.

— Potrzebuję tych kluczy. Porozumcie się z kostnicą i dostarczcie je tutaj.

Policjant właśnie wychodził, gdy zadzwonili z Waszyngtonu. Mason wziął od dziewczyny słuchawkę.

— Mam tu rosyjską rozprawkę naukową. Instytut Inżynieryjny z Leningradu. Brak jest strony dziewiątej. Tytuł: „Zasadnicze problemy zaopatrzenia w energię hydroelektryczną rejonu Aktiubińska w Kazachskiej SSR”. Wydane w 1964 roku. Sprawdźcie, czy jest gdzieś jakaś kopia. Gdziekolwiek. Jeśli jest, chcę mieć odbitkę.

— A jak u pana z chińskim? — zapytałem. Moje poczucie humoru zardzewiało odrobinę przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny i chciałem je trochę rozruszać, ale Mason nie uśmiechnął się, nawet na mnie nie spojrzął. Bez szukania wybrał właściwy klucz z pęku i włożył go do zamka w drzwiach prowadzących do gabinetu Warda.

Był to duży pokój, przepelniony półkami na książki, stojakami na mapy i szafkami. Stał też wielki, bardzo piękny globus, którego pozazdrościłoby każde muzeum. Nic nie wskazywało na to, by ktoś tutaj szperał.

— Co z facetem, który ma się zjawić po swoje przesyłkę? — zapytałem.

Mason spojrzął na mnie jak na idiotę.

— Nie przyjdzie. — Rozejrzał się po pokoju, ale widać było, że bez specjalnego zainteresowania. Tym, o co mu chodziło, było biurko.

Za chwilę jęk syreny na zewnątrz obwieścił przybycie kawalerzystów; wnet pojawiły się same klucze. Mason otworzył wszystkie szuflady, wyciągnął je i ułożył na dywanie. Zaczął przeglądać pierwszą, a ja się przyglądałem. Podniósł na mnie wzrok i powiedział:

— Niech pan mi pomoże.

— Czego szukamy?



— Czegokolwiek.

Było tu wszystko, od próbek skał po butelkę magnezji, i papiery, papiery, papiery. Pisaki, kolorowe ołówki, cyrkle, magnesy. Była nawet stara koperta z tuzinem listów w środku i imieniem „Geraldine” na wierzchu, odsyłająca do innego, bardziej romantycznego Warda z czasów młodości, zanim uzyskał katedrę i rozpoczął karierę. Podałem listy Masonowi, który jednak natychmiast zorientował się w ich dacie i odłożył na bok.

Znaleźliśmy też trochę niedawnych listów, ale pochodziły od przyjaciół i krewnych, a dotyczyły tego, jak Jamesowi idzie w szkole i czy Ed przyjdzie na kolację dwudziestego piątego.

Nie znaleźliśmy nic poza tym. Mason wyciągnął z kieszeni cieniutką latarkę i zbadał ramę biurka tak dokładnie, że niemal cały w nią wlaźł. Potem się wyprostował.

— Teraz zabieramy się za książki i skrytki. Panno Macdonald! Zjawiła się natychmiast, a on powiedział jej, co ma zrobić. Podczas gdy przeszukiwała stelaże z mapami i skrytki, Mason i ja przeglądaliśmy systematycznie książki, zaczynając od górnej półki i stopniowo obniżając się. Nagromadziło się ich tysiące i była to długa praca w brudzie i kurzu. Kiedy Jane uporała się ze skrytkami na listy, przyszła nam z pomocą. Dwie godziny później zacząłem być zniechęcony, ale Mason pracował bez ustanku, z takim samym jak na początku ożywieniem i uwagą. Powoli, systematycznie przewracał stronę po stronie, ostrożnie obmacywał każdą okładkę. Gdyby coś było do znalezienia, on by znalazł.

— Mr Mason — odezwała się o wpół do drugiej Jane. Odwróciłem się i zobaczyłem u niej trzy kartki papieru listowego. Nie to, żeby Mason wyrwał jej je, niemniej bardzo szybko przeszły z jednej ręki do drugiej. Prześliznął się oczyma po papierze.

— Na zewnątrz jest mój samochód — powiedział.

Dwie godziny później razem z Masonem byłem w Waszyngtonie? Przez całą drogę nie wypowiedział więcej niż sześć słów. Po prostu włożył listy i broszurkę do kieszeni, a następnie przełączył umysł z „S — szukanie” na „P — prowadzenie”. Stary oldsmobile sunął gładko autostradą w świszczącej ciszy, która sama w sobie była wymowna. Może jakiś diabelski instrumencik sączył uspokajające dźwięki w podświadomość, może byłem po prostu zmęczony. A może Mason

należał do tych kierowców, przy których pasażer nie lęka się, nawet kiedy łamią ograniczenia szybkości. Czas i przestrzeń jakoś skurczyły się i nagle zobaczyłem Kapitol, na tle bladego, zimowego nieba wyglądający jak wycięty z pocztówki.

W Stanach Zjednoczonych jedną z rzeczy zadziwiających osoby, które tak jak ja znają ten kraj z telewizji i książek, jest to, że wcale nie trzeba stuknąć dziewięć razy do drzwi fryzjera, później gwizdać fragmenciku z „Marching Through Georgia”, a na koniec podawać hasła. Jeśli masz sprawę do Central Intelligence Agency, masz ją pod bokiem w Waszyngtonie, wielki budynek z wyraźnym napisem. Przypuszczam nawet, że numer jest w książce telefonicznej. Może do nich zadzwonić byle jaki John Doe.

Ale kiedy John Doe będzie chciał wejść do środka, zostanie zbadany wszechstronnie i starannie. Mason trzy razy legitymował się w różnych miejscach budynku i przeprowadzał mnie przez punkty kontrolne, ja zaś nadstawiałem twarz z profilu i owalu, zgodnie z instrukcjami, aż została uwieczniona dla potomności.

W końcu znaleźliśmy się w sali konferencyjnej. Stał w niej duży stół, wokół niego kilkanaście krzeseł, sprzęt do wyświetlania na ścianie i do innych specjalnych projekcji, który sprawia, że akcje IBM i 3M stale należą do najbardziej poszukiwanych.

Był tu jeszcze jeden facet. Także na szaro, tyle że ten był wysoki i szary, a Mason niski i szary. Kiedy się na nich patrzyło, rozumiało się, że słowo „inteligencja”, do którego robi aluzję nazwa CIA, odnosi się tyleż do pracy co do ludzi.

Mason przedstawił nas. Wysoki mężczyzna nazywał się Lawrence Dawson; wyglądał jak jeden z tych, którzy decydują o losach świata i noszą zegarki Rolex.

— Coś się poszczęściło z tą stroną, Lawrence? — zapytał Mason. Lawrence, nie Larry.

Dawson powiedział, że nie, ale że zrobiono szum wokół tego.

— Jeśli jest gdziekolwiek jakiś egzemplarz, dostaniemy go. Szkoda, że ubiegli nas z kopią w Columbia University. Ale skoro była tam, to jeszcze ktoś powinien ją mieć.

— Jacy oni nas ubiegli? — zapytałem.

Mason zerknął na Dawsona; czeladnik pytał majstra. Majster nie tyle skinął głową, ile opuszczył powieki.

— KGB. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego — stwierdził Mason. Nie musiał rozwijać skrótu. Słyszałem o KGB.

Znowu poczułem ten metaliczny smak w ustach. Nawet nie wiedząc, kogo mam na karku, byłem dostatecznie przerażony i spanikowany. Gdybym wiedział...

— Dlaczego? — dopytywałem się.

Dawson popatrzył na mnie, uosobienie spokoju.

— Któż to wie? Ma to najwidoczniej związek z tą książeczką. Zdaje się, że nie chcą, byśmy ją mieli. A przynajmniej pan. — Uśmiechnął się. — Chce pan coś zjeść, doktorze Edwards?

— Tak, poproszę — odrzekłem.

— Stek? — a kiedy starałem się wycisnąć „tak” z ust nagle zalanych potopem śliny, podniósł słuchawkę i wydał polecenie. — Może nam pan opowiedzieć o wszystkim jedząc.

Smaczny stek, z którym bardzo dobrze harmonizowała butelka burgunda o gwarantowanej jakości i mocy. Zajadałem, dopóki coś było na talerzu, a oni pozwolili mi opowiedzieć wszystko po swojemu, słuchając i nie przerywając, aż skończyłem. Potem zabrali się do mnie jak szeryf Hall.

Robiłem co w mojej mocy, ale wiele było kwestii, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Zapytałem, czy mógłbym przeczytać listy.

„Nie” odpowiedział Mason, „Oczywiście” odpowiedział Dawson i Mason podał mi je. Były dwa listy, a nie trzy, ale jeden zajmował dwie kartki. Oba były napisane odręcznie. Pierwszy brzmiał:

Moskwa, 13 maja 1965 r. Towarzyszu Profesorze!

Piszę, żeby Panu powiedzieć, jak bardzo się cieszę z naszego spotkania. Uważam naszą rozmowę za bardzo inspirującą i pouczającą; to kolejny dowód, że bariery ideologiczne nie mogą przeszkodzić w porozumieniu intelektualnym. Wie Pan już z pewnością, że zostałem zaproszony do przedstawienia w Amerykańskim Towarzystwie Geograficznym referatu na temat naszych prac nad Morzem Kaspijskim; podejrzuwam w istocie, że to Panu zawdzięczam zaproszenie. Mam przeto nadzieję, że spotkam się z Panem w przyszłym miesiącu podczas mej wizyty w Nowym Jorku i że będziemy mogli kontynuować naszą dyskusję.

Z przyjacielskimi pozdrowieniami Froł Komarow

— Dobra angielszczyzna — odezwałem się.

— W latach trzydziestych — wyjaśnił Dawson — spędził trzy lata w Oxfordzie i dwa w Harvardzie.

Sięgnąłem po drugi list.

Moskwa, 14 marca 1969 r. Drogi Profesorze Ward!

Dziękuję za życzenia. Moja sytuacja jest teraz bardziej stabilna i jeśli tylko będę trzymał się diety oraz odbywał okresowe kontrole, będę mógł wytrwać w pracy przez wiele lat.

Przejadanie się jest podobne do przepracowania; trzeba być ostrożnym i znać konsekwencje nieumiarkowania. Dobrze jest czasem oprzeć się podszeptom, stanąć z boku i chwilę pomyśleć, zanim się im nazbyt ulegnie. Ciągłe z przyjemnością wspominam naszą rozmowę w Pańskim domku koło Princeton. Gdybyśmy mogli współpracować ściślej, niż możliwe to jest w dzisiejszym świecie, jestem pewien, że efekty byłyby korzystne dla wszystkich. Mam nadzieję, że któregoś dnia znowu będziemy mogli się spotkać, chociaż obawiam się, że przy moim obecnym stanie fizycznym podróż byłaby trudna. Proszę przekazać wyrazy uszanowania Amerykańskiemu Towarzystwu Geograficznemu i pamiętać, że wspominam Pana ze wzruszeniem.

Szczerze oddany Frol Komarow

Zwróciłem listy Masonowi.

— Koleżeńskie grzeczności — stwierdziłem.

— A ja chciałbym wiedzieć, o co w nich, do licha, chodzi — cicho powiedział Dawson.

Zadzwoił telefon. Podniósł go Mason, przez chwilę słuchał, a potem odłożył słuchawkę.

— Znaléźli egzemplarz w Imperial College w Londynie. Kablują nam kopię.

— W porządku — skwitował Dawson.

Nie było nic do roboty prócz czekania, ale nie trwało ono długo. Po paru minutach zjawił się krótko ostrzyżony młody blondyn, ścięgnął kości, i wręczył Dawsonowi kawałek papieru. Ten podał go Masonowi.

— To po rosyjsku.

Mason wziął kartkę i zaczął czytać. Po chwili Dawson zapytał:

— No i co?

— Jak na razie w niczym nie różni się od całej reszty. Megawaty, moc napędowa, ściśle techniczne. Nie, zaraz!

- Co takiego, Henry? — miękki głos Dawsona. Mason czytał przez chwilę w milczeniu, a potem spojrzał na nas.

— Jest tutaj wzmianka o technice zmian temperatury, której autorem jest akademik F. Komarow. — Doczytał do końca. — Nic więcej.

— To pasuje do reszty. Wszystkie ślady prowadzą wyraźnie do Komarowa — skonstratował Dawson. — Co o nim wiemy?

— Wezmę materiały. — Mason przeszedł przez pokój do pulpitu z klawiaturą i zaczął na niej stukać. Kiedy skończył, dał się słyszeć lekki warkot, a po nim dźwięk, jakby garść gwoździków wysypała się na blat, a następnie z drukarki wypełzła taśma papieru. Mason odewiał ją wyćwiczonym lekkim szarpnięciem i wrócił do nas. Papier, odrobinę dłuższy i szerszy od normalnego formatu, był zadrukowany, a wszystko razem zabrało nie więcej niż minutę. Mason podał go Dawsonowi, ten spojrzał nań i włożył do rzutnika produkcji 3M. Litery ukazały się na ścianie po drugiej stronie pokoju, tak że mogliśmy teraz czytać jednocześnie.

KOMAROW, FROŁ ILJICZ UR. 1907 MOSKWA, CZŁONEK RADZIECKIEJ AKADEMII NAUK 1948, STUDIA GEOGRAFICZNE UNIWERSYTET MOSKIEWSKI 1926—1931, DOKTORAT 1933; STUDIA BIOLOGICZNE UNIWERSYTET OKSFORDZKI, WLK. BR. 1933—6, GEOLOGICZNE HARVARD USA 1936—8. SPECJALNOŚCI BIOLOGIA, GEOLOGIA, INŻYNIERIA. ZAŁOŻYŁ 1945 INSTYTUT OCEANOGRAFICZNY, PŁW. KAMCZATKA. CZŁONEK PARTII KOMUNISTYCZNEJ OD 1925. W ROKU 1919 JAKO DWUNASTOLATEK MIAŁ WSTĄPIĆ DO MŁODZIKÓW ARMII CZERWONEJ WOROSZYŁOWA. ODZNACZONY ZA ODWAGĘ. NIEJASNA SŁUŻBA PODCZAS WOJNY. ZDAJE SIĘ, ŻE UZYSKAŁ KAPITANA MARYNARKI RADZIECKIEJ. 1945 NAGRODA LENINOWSKA ZA BADANIA GEOGRAFICZNE, 1949 NAGRODA STALINOWSKA ŻADNYCH SZCZEGÓŁÓW, TEORETYK OCEANOGRAFII, RZECZNIK SILNEJ MARYNARKI. W OKRESIE PRZEWAGI SOWIECKIEGO LOTNICTWA PODOBNO W NIEŁASCE, PRACA W CENTRALNYM INSTYTUCIE ARKTYCZNYM W NOWOSYBIRSKU. UWAŻA SIĘ, ŻE DZIĘKI NIEMU ROZWINĘŁO SIĘ WYDOBYCIE MINERAŁÓW W OKRĘGU WORKUTY NA DALEKIEJ PÓLNOCY: ZŁOTO, DIAMENTY, NIKIEL, URAN, WĘGIEL. PUBLICZNIE<sup>^</sup> OŚWIADCZYŁ: SIŁĘ ROBOCZĄ TRZEBA WERBOWAĆ, NIE PRZYMUSZAĆ. NIEZADOWOLENIE CHRUSZCZOWA, NIEMNIEJ UWAŻA SIĘ, ŻE DZIĘKI NIEMU ZATRUDNIANO OCHOTNIKÓW, A NIE WIĘŻNIÓW.

Potem następowała lista publikacji na najróżniejsze tematy, a dalej tekst głosił:

KOMAROW RAZ PRZYJECHAŁ PO WOJNIE DO STANÓW ZJEDNOCZONYCH, REFERAT W AMERYKAŃSKIM TOWARZYSTWIE GEOGRAFICZNYM: POTRZEBA ROZWOJU KANAŁÓW KOMUNIKACJI RADIOWEJ NA MORZU, W PRINCETON TRZY DNI, GOŚCINA U PROF. EDWINA WARDA, W DRODZE POWROTNEJ DO MOSKWY ODWIEDZIŁ ANGLIĘ, W OXFORDZIE U JAMESA CATTO, ORIEL COLLEGE, JEDYNY ZNANY ZACHODNI PRZYJACIEL Z CZASÓW STUDENCKICH... INFORMACJA OD AGENTA KGB, WŁADIMIRA IWANOWA, PRZESZEDŁ DO NAS BERLIN KWIECIEŃ 1969, KOMAROW ZNIKNĄŁ, ARESZTOWANY. OFICJALNA INFORMACJA ŹRÓDEŁ SOWIECKICH, KOMAROW NIE ŻYJE. KWIECIEŃ 1969, PAŃSTWOWY POGRZEB, POŚMIERTNIE ORDER BOHATERA ZWIĄZKU RADZIECKIEGO.

— O mój Boże — wykrztusiłem. Dawson był chłodniejszy.  
— Co z tego wszystkiego wynika?  
— Cała ta sprawa czymś śmierdzi — odezwał się Mason. — Coś się dzieje. To jedno jest pewne.  
— Konferencja — zarządził Dawson. — Wszyscy mają się tym zająć.

Pokój szybko się napełniał, a ja zafascynowany patrzyłem, jak gromadzi się elita wywiadu. O „The Spy Who Came In From The Cold”\* powiedziano, że to najbardziej realistyczna ze wszystkich powieści szpiegowskich: historia podpadłego i cynicznego agenta, załamane go, działającego bez powodzenia w świecie, który swoim cynizmem przewyższa go tysiąc razy. To tymczasem wyglądało jak męski wieczór w kółku rodzicielsko-nauczycielskim albo jak narada kierowników działów sprzedaży. Ci faceci wracali wieczorem do domu i majstrowali przy samochodach albo ręcznych wiertarkach, hodowali róże, a w sobotnie popołudnia uwijali się przy ogrodowych piecykach podczas barbecue. Wątpię, by w pokoju znalazł się choć jeden rewolwer, a nie byłbym tego taki pewien w przypadku miłych sąsiadów z kółka w niektórych miasteczkach.

— Dobrze, panowie — zaczął Dawson. — Coś nam się tu rysuje, ale nie wiemy dokładnie co. Trzeba to ocenić. Może trzeba będzie podjąć jakąś akcję. Mason.

\* W polskim przekładzie R. Stillera: „Ze śmiertelnego zimna” (przyp. tłum.).

— Chodzi o Rosję — mówił nie wstając. — Do rąk doktora Johna Edwardsa, tam siedzącego, dotarł pewien dokument. — Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, a potem odwróciły, tak że nawet nie zdążyłem się uklonić. — Później doszło do kilku ataków na doktora Edwardsa. Nader szczęśliwie udało mu się ująć z życiem. Włamano się do jego mieszkania, ale jedyne, co zabrano, to koperta, w której przyszedł dokument. Wydaje się oczywiste, że doktor Edwards otrzymał przesyłkę omyłkowo i że miała być ona wysłana do profesora Edwina Warda z Princeton University. Profesor Ward został zamordowany.

W pokoju panowała absolutna cisza. Mieli przyjmować informacje, a nie reagować na nie. Mason kontynuował.

— Jak dotąd, udało nam się wykryć trzy dokumenty. Pierwszy nadszedł do doktora Edwardsa i jest sowiecką rozprawką akademicką o hydroenergetyce w Kazachstanie opublikowaną w roku 1964. W tej chwili wydaje się, że nie ma w niej nic interesującego z punktu widzenia wywiadu czy kontrwywiadu, ze środka wydarto jednak jedną stronę. Inny egzemplarz, będący w posiadaniu Columbia University w Nowym Jorku, został usunięty. To, jak i chytry plan zrzucenia odpowiedzialności za zabicie profesora Warda na doktora Edwardsa oraz zamachy na życie tego ostatniego świadczą o dobrze zorganizowanej operacji, a pochodzenie broszurki wskazuje na ZSRR. To zaś oznacza KGB.

Dwa pozostałe dokumenty to listy napisane do profesora Warda przez akademika Froła Iljicza Komarowa. Profesor Ward był geografem, postacią ważną w swojej dyscyplinie, cenioną i znaną na całym świecie. Geografia była również głównym polem zainteresowań Komarowa, ale zajmował się także geologią, inżynierią i oceanografią. Z listów można wnioskować, że Ward i Komarow nad czymś dyskutowali i że zrodziła się między nimi jakaś osobista więź oparta na wzajemnym szacunku, a pewnie i sympatii. Kopie tych dokumentów właśnie są sporządzane i będą dostępne za kilka minut.

Ward jednak nie żyje. To wiemy na pewno. Wiadomo też, że w kwietniu tego roku poinformowano w Moskwie o śmierci akademika Komarowa i że zrobiono mu państwowy pogrzeb, nadając pośmiertnie tytuł bohatera Związku Radzieckiego.

Wszyscy panowie pamiętają, jak myślę, że w maju tego roku uciekł

na Zachód pułkownik KGB Władimir Iwanow. Większość informacji, jakie podał podczas przesłuchań, musi być jeszcze sprawdzona, ale to, co udało nam się dotąd potwierdzić, wskazuje na wysoki stopień kompetencji. Iwanow zrobił wzmiankę o Komarowie, choć mimochodem. Słyszał, jak powiedział, że akademik Komarow zniknął i pod nadzorem pracuje gdzieś poza Moskwą. Ponieważ informacje a) o jego śmierci i b) o jego zniknięciu są niemal równoczesne, niewykluczone, że zachodzi jakaś pomyłka. Ale jest też możliwe, że nie ma żadnej pomyłki.

Mason oszczędził sobie podsumowań czy spekulacji. Po prostu skończył mówić. Na stół wjechały teczki z kopiami, rozdane dokoła.

— Działania, panowie? — odezwał się Dawson.

Sugestie padały jak za naciśnięciem guzika, kiedy oczy Dawsona, poczynając od mężczyzny po jego lewej, przesuwają się dokoła stołu z jednego na drugiego.

— Kolejne przesłuchanie Iwanowa może potwierdzić lub przynajmniej wyjaśnić problem zniknięcia lub śmierci.

— Zgoda — potwierdził Mason.

— Natychmiast zebrać i ocenić wszystkie dostępne publikacje Komarowa.

— Ich lista znajduje się w komputerze — poinformował Dawson.

— Może być niekompletna. Poinformować wszystkie biura o pilności sprawy.

— Doktor Catto z Oriel College w Oxfordzie. Powinniśmy mieć go tutaj.

— Zgoda.

— Dokładne przeszukanie domu profesora Warda i jego gabinetu w uniwersytecie. Przesłuchanie wszystkich przyjaciół i znajomych. Mógł z kimś rozmawiać o tych sprawach.

— OK — uśmiechnął się Mason. Po raz pierwszy widziałem go uśmiechniętego. — To może trochę potrwać — rzucił — profesor Ward miał mnóstwo papierów.

— Także i w domu pełno jest książek — odezwałem się.

Uśmiech Masona znikł. Nie chciał, bym brał udział w tej rozmowie; nie powiedział wprawdzie, bym się zamknął, ale jego wzrok mówił sam za siebie. Jeszcze się nie zdecydowałem, czy mam się obrazić, czy zirytować, kiedy mówił już ktoś następny:



— Doraźna ocena wszystkich informacji wywiadowczych, w szczególności niewyjaśnionych zdarzeń, które mogą się w jakikolwiek sposób wiązać ze zniknięciem Komarowa.

— Zgoda.

— Akcja w samym ZSRR, aby wyjaśnić informacje o poczynaniach Komarowa.

Zobaczyłem, że Dawson podnosi wzrok.

— Jeszcze nie — powiedział miękko. — Nie wiemy, czy skórka warta jest wyprawki.

Zapadła cisza. Mason i Dawson rozejrzeli się wokół stołu, ale nie było więcej propozycji.

— W porządku. Do roboty — powiedział Mason.

— Jutro o dziewiątej — dorzucił Dawson.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Po skończeniu medycyny odbywasz jakby wycieczkę po stażach, ucząc się, jak i gdzie co działa. Z prywatnego punktu widzenia jesteś nieustannie zajęty i zmęczony. Zaczynasz cenić sen i uczysz się zapadać w niego, kiedy tylko nadarzy się okazja. Byłem swego rodzaju mistrzem, gdy szło o szybkie podespanie, czterdziestominutową drzemkę; koneserem zacisznych zakątków. Jeden odkryłem na oddziale położniczym. Malutka salka z kilkoma łózkami, nieczęsto używanymi i bardzo kuszącymi. Tylko jeden raz dałem się skusić i leżałem przeszło godzinę, wsłuchując się w zgrany koncert ponad czterdziestu dziarskich noworodków, zanim zwlokłem swe znużone kości i zabrałem się stamtąd. Odtąd wyrażenie „śpiący jak dziecko” wydaje mi się jednym z najgorszych w angielszczyźnie porównań. W Waszyngtonie spałem jak kłoda, jak jeź w stanie hibernacji, jak Rip van Winkle. Dali mi pokój w budynku CIA, z telewizorem, łazienką i — choć wymagało to trochę nalegań — butelką scotcha. Rozkoszowałem się swą ulubioną formą odprężania przez godzinę i trzy szklaneczki, nader zadowolony, że nigdzie na świecie nie mogłem być bardziej bezpieczny. Kojąca była myśl o wszystkich tych punktach kontrolnych, strażnikach, legitymacjach i fotografiach: cały olbrzymi aparat CIA stał na straży, podczas gdy leżałem sobie z ustami tylko odrobinę nad poziomem wody i gapiłem się na kropelki pary osiadające na kafelkach. Od czasu do czasu przytykałem do ust szklaneczkę, pociągając whisky Wuja Sama i odczuwając tę małą dodatkową przyjemność, do której ma prawo każdy uczciwy podatnik. Pomyślałem też o KGB, zgrzytającym swymi kolektywnymi zębami gdzieś tam za murami;

miałem nadzieję, że fiasko jest u nich karane zsyłką do kopalni soli. Byłem bardzo rozluźniony, radosny i niemal zadowolony z siebie. Kiedy wylądowałem ostatecznie w łóżku między tymi miłymi szleszczącymi prześcieradłami, spałem przez trzynaście godzin.

Gdybym tylko wiedział, co mnie czeka, wątpię, czy w ogóle bym zasnął.

Zbudzili mnie rano podając sute śniadanie, nakrochmalone serwetki i „Washington Post”. Nie było ani słowa o profesorze Wardzie i zastanawiałem się, jakie to potężne naciski mogły skłonić do milczenia Czwartą Siłę. Kiedy wziąłem już prysznic i nałożyłem świeżą bieliznę oraz śnieżnobiałą nową koszulę wyczarowaną przez jakiegoś giemka, udałem się do ambulatorium, gdzie zmienili mi opatrunek na nodze, ja zaś z zawodową dumą patrzyłem na rząd szwów, które zrobiłem. Biorąc pod uwagę okoliczności całej operacji, były całkiem niezłe. Dlatego poczułem się z lekka urażony, gdy zdjęto je i założono nowe. Tak czy inaczej, rana zaczynała się zraść.

Tuż przed dziewiątą dwóch zwalistych typów przyszło, by zaprowadzić mnie do sali konferencyjnej. Trudno powiedzieć, by prowadzili mnie w dosłownym sensie, niemniej jeden szedł z przodu, a drugi z tyłu i nie usiłowałem wyobrazić sobie, co by nastąpiło, gdyby moje stopy zoczyły na prawo lub lewo.

Dawson czekał na mnie.

— Dobrze pan spał, doktorze Edwards?

— Jak kłoda — przytaknąłem wesoło.

— Zasłużył pan sobie — skomentował Mason.

Nie zauważyłem go; jego naturalny kamuflaż skrył go między szarymi szafkami i dopiero odezwanie się ujawniło jego obecność.

Reszta zjawiała się w chwilę później, twarze wypoczęte i ożywione, wszyscy gotowi do zajęć na nowym basenie, jeśli tylko trener się zgodzi.

— Dobra — odezwał się Dawson. — Cóż tam mamy?

— Sekcja Y przez trzy godziny maglowała wczoraj Iwanowa w naszej sprawie. Narkotyki, hipnoza, cały ten kram. Jest zupełnie przekonany o zniknięciu. Usłyszał sformułowanie „pracuje pod nadzorem”.

— W porządku — stwierdził Mason. — Co z Catterem?

— Właśnie leci. Żadnych problemów. Poprosiliśmy, żeby przyjechał, powiedział, że z przyjemnością, choć nie wie jeszcze po co. Będzie tu niedługo.

— Ja go wprowadzę — oznajmił Dawson. — Co dalej?

— Otrzymaliśmy niektóre z publikacji Komarowa, ale tylko dostępne w normalnej wymianie międzynarodowej. Trochę są porzucane po całym świecie, ale przesłano nam kopie, tam gdzie są odpowiednie urzędnicy, a gdzie nie ma, wysłali nam papiery.

— Jest w nich coś? — znowu głos Masona.

— Nie.

— W porządku. Przeszukania.

— Dom Warda i jego gabinet zbadały oddzielne ekipy. Nic nowego nie znaleziono. Nikt z kolegów, z którymi rozmawialiśmy dotąd, nie przypomina sobie niczego szczególnego. Jeden z nich gawędził ostatnio z Komarowem, ale rozmawiali jedynie o Picassie, co dobrze zapamiętał.

— Jak wygląda obraz z totalnej obserwacji? — zapytał Dawson.

— Nic wyjątkowego. Stały nasłuch sygnałów informuje o nasileniu ruchów w jednych miejscach i osłabieniu w innych. Nic tak szczególnego, by wymagało natychmiastowych raportów. Wszystkie odchylenia w granicach statystycznej normalności. Najczęściej chodzi o ruchy statków. Na wszelki wypadek sporządzono jednak listę przypadków, wzmożonych przesunięć.

Kopie obiegły stół, mnie omijając. Kółko rodzicielsko-nauczycielskie przeczytało, przyswoiło i odłożyło papiery na właściwe kupki. Ten sam mówca kontynuował.

— Obserwacja satelitarna pokazuje normalny ruch w całym kraju. Ciągłe dzieje się coś nowego, od koła podbiegunowego po Taszkient i od Ukrainy po Władywostok. Oczywiście wszystkie raporty o nowych silosach rakietowych i dużych instalacjach radarowych są automatycznie opatrywane priorytetowym czerwonym paskiem. Ciągłe rośnie aktywność stoczni w Niemczech Wschodnich i w Polsce, ale sądząc z budowanych kadłubów nie chodzi tu o coś więcej niż atomowe łodzie podwodne klasy a, służące do zwalczania innych łodzi albo atomowe lodołamacze klasy arktycznej. Trwa rozbudowa kosmodromu w Bajkonurze, ale o tym informowano już wcześniej. Od kilku tygodni w większej części północnej Rosji jest oczywiście najgłębsza

noc, i chociaż fotografie w podczerwieni są coraz lepsze, to jednak ciągle występują zasadnicze problemy z interpretacją. Niewyjaśnione ciemne plamy; to może być brak odbicia, usterki w transmisji. Cokolwiek.

— Nie wydaje się, żebyśmy się bardzo posunęli, prawda — powiedział cicho Dawson. — Cóż, spróbujmy powiązać ciemne plamy ze wzmożonymi ruchami, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Spod sufitu rozwinęła się wielka mapa i kilku z nich zabrało się do roboty. Trwało to mniej więcej pół godziny i znaczki zaczęły się gromadzić. Nie powstał wprawdzie bałagan, ale wszędzie, na podłodze, blatach, w kątach zaczęły się piętrzyć stosy papierów i fotografii. Marynarki powędrowały na oparcia krzesel, a dyskusja przybrała charakter — jak oni to określają — generalny.

Potem pojawił się Ściegna-i-Kości, a wraz z nim niski mężczyzna o grubych wargach. Skóra chropawa, zryta pozostałościami po ostrym trądziku młodzieńczym, na czole siatka głębokich, wijących się zmarszczek. Miał duże, ciemne okulary.

— Doktor James Catto — oznajmił Ściegna-i-Kości.

Dawson szybko wstał i podszedł do przybyłego z wyciągniętą ręką.

— Dziękuję za tak szybki przyjazd, doktorze Catto.

— Nie ma za co, zrobiłem to z przyjemnością. — Głos był zaskoczeniem; oczekiwałem czegoś w rodzaju ropuszego skrzeku, a tymczasem usłyszałem czystą, wyartykułowaną frazę, której nie powstydziliby się Noel Coward.

— Proszę, niech pan tu zostawi swój płaszcz i teczkę — powiedział grzecznie Dawson i poprowadził Catta do narożnego gabinetu.

— Dziękuję, bardzo pan uprzejmy — wymruczał tamten.

Nie było ich przez jakieś dwie minuty, po czym wrócili. Dawson musiał poinformować Catta o śmierci Warda. Z jego twarzy trudno było wywnioskować, czy bardzo się tym przejął.

Mason krótko zaprezentował Cattowi przebieg wydarzeń i podał posiadane informacje. W każdym zdaniu było więcej informacji niż w całym numerze „Time'a”.

Potem włączył się Dawson.

— Doktorze Catto, my w CIA lubimy, gdy na jakimś problemie skupi się kilka osób. Jeśli pan chce, może pan to nazwać burzą mózgową, ale dla nas jest to zaprezentowaniem jakiejś kwestii przed-

stawicielom różnych dyscyplin, by spojrzeli na nią z kilku stron jednocześnie. Chciałbym teraz zadać panu kilka pytań, podczas gdy inni będą się przysłuchiwali. Potem przyjdzie kolej na nich. Zgoda? Wydatne wargi Catta rozciągnęły się w uśmiechu.

— Sam czasem w ten sposób prowadzę zajęcia. Proszę robić, co pan uważa za stosowne.

— Zna pan Komarowa — zaczął Mason.

— Znałem — sprostował Catto. — Z przykrością dowiedziałem się, że zmarł na wiosnę tego roku.

— Mamy podstawy uważać, że nie jest to do końca pewne — rzekł Mason.

— Naprawdę? — Nie wydawał się szczególnie zaskoczony. — Byłbym bardzo rad, gdyby doniesienia o jego śmierci okazały się przesadzone.

— Czy orientuje się pan, nad czym on pracuje?

— Komarow to szczególny typ umysłu — powiedział Catto. — Jest on, był — nie, mam nadzieję, że jest — bardziej teoretykiem tworzącym modele niż badaczem zgłębiającym jedną dziedzinę. Wszystko, co wiąże się z geografiami ZSRR, z otaczającymi go oceanami i morzami, z minerałami w jego głębi może się łączyć z jakimś z jego pomysłów. Na przykład, to w dużym stopniu za jego sprawą dokonano większości odkryć mineralogicznych w północnej Eurazji. Jest bardzo zaangażowany w różnego typu badania oceanograficzne. — Znowu uśmiech. — Przepraszam, jeśli nie na wiele panom się to przyda. Jeśli zapyta pan mnie, co robi profesor Dorothy Hodgkin, w miarę swych możliwości mógłbym tylko określić kierunek jej poszukiwań. To samo dotyczy, na przykład, Oppenheimera. Niech pan sobie wyobrazi, że sześćdziesiąt lat temu zapytałby pan przeciętnej matematyka, nad czym pracuje Einstein. Komarow modeluje pojęcia w swojej dziedzinie czy dziedzinach.

— Takie jak...? — sucho, ale z lekkim uśmiechem zapytał Mason.

Catto z rozbawieniem rozdziawił swe szerokie usta.

— Nie mam nic przeciw temu, żeby mnie przyciskać. Ale to nie był wykręt. Musicie, panowie, określić, o jakich sferach mam powiedzieć dokładniej. On myśli o bardzo wielu rzeczach, przeprowadził mnóstwo eksperymentów, na przykład z przekazywaniem dźwięków w morzu. Ale badał też wzajemne wpływy prądów oceanicznych,

wykorzystanie zdjęć satelitarnych do wykrywania złóż mineralnych. — Urwał. — On tak sobie chodzi tędy i owędy.

— Spróbujmy sami tego uniknąć, doktorze — odezwał się Dawson. — Niech pan nam opowie o Komarowie jako człowieku.

— Jako człowieku? Tak, dobrze... Znam go od prawie trzydziestu pięciu lat. Wiecie, panowie, że studiował w Oxfordzie. Na pewno wiecie?

— Tak — potwierdził Mason.

— Tak sądziłem. Kiedy przyjechał pierwszy raz, był bardzo zapalony. Znakomity, naprawdę znakomity, ale cały przesiąknięty marksizmem, rozumie pan. Można było odnieść wrażenie, że nie bardzo lubi towarzystwa. Zawsze o nim myślałem jako o samotniku. Nie jest gadliwy, nie znosi zdawkowej konwersacji. Albo jakiś temat zupełnie go wciąga, albo idzie do siebie i czyta książki. Ale to także marzyciel. Verne'a i H.G.Wellsa zna prawie na pamięć. Na zawsze taki pozostał. Posyłałem mu książki Arthura C. Clarke'a.

— Zna pan jego sposób pisania listów? — zapytał Dawson. — Korrespondowaliście ze sobą, prawda?

— Z przerwami, ale zawsze — odrzekł Catto. — Przepuszczali moje listy do niego i jego listy do mnie nawet w najgorszych czasach stalinowskich. Tak, znam jego styl.

Mason podał mu oba listy. Catto starannie przeczytał je dwa razy, potem podniósł wzrok.

— Drugi jest trochę dziwny. To niepodobne do niego, by się rozvodzić nad chorobami. Kiedy oznajmił mi, że ma cukrzycę, zrobił to w jednym zdaniu i zaraz powrócił do tematu. I przepracowanie to nie jest wyrażenie z jego słownika. Zawsze pracował bez wytchnienia. Co więcej, uwielbia podróżować. Bardzo dziwne.

— Lubi go pan? — padło pytanie Dawsona.

— Ach, bardzo. Ogromnie miły człowiek. Oczywiście, bez reszty zagorzały marksista, ale także humanista. Lubił cytować te słowa Sha-wa, iż tak nienawidzi nędzy, że chce ją znieść.

— Zasady? — znowu Dawson.

— Jest nimi przesiąknięty. Nie mogę sobie wyobrazić, jak udało mu się przetrwać epokę Stalina. Nie chce mieć nic wspólnego z jakimkolwiek wyzyskiem. Wiecie, co zrobił w Workucie?

— Trochę — powiedział Dawson.

— Nastawał na ochotniczych pracowników, a nie więźniów z obozów karnych. Co więcej, miał sukcesy. Żadnych sabotaży i spory zapał. Czasami myślę, że to stało się impulsem dla polityki dziewiczych ziem Chruszczowa... Mówię bez związku, czy też w czymś to pomaga? Niełatwo samemu ocenić.

Spostrzegłem, że się uśmiecham, podobnie jak cała reszta. Trudno było nie lubić doktora Catto i oprzeć się jego pięknie modulowanemu głosowi.

— To bardzo pomocne, panie doktorze — powiedział Mason. — Nie jestem jeszcze pewien, w jaki sposób, ale na pewno nam to pomoże. Niech pan mówi dalej.

— Dalej? Dobrze, spróbuję. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Wicie, panowie, że był gorącym zwolennikiem sprawiedliwości, co na swój sposób jest dziwne. Domagał się absolutnej wolności nauki, no ale wówczas wszyscy staraliśmy się o to walczyć. Aha, i jest, zawsze był, bardzo głęboko poruszony moralną sytuacją uczonego. Potępił Einsteina za dostarczenie Rooseveltowi równania, które stało się podstawą bomby atomowej. Uważa, że Einstein powinien był pozostawić je dla siebie i popełnić samobójstwo, gdyby wymagało tego zachowanie tajemnicy. To samo z takimi substancjami jak DDT. Komarow sprzeciwia się pomysłom użycia materiałów, których dostatecznie nie zbadano i których skutki są nieprzewidywalne.

Ciągle miałem w pamięci to, co Catto powiedział o drugim liście, i fakt, że czytał je dwukrotnie. W kontekście tego, jak opisał Komarowa, z niektórych sformułowań przebijały chyba wahania i opory.

— A czy sam mógłby się znaleźć w takiej sytuacji? — odezwałem się.

Catto obrócił się do mnie.

— Przepraszam?

— Czy któreś z jego pomysłów, teorii, były tego rodzaju, że mogły pociągnąć za sobą poważne lub nieprzewidywalne konsekwencje?

— Ach, rozumiem. Nie, nie wydaje mi się... chyba. — Zaczął z dość dużym przekonaniem, ale na koniec się zawahał.

— Ale to niewykluczone? — natychmiast podchwycił Mason.

Catto siedział przez parę chwil w zamyśleniu, w kąćniku ust przygryzając dolną wargę.



— Trudno mi sobie wyobrazić, by tego spróbowali. W każdym razie Komarow byłby z pewnością przeciw.

— Albo nie żyje — odezwał się Dawson — albo znajduje się w swego rodzaju areszcie.

— Nigdy by na to nie poszedł. Prędzej by się zabił.

— Może mu to uniemożliwili — zauważył Mason.

Catto wlepił w niego oczy, żabia twarz pełna była zaszepienia.

— Mówił, że jeśli w ogóle to nastąpi, to nie wcześniej niż w dwudziestym pierwszym wieku.

Dawson bardzo miękko zapytał:

— Co takiego?

— Stopień biegunów.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Oślupiałem. Wszyscy zresztą wybałuszyli oczy. Spojrzenia zawisły na Jamesie Catto. Ponieważ nawet ja słyszałem o potencjalnych niebezpieczeństwach związanych ze stopieniem lodów podbiegunowych, można było spokojnie przypuścić, że reszta dobrze znała całą sprawę.

Pierwszy przemówił Mason.

— Jak i po co? Może nam pan wyjaśnić?

— Mogę spróbować. Ocean jednak to nie moje terytorium, by tak to określić. Lepiej może byłoby zapytać waszego wielkiego oceanografa, Columbusa Iselina. Z pewnością mógłby powiedzieć więcej niż ja, czym by to się mogło skończyć.

— Zwrócimy się później do Iselina, doktorze Catto — powiedział Dawson. — Teraz chcielibyśmy posłuchać pana.

— Proszę bardzo. Zasada jest zupełnie prosta. Ocean Arktyczny jest ogromny. Graniczy z nim wielka masa lądowa. Cała północna Kanada, północna Alaska i cała Azja, od Przylądka Północnego do Cieśniny Beringa. Większość tych terenów jest niemal zupełnie bezużyteczna, nie dlatego, by brakowało tu którejs z podstawowych substancji, lecz z racji permanentnego mrozu.

Wody Oceanu Arktycznego są głębokie i bezpieczne, jak ustaliły atomowe łodzie podwodne „Nautilus” i „Skate”, które w roku 1958 przepłynęły pod biegunem. W chwilach poetyckiego natchnienia zaczęto gdzieś tam opisywać, jak to Ocean Lodowaty Północny otwiera się dla żeglugi jako Morze Śródziemne Północy. Ocean Lodowaty nie zawsze był skutym lodem, ale lód gromadził się tam przez

wiele tysiącleci. Wiecie, panowie, że zamieniając się w lód woda zwiększa swą objętość. I odwrotnie, kiedy lód zamienia się w wodę, objętość się zmniejsza. Stopnienie pól lodowych nie spowodowałyby więc powiększenia objętości wód, problem jednak w jego nagromadzeniu. Woda stopniowo zamieniała się tu w lód przez tysiące lat. Gdyby się roztopiła, poziom oceanów podniósłby się o kilkanaście cali, może o stopę, może o dwie. Cała północna Rosja stałaby się dostępna dla żeglugi, być może zaczęto by tu nawet produkować żywność. Zrobił pauzę.

— Czy wszystko jest jasne?

— Nadażamy za panem — odrzekł Mason.

— To dobrze. Proszę pamiętać, że Rosja ma mniej dobrych portów niż jakiegokolwiek inne z wielkich państw. Na zachodzie tylko Murmańsk jest wolny od lodu przez cały rok, co zawdzięcza Golfstromowi. Nawet porty bałtyckie zamarzają. Na wschodzie jest trochę lepiej, Władywostok i kilka innych, ale są diabło odległe od Rosji europejskiej, no i Chiny mnożą trudności, jak mogą. Gdyby to wielkie wybrzeże północne mogło się otworzyć dla całorocznej żeglugi, byłby to najpotężniejszy bodziec do rozwoju sowieckiej gospodarki, jaki można sobie wyobrazić.

— Doktorze Catto — wpadł w słowo Dawson — a jakie byłyby tego konsekwencje?

— Dla Rosji w większości bardzo dobre. Jak powiedziałem, otworzyłyby się porty. Straciłoby, oczywiście, trochę terytorium — ile, to zależałoby od ogólnego wzrostu poziomu wód — ale mają o wiele więcej ziemi niż ktokolwiek inny, więc mogliby sobie na to pozwolić. Spowodowałyby to z pewnością wielkie zmiany na mapie świata. Znaczne obszary znalazłyby się pod wodą, na co naturalnie najbardziej narażone byłyby tereny nisko położone. Najoczywistszym przykładem jest bez wątpienia Holandia. Większość jej byłaby poważnie zagrożona. Z drugiej strony, wielkie korzyści odniosłaby Kanada.

Znowu przerwał marszcząc brwi.

— Kłopot polega na tym, że niczego nie można tu dokładnie wyliczyć. Mówiąc szczerze, nie mamy najmniejszego wyobrażenia, co mogłoby nastąpić. Widzicie, panowie, chodzi o Grenlandię.

— Co takiego z Grenlandią? — spytał Mason.

Catto utkwiał w nim wzrok.

— Tysiąc pięćset mil długości, do sześciuset szerokości. W większej części wysoka na milę, zbudowana z solidnego lodu. Jeśli założyc, że cieplejszy od niej Ocean Lodowaty zacznie topić pokrywę lodową Grenlandii — a to zupełnie możliwe, panowie, zupełnie możliwe — wtedy, no cóż, wielkie obszary ziemi mogłyby zostać zatopione. Dla przykładu, w efekcie podniesienia się wód północnego Atlantyku o trzy—cztery stopy, może odrobinę więcej, pod wodą znalazłyby się Londyn, Paryż, Nowy Jork. Główne porty, stolice, ogromne obszary Europy oraz wschodnie połacie Stanów Zjednoczonych i Kanady po prostu by zniknęły.

— Zniknęłyby? — upewnił się Dawson.

— Bez śladu. Bóg jeden wie, co by się działo. Nikt nie potrafi przewidzieć, jak prądy oceaniczne pokierowałyby wodami i jak by się same ułożyły. Nikt nie potrafi przewidzieć, jaki byłby wpływ obrotu Ziemi, ostatecznie to wielka centryfuga. — Mówił to przyciszonym, rzeczowym, niemal łagodnym tonem.

Reszta siedziała wpatrzona w niego, walcząc z cisnącymi się obrazami świata, w którym wody oceanów podnosiły się pochłaniając miasta, a ludzie tłoczyli się na coraz mniejszych niezalanych terenach.

Ciszę przerwał Mason.

— Nie chciałbym być nieuprzejmy, panie doktorze, ale czy Komarow — lub na przykład Iselin — wiedzą na ten temat więcej od pana?

— Bez porównania — odrzekł Catto. — To ich specjalność, nie moja. — Zamilkł na moment, a potem dodał: — Ale żaden z nich nie mógłby się pokusić o nic więcej niż tylko zgadywanie przebiegu wypadków.

— Rozumiem — przeciągle powiedział Dawson. — Czy Rosjanie potrafiliby to zrobić?

Catto rozłożył ręce.

— To ogromne przedsięwzięcie inżynieryjne. Komarow zawsze wierzył, że można tego dokonać, a mówiąc prawdę, panowie, Rosjanie wiedzą o oceanach o wiele więcej od całej reszty.

— Dlaczego? — spytał Mason.

— Po prostu dlatego, że o wiele więcej niż pozostali poświęcili czasu i pieniędzy na studiowanie oceanów. Związek Radziecki zawsze głęboko wierzył w zasadnicze znaczenie morza...

Dawson przerwał mu.

— Komarow!

— W istocie Komarow jest, i to od wielu lat, jednym z głównych rzeczników spraw morskich. Rozumiecie, panowie — mówił Catto — oni pracują nad tym ciężko od ponad trzydziestu lat. Flota rybacka, łodzie podwodne, najróżniejsze typy statków, badania podmorskie, mapy prądów. Czy jest jeszcze coś, za co się nie wzięli? Moim zdaniem nie może być żadnych wątpliwości co do tego, że wiedza Rosjan dotycząca na przykład topografii dna oceanicznego czy rozkładu prądów jest kilkakrotnie większa od tej, którą dysponujemy na Zachodzie. Byli w Stanach Zjednoczonych ludzie, którzy bardzo boleśnie odczuwali wasze zapóźnienie pod tym względem. Pamiętam, że dziesięć lat temu senator Magnusson mówił w Kongresie: „Rosja wygrywa mokrą wojnę, mając coraz więcej i coraz potężniejszych statków, jeśli nie lepszą, to liczniejszą kadrę naukową, więcej urządzeń, czasami górujących nad naszymi. Mają też bardziej agresywny rząd, skory do działania”. Mówił również, że wynik mokrej wojny może zadecydować o losie ludzkości. Był także taki facet w Departamencie Badań i Rozwoju Marynarki Wojennej USA, admirał Hayward czy jakoś tak, który parę lat temu oświadczył, że sowieckie wysiłki w oceanografii mają na celu uzyskanie i zademonstrowanie ich pierwszeństwa na świecie w tej dziedzinie. Rozumiecie, panowie, w czym rzecz?

Cóż tu było powiedzieć. Siedziałem tylko i słuchałem; zatrzwożony perspektywami i zdumiony, że nigdy się jakoś nie słyszało o mokrej wojnie.

— Tak, panie doktorze, ja przynajmniej rozumiem bardzo dobrze — odezwał się Dawson. — Ale może, zanim zaczniemy wpadać w panikę, zechciałby nam pan powiedzieć, jakich środków mogą użyć?

— Przynajmniej niektórych — zastrzegł się Catto. — Można oczywiście zlikwidować lód dzięki eksplozji termonuklearnej. Innym ciekawym pomysłem jest przegrodzenie tamą Cieśniny Beringa między Rosją a Alaską. Rozumiecie, panowie, nie jest ona zbyt szeroka. Potem zainstalowałyby się ogromne pompy przerzucające ciepłą wodę z Pacyfiku do Oceanu Lodowatego, a w drugą stronę pompujące wodę zimną. To oczywiście ogromne przedsięwzięcie, niesłychanie kosztowne. Przy budowie tamy musieliby współpracować z wami, więc tę możliwość można chyba wykluczyć. Wiem jednak, że Komarow ma

mnóstwo pomysłów. Jeden z nich wydaje się jak z powieści science fiction, ale jest chyba całkowicie wykonalny. Chodzi o użycie proszku węglowego.

— W jaki sposób? — zapytał Mason.

— Hm, to zupełnie możliwe. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że lód minimalizuje topiący wpływ promieni ciepłych odbijając większość z nich. W Arktyce letnie dni dosłownie nie mają końca. Ponieważ jednak promienie słoneczne padają na masy białego lodu, odbijają się od nich, a przynajmniej większość. Natomiast węgiel jest czarny, a czerń nie odbija promieni. Gdyby więc pokryć lód sproszkowanym węglem, ciepło słoneczne byłoby pochłaniane. To proste, prawda?

W pokoju panowała martwa cisza. Wszyscy myśleli mniej więcej o tym samym, z wyjątkiem doktora Catto, który nie uczestniczył we wcześniejszym posiedzeniu i teraz z lekkim zdziwieniem obserwował efekt, jaki jego słowa wywarły na zebranych. Mason wstał, przeszedł przez pokój i wskazał palcem na wielką mapę ścienną.

— Te zaciemnione plamy zostały, doktorze Catto, naniesione na mapę ze zdjęć satelitarnych zrobionych w podczerwieni.

— Naprawdę? Jak dawno?

— W ciągu kilku ostatnich tygodni.

— Może to być więc dokładnie to, o czym mówię. Albo i nie. Trzeba się strzec przed pochopnymi wnioskami. W każdym razie są dość niewielkie i wątpliwe, by mogły dać jakiś odczuwalny skutek. Tak czy inaczej, interesujące, że pojawiły się w momencie, gdy tam skończył się dzień. Bardzo interesujące.

Jeden z uczestników wstał zza stołu.

— Przepraszam, Lawrence. Muszę coś sprawdzić.

— W porządku, Roger.

— Wiem jednak — ciągnął Catto — że Komarow miał mnóstwo innych pomysłów. Czy słyszeliście, panowie, o pykrecie?

Ja nie słyszałem, inni też mieli zakłopotane miny.

— Znakomity materiał — zachwycił się Catto — niezwykle właściwości.

— Niech pan nam o tym opowie, doktorze — rzekł Dawson.

— Zabawne, że został wynaleziony na jednym z londyńskich targowisk — myślę, że na Smithfield, gdzie handlują mięsem — przez ekipę, której kierownik nazywał się Pyke; stąd oczywiście nazwa

pykret. Wszystko opiera się na pomysłach, że mieszając lód z różnymi rzeczami, można go ogromnie wzmocnić. Normalnie jest kruchy i krystaliczny. Mieszanka Pyke'a niebywale zwiększyła jego trwałość i uodporniła na ciepło. W gruncie rzeczy był nawet projekt, by budować z niego spore statki. Słyszałem, że podczas konferencji w Quebecu Churchill zrobioną z niego wazę na zupełną przyniósł do gabinetu Roosevelta i poprosił, by wlać do środka czajnik wrzącej wody. A ta odskoczyła! — Z uśmiechem rozejrzał się po zebranych. — Ktoś z panów przypomina coś sobie?

— Jak przez mgłę — odezwał się Dawson. — Habbakuk, czy jakoś tak.

— Habbakuk, zgadza się! — zaśmiał się Catto. — Taki miał kryptonim. Niewiele w rzeczywistości z tego wyszło, ale jeden statek zbudowano. Chyba w Kanadzie; przez całe lato pływał po jakimś jeziorze, prawie zupełnie się nie topiąc.

— Być może jestem zbyt ciemny — wtrącił się Mason — ale sądziłem, że chodzi o to, by lód się topił?

— Och, przepraszam, znowu mówię niezrozumiale. — Catto wydawał się ciągle skruszony. — Widzicie, Komarow myślał o budowie tam z tego materiału.

— Gdzie? — dopytywał się Dawson.

— Hm, myślę, że z tym właśnie jest problem. Oni naprawdę wiedzą o wiele więcej od nas o prądach oceanicznych, ale przez cały czas — że pozwolę sobie użyć zwrotu z waszego słownika, panowie — idą w zaparte. Przez jakieś dwadzieścia ostatnich lat bardzo wiele odkryto w zakresie prądów, ale obawiam się, że oni odkryli o wiele więcej, niż wiemy. Istnieje na przykład Prąd Cromwella, który, jak się wydaje, powstaje koło Wysp Gilberta i płynie osiem tysięcy mil do wysp Galapagos. Ma szerokość niemal stu jardów, niesie trzy razy więcej wody niż Golsztrum, a płynie pięćset stóp pod powierzchnią wzdłuż równika. Rosjanie oczywiście bardzo go lubią. Dzięki niemu łodzie podwodne mogą szybciej docierać do wybrzeży Stanów Zjednoczonych zupełnie jak samolot lecący z wiatrem.

Jest też inny prąd, płynący mniej więcej przeciwnie do Golsztrumu, ale pod nim. Wszędzie odkrywa się prądy najróżniejszych rodzajów. I są naprawdę duże.

Ujmując to schematycznie, idea Komarowa polegała na tamowaniu

ich i odwracaniu, co pomogłoby w wytworzeniu nadzwyczaj korzystnych warunków klimatycznych. Jeśli chcecie, możecie to nazwać inżynierią klimatyczną. Nie zgodziłby się na takie przedsięwzięcie nie mając pewności, że nikomu nie przyniesie ono szkody. No, ale powiadacie, panowie, że mógłby nie mieć wyboru... Catto rozejrział się po nas.

— Przepraszam, ale wszystko jest tu bardzo skomplikowane i nieprzewidywalne. Domyślam się, że planował budowę wielkich brył z pykretu. Wiecie, panowie, oczywiście, że większa część góry lodowej znajduje się pod powierzchnią? Gdyby teraz wierzch takiej bryły polewać silnie schłodzoną wodą i posypywać trocinami, zmusiłoby się ją do pograżania się coraz głębiej i głębiej, aż osadzi się na dnie. Wtedy mamy już tamę. Otóż jeden z planów obejmował budowę tamy pomiędzy Syberią a należącą do Rosji wyspą Sachalin, która leży pomiędzy północnym skrajem wysp japońskich a wybrzeżem wschodniej Syberii. Tamę przerzucono by przez Cieśninę Tatarską, która zamarza zimą. Japończycy, naturalnie, byliby wściekli, gdyż zupełnie zmieniłoby to ich klimat.

Wyglądałoby to jakoś tak. Południowy Sachalin jest ogrzewany przez Morze Japońskie. Północ wyspy otoczy zimne Morze Ochockie. Przy każdym przypiływie pewna ilość ciepłej wody przepływa z południa na północ, potem niemal dokładnie odwraca się przy odpływie i płynie w odwrotnym kierunku. Gdyby Rosjanie zbudowali tamę, byłoby w niej duże przejście jednokierunkowe, tak że ciepła woda przepływałaby przez nie podczas przypiływu, ale przy odpływie przejście by się zamykało, nie pozwalając na powrót. Następny przypiływ i kolejna porcja ciepłej wody.

Dawson wpatrzony był w mapę.

— Proste. Rozumiem, dlaczego mogłoby się to nie podobać Japończykom.

— Ale Rosjanie byliby zachwyceni — dalej mówił Catto. — Ilość ciepłej wody przemieszczającej się przy każdym przepływie byłaby mniej więcej cztery razy większa od dziennego przepływu Wołgi, Donu i Dniepru razem wziętych. Obliczono, że we wschodniej Syberii temperatura wzrosłaby o prawie dwadzieścia stopni, co uwolniłoby te obszary od lodu. Tymczasem biedni, staromodni Japończycy stwierdziliby, że zbawienny dla nich Prąd Kuroshio przesunął się bardziej na północ z racji ocieplenia się Morza Ochockiego. I Rosjanie naprawdę chcą zbudować Tamę Sachalińską. Przedstawili już plany. W



betonie kosztowałyby to biliony. Dlatego Komarow bawił się pykretem.

— Nie nazwałbym tego zabawą — stwierdził Mason.

Catto uśmiechnął się przepraszająco.

— To tylko taki zwrot.

— Jaka jest praktyczna wykonalność tego projektu? — cicho zagadnął Dawson.

Catto rozłożył dłonie.

— Techniczne rozwiązania istnieją. Problem polega przede wszystkim na tym, ile się wie i ile chce się na to wydać. Albo ile zaryzykować. Zupełnie łatwo można by wywołać nową epokę lodowcową.

— O Boże! — nie mogłem powstrzymać się od okrzyku. Catto skwitował to uśmiechem.

— Przepraszam, panowie, ale być może już się to dzieje, spowodowane przez nasze samochody i fabryki. Oto w niebywałych ilościach wyrzucamy w powietrze dwutlenek węgla, który powoduje efekt cieplarniany. Pozwala przechodzić promieniowaniu cieplnemu ze słońca, ale przeciwdziała ucieczce ciepła w przestrzeń kosmiczną. Gromadzimy więc ciepło, co, paradoksalnie, może rozpocząć nową epokę lodowcową. Jeśli lody Oceanu Lodowatego będą się topić, będą też oczywiście mogły parować. Nad kontynentalnymi lodowcami pojawiają się ciężkie chmury śniegowe. Lodowiec przypomina duży kawałek ciasta; każdy opad śniegu zwiększa jego wagę, co zwiększa ciśnienie wywierane na niego i w nim, a to sprawia, iż zaczyna się poruszać w kierunku, w którym napotyka najmniejszy opór. Lodowce zaczną się rozszerzać, no i cóż — epoka lodowcowa.

— Czy to nie stoi w sprzeczności z tym, co mówił pan o topnieniu lodów Grenlandii? — zapytał Mason.

— I tak, i nie — odrzekł Catto. — Nagła odwilż będzie mieć nagłe efekty. Epoki lodowcowe rozpoczynają się bardzo wolno. Ale właśnie to wszystko skłania Komarowa do stwierdzenia, że na razie nasza wiedza jest zbyt ubożuchna, byśmy mogli zacząć majstrować.

Otworzyły się drzwi.

— Lawrence! — Do pokoju wpadł mężczyzna nazwany przez Dawsona Rogerem. — Te ciemne plamy!

— Tak? — spojrzał pytająco Dawson.

— Wydawało mi się, że coś mi to przypomina, poszedłem więc sprawdzić. Pamiętasz samolot rosyjski, który kilka miesięcy temu rozbił się w północnej Grenlandii?

— Mgliście — odrzekł Dawson. — Ach — wyprostował się gwałtownie — rekonesans polarny, prawda?

— Tak. Załoga zginęła. Ciała odnalazł oddział saperów z Camp Hundred, lodowej bazy Departamentu Badań i Rozwoju. Dowódcą jest pułkownik Chance. Jego raport mówi, że samolot bardzo szybko został zasypany przez padający śnieg. Wydawało się jednak, że był wyposażony w coś, co przypominało mu urządzenie do opylania roślin. Stwierdził też, że jego buty pokryte były ciemnym pyłem.

— Węgiel! — parsknął Mason. — Chance pisze w raporcie: „drobny ciemny proszek o charakterze węgla, pochodzący może od ognia, chociaż wydawało się, że na pokładzie nie było pożaru”. Stwierdza też, że w rozbitym kadłubie było kilka wielkich beczek.

— Wszystko chyba jasne — powiedział Dawson. — Te ciemne plamy to sproszkowany węgiel.

— A Komarow usiłował nas ostrzec — dorzuciłem.

— Wydaje mi się, że stara się zrobić o wiele więcej — powiedział Catto.

Głos Masona:

— Co pan ma na myśli, doktorze?

— List, ten drugi. Myślałem o tym przez cały czas; jest dziwny.

— Co o tym świadczy?

— Te zwroty. Mogę jeszcze raz go obejrzyć?

Mason szybko podał mu kopię, Catto zaś uważnie przeczytał.

— O tutaj, widzicie, panowie: „Przejadanie się jest podobne do przecapowania; trzeba być ostrożnym i znać konsekwencje nieumiarkowania”. Co? — Catto popatrzył po wszystkich pytająco. — I ten jeszcze zwrot w następnym zdaniu: „Dobrze jest czasem oprzeć się podzeptom, stanąć z boku i chwilę pomyśleć, zanim się im nazbyt ulegnie”.

— Myśli pan — spytałem — że zapowiada swe aresztowanie?

— Datowany czternastego marca — zauważył Catto. — Na krótko przed jego zniknięciem lub śmiercią. Jeśli wywierano na niego naciski, mógł już wtedy przypuszczać.

— Ma pan rację — dorzuciłem. — Dalej mamy: „Gdybyśmy mogli

współpracować ściślej, niż możliwe to jest w dzisiejszym świecie, jestem pewien, że efekty byłyby korzystne dla wszystkich”.

— I jeszcze to — odezwał się Mason. — „Mam nadzieję, że któregoś dnia znowu będziemy mogli się spotkać”. Panie doktorze, można oczywiście wszystkiego dopatrzeć się we wszystkim, ale jak tak spojrzeć na ten list, bardzo wiele jest tu między wierszami. Następny fragment może bezpośrednio już odnosić się do grożącego, no nie wiem, nadzoru, aresztu: „choć obawiam się, że przy moim obecnym stanie fizycznym podróż byłaby trudna”.

— Miał pan od niego jakieś informacje po czternastym marca? — zapytałem Catta.

— Nie. Ostatni list otrzymałem na Nowy Rok. Bardzo pogodny. Żadnej aluzji.

— Posłuchajcie, panowie — powiedziałem. — W tym wszystkim nie daje mi spokoju jedna rzecz. Przyjmijmy, że Komarowa na przekór jego woli zmuszono do pracy nad gigantycznym projektem, obejmującym lody podbiegunowe i coś tam jeszcze. Znika. Regularnie korespondował z doktorem Catto, od czasu do czasu z profesorem Wardem. Temu ostatniemu przesyła ostrzeżenie. Ale wysłała do Princeton.

— Niech pan mówi dalej — przynaglił mnie Dawson.

— Następna przesyłka w ogóle nie idzie do Princeton, lecz otrzymuję ją ja. Dlaczego? Gdyż adresowana jest do profesora Warda, ale wysłana pod mój adres. Po co Komarow to zrobił?

— Gdzie pan mieszka? — spytał Catto.

— W Nowym Jorku, mieszkanie w bloku.

— Czy Ward zatrzymywał się tam kiedykolwiek?

— Lepiej byłoby sprawdzić — odrzekłem.

Coś mi chodziło po głowie, jakaś myśl skryta gdzieś głęboko, której nie mogłem uchwycić. Im bardziej się starałem, tym bardziej się oddalała.

— Mogę skorzystać z telefonu? — spytałem. Mason pchnął ku mnie aparat.

— Proszę.

— Jaki jest kierunkowy Nowego Jorku?

Ktoś wyrecytował i nakręciłem numer spółki, do której należał dom.

— Sunlit Developments. Dzień dobry.

— Niech pan wspomni o Firmie — szepnął Dawson — to pomaga.

— Tu Centralna Agencja Wywiadowcza — powiedziałem. — Chciałbym się dowiedzieć, czy mieszkał kiedyś u was człowiek o nazwisku Edwin Ward. Profesor Edwin Ward.

Dziewczyna po drugiej stronie bardzo się przejęła. Byłem zazdrośny o jej oddanie.

— Jedną chwileczkę, sir.

Zaczekałem. Musieli mieć bardzo sprawny system informacyjny; nie upłynęła minuta, jak była z powrotem.

— Mamy w wykazach Williama Warda, sir, a także Henry'ego Warda. I panią Agnes Ward.

— Czym się zajmowali?

— William Ward był prawnikiem, sir, a Henry Ward miał coś wspólnego z teatrem. Pani Agnes Ward jest wdową.

— To wszystko?

— Tak, to wszystko.

Podziękowałem jej i odłożyłem słuchawkę. Potem zadzwoniłem do Jane Macdonald w Princeton.

— Jane? Tu John Edwards. Czy on mieszkał kiedykolwiek w Nowym Jorku?

— Kto, profesor Ward? Nie, chyba nie. Wiem, że nie znosił Nowego Jorku. Nie lubił nawet jeździć do Towarzystwa. Jeśli tylko mógł, to nigdy nie zostawał tam na noc.

— Dziękuję.

— A o co chodzi?

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Ale dziękuję.

Odwróciłem się do reszty.

— Nie znosił Nowego Jorku. Nigdy nie mieszkał w moim bloku i o ile wiadomo nigdzie w Nowym Jorku.

— Nie wiemy, czy to Komarow wysłał wiadomość — stwierdził Dawson. — Jeśli nie, zrobił to ktoś za niego. Broszurę techniczną wspominającą o jego technice zmian temperatury.

— Ale dlaczego do mnie? — rzuciłem. — I dlaczego ludzie z KGB zabrali kopertę?

— Co było na kopercie? — szybko spytał Mason.

— Chwileczkę. — Pomyślałem, pamiętam, że są trzy pomyłki. Wziąłem kartkę papieru, zapisałem adres tak, jak go sobie przypomniałem, włożyłem do rzutnika, by wszyscy mogli zobaczyć.

PROFESSOR EDWARD, FAGS  
60E 75th St, NEW YORK, USA.

— Zaraz, zaraz — powiedział Mason — a gdyby to napisać tak — nakreślił coś na kartce i znowu włożył ją do aparatu:

Professor Ed WARD, FAGS 60E 75th St, NEW YORK, USA.

— Wtedy by jej pan nie dostał.

— A w takim przypadku — dorzucił Dawson — zostałyby zwrócona z dopiskiem „adresat nieznanym”, co sprawiłoby, że Urząd Poczt poszukałby profesora Eda Warda, FAGS. Czy tak?

— Rutynowa praktyka — zgodził się Mason. — I łatwe do odczytania wskazanie. Towarzystwo Geograficzne.

— Ale KGB zabrało kopertę. Dlaczego? Posłuchajcie — czułem, że moją myśl mam tuż pod ręką, ale ciągle nie mogłem jej pochwycić — informacja była zawarta w książce wewnątrz koperty i na tym żeśmy się skoncentrowali! A może jeszcze jakaś ukryta jest w adresie? Jest bardzo dokładny.

Wszyscy wpatrywali się w litery na ekranie. Można było posłyszeć buczenie mózgow.

Wtedy odezwał się Catto.

— To może dlatego, że jestem geografem. Ale to mogłyby być współrzędne.

Wszyscy rzucili się do wielkiej mapy.

— Spójrzmy — mrucał Catto — sześćdziesiąt stopni wschodniej i siedemdziesiąt pięć... nie, to nie może być południe, a więc siedemdziesiąt pięć północnej prowadzi nas — tutaj! — Wspiął się na palce, by dosięgnąć grubym palcem mapy.

Linie szerokości i długości geograficznej przecinały się na wyspie Nowa Ziemia na rosyjskim Morzu Arktycznym.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Nowa Ziemia — powiedział Catto — była poligonem nuklearnym do traktatu zakazującego prób. Prawie wszystkie swoje próby z bombą atomową i wodorową przeprowadzili tutaj.

— Tak — rzekł Dawson w zamyśleniu — tak było, to prawda.

— No to mamy teraz diabelny bigos — odezwał się Mason. — Mamy Komarowa, który rzekomo miał nie żyć, ale żyje, a na dodatek przesyła informację, by nam pomóc czy ostrzec nas, choć jest zagorzałym komunistą. Mamy KGB ładujące się w to wszystko i poczynające sobie dość desperacko, być może z tej przyczyny, że czemuś pozwolili się wymknąć. Mamy wszystkie te straszliwości, które mogą się przydarzyć lodom podbiegunowym, prądy oceaniczne i Bóg wie co jeszcze! Mamy poligon nuklearny i ciemne plamy, prawdopodobnie ze sproszkowanego węgla. Problem tylko w tym, co to wszystko znaczy. A kiedy już to ustalimy, pojawia się następny: co mogą z tym zrobić Stany Zjednoczone i w ogóle Zachód.

— Cała trudność w stwierdzeniu, o co chodzi — orzekł Catto. — Gdybyście wiedzieli coś konkretnie, myślę, że można by uruchomić wszystkie rodzaje międzynarodowego nacisku.

— Takiego nacisku, o jakim jeszcze nie słyszeliście — mruknął Dawson. — Może być pan pewien, że trafi to prosto do dyrektora CIA, a od niego do prezydenta.

Powróciłem do stołu. Raz jeszcze chciałem przeczytać list Komarowa.

Dookoła toczyły się ożywione rozmowy; dużo spekulacji, z których niewiele wynikało dlatego, że były tylko spekulacjami, podczas gdy mnie coś uparcie nie dawało spokoju. Usiadłem, wyłączając się z rozmów, i usiłowałem zrozumieć, do czego zmierzał Komarow. Ward i Komarow rozmawiali ze sobą podczas pobytu tego ostatniego w Stanach Zjednoczonych. Potem Komarow wysłał list niewinny z pozorów, pełen jednak ukrytych aluzji. Następnie broszura. Miała ona oznajmić, że rozpoczęto prace nad zmianą temperatury, a koperta mówiła gdzie. To już wszystko? Czy to mogło być wszystko?

Raz jeszcze przebiegłem oczyma list, a potem wziąłem kawałek papieru i przepisałem, opuszczając wszystkie ozdobniki.

Moja sytuacja jest teraz bardziej stabilna... przepracowanie; trzeba być ostrożnym i znać konsekwencje, oprzeć się podszeptom, zanim się ulegnie... nasza rozmowa w Pańskim domku... gdybyśmy mogli współpracować ściślej, efekty byłyby korzystne dla wszystkich... gdybyśmy mogli się spotkać... przy moim stanie fizycznym podróż byłaby trudna.

To wszystko, pomyślałem. Z datą 14 marca. W miesiąc później książeczka i koperta.

Można to było połączyć: „Akademik Komarow pracuje nad zmianą temperatury... na Nowej Ziemi”.

Było to bez wątpienia ostrzeżenie przesłane Wardowi w jedyny możliwy sposób. Ponieważ Ward będzie pamiętał rozmowę. „Przy moim stanie fizycznym podróż byłaby trudna” i „gdybyśmy mogli współpracować ściślej”.

I nagle to na mnie spadło. Myśl, którą bezskutecznie starałem się pochwycić, przestała mi umykać i stała się oślepiająco jasna.

Podniosłem się, podszedłem do Catta i podałem mu moją kopię listu. Przeczytał, podniósł na mnie swe duże oczy, przez chwilę wpatrywał się, a potem pokiwał głową. Razem zbliżyliśmy się do Dawsona i Catto włożył mu do ręki kartkę papieru. Ten popatrzył na nią.

— No i co?

— Chce, żebyśmy go stamtąd wydostali — powiedziałem. Dalej nie jestem pewien, czy Dawson był zupełnie przekonany.

Albo Mason. Ale przekonany byłem ja i Catto, a im więcej za-

stanawialiśmy się nad tym, tym większa była nasza pewność. Catto tak to ujął wobec Dawsona.

— Komarow zawsze starał się przekazywać konkretne informacje. To zupełnie do niego niepodobne, by miał się rozwodzić nad sobą. Dlatego tak ważny jest fakt, że to robi. Niech pan spojrzy, co nam mówi. Po pierwsze, że się opiera; po drugie, że zaczyna „ulegać”; po trzecie, że znajduje się na Nowej Ziemi; po czwarte, że chciałby „współpracować bardziej ściśle”; po piąte, że dobrze byłoby się spotkać znowu; po szóste, że podróż byłaby „trudna”.

Dawson potrząsał głową z powątpiewaniem.

— Strasznie dużo trzeba tu dopowiadać.

— Sam powinienem być na to wpaść — zżymał się Catto.

— Niech pan popatrzy, Mr Dawson — mówiłem natarczywie. — Jeśli rozumieć to inaczej, wtedy pozostają tylko zagadki. Zostaje pan uprzedzony, że nad czymś pracują, ale — jak mówi doktor Catto — ani trochę nie wie pan nad czym. To może być którykolwiek z tuzina programów. Gdyby Ward żył, mógłby pomóc; w końcu wszystko było adresowane do Warda. Teraz tylko jeden człowiek wie, co się dzieje, i jest nim Komarow. Chce nam to powiedzieć, ale musimy go stamtąd wydobyć.

— Z jakiej innej przyczyny miałby nas informować, gdzie jest? — wtrącił się teraz Mason. Mógłbym go za to ucałować. — Nie było żadnego powodu, by podawać nam ten adres. Gdyby chodziło tylko o ostrzeżenie nas, mógłby wysłać książeczkę do Warda w Princeton...

Wpadłem mu w słowo.

— Postawienie na skuteczność US Mail było jedynym sposobem powiadomienia nas, gdzie on się znajduje. Jedynym sposobem. Wiedział, że Ward zdziwiony tym adresem doda dwa do dwóch.

Dawson dalej miał wątpliwości, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nie był rodzajem niedowiarka, który uparcie trzyma się swojego. Natychmiast zarządził wszechstronną analizę wszystkiego, co zdarzyło się w ubiegłym roku w sowieckiej Arktyce, a zwłaszcza na Nowej Ziemi.

W całym budynku wszyscy chyba bobrowali w zapisach nasłuchu radiowego, oceniali zdjęcia zwiadu fotograficznego i sprawdzali każdą nawet najdrobniejszą poszlakę. My zaś czekaliśmy w napięciu, hamując niecierpliwość, nieustannie powracając do tych samych zdań listu i ich odcieni znaczeniowych. Mason, chłodny, beznamiętny Mason,



był już w połowie z nami, a przez czas oczekiwania na rezultat analiz Cattowi i mnie udało się przeciągnąć go zupełnie na naszą stronę. Zdumiewałem się tym, że my dwaj, amatorzy pośród zawodowców, opierając się na swym instynkcie i znajomości ludzkich zachowań, mogliśmy postawić na nogi całą wielką agencję.

Wreszcie nadeszła odpowiedź. Zwiad fotograficzny ujawnił dwukondygnacyjny budynek, wzniesiony na skraju wybrzeża podczas krótkiego lata arktycznego. Nowa Ziemia była jednym z miejsc, gdzie odnotowano ożywienie komunikacji radiowej, niewielkie, niemniej ożywienie. Wagi przydawał temu fakt, że informacje przekazywane były niezwykle skomplikowanym szyfrem, którego komputery nie potrafiły złamać. Dzielne namiary owych sygnałów jednoznacznie wskazywały na wspomniany budynek.

Dawson przedstawił wszystko dyrektorowi CIA. Zanim wyszedł, popatrzył po naszej trójce, po napiętych, niespokojnych twarzach i rzekł:

— Nie martwcie się. Nie sprzedam tanio waszej skóry. Gdy wrócił, minę miał surową.

— Najlepiej będzie, jeśli natychmiast zaczniecie, panowie, myśleć nad sposobem. Za dwadzieścia minut dyrektor spotyka się z prezydentem.

Znowu zaczęło się czekanie, spoglądanie na zegarki, picie kawy i zastanawianie się, co teraz się dzieje w owalnym gabinecie Białego Domu. Próbowaliśmy się postawić w sytuacji siedzącego tam człowieka, stojącego w obliczu zagrożenia, które burzy równowagę strachu i niszczy wszystkie płynące z niej korzyści. Sugestia Dawsona nie podziałała. Zanim nadeszła odpowiedź, nikt nie potrafił myśleć o czymkolwiek innym niż zapadająca decyzja. Dawson przechadzał się w milczeniu po sali konferencyjnej ze zdjęciem satelitarnym w rękę, od czasu do czasu zatrzymując się i spoglądając to na Catta, to na mnie.

Mogłem sobie wyobrazić, o czym myślał. Catto siedział obok, krzesło odchylone, oczy utkwione w suficie. W pewnej chwili usiadł prosto i powiedział do mnie:

— Im bardziej się nad tym zastanawiam, tym jestem pewniejszy. Wolałby umrzeć niż... a oni nawet tego nie pozwolą mu zrobić. — Potem powrócił do dawnej pozycji.

Ja byłem przede wszystkim zdumiony. Po raz pierwszy w ciągu tych dni miałem okazję spokojnie pomyśleć, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak szaleńcze wypadki sprawiły, że znalazłem się tutaj. Jakże niedawny był wieczór, gdy moim najpoważniejszym problemem było nudne nowojorskie przyjęcie. A potem cały ten kalejdoskop przemocy, pościgów i śmierci, w efekcie czego nieznanymi młody chirurg uczestniczy w konferencji, której ustalenia wymagają decyzji prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie miałem najmniejszego pojęcia, dlaczego pozwolili mi zostać, dlaczego wolno mi było mówić i dlaczego mnie słuchano. Uszczypnąłbym się dla sprawdzenia, czy to nie sen, gdyby nie upewniała mnie w tym rana na nodze i obecność tych kilkunastu nader rzeczywistych mężczyzn.

Czas włókł się niemiłosiernie. Już za chwilę nikt z nas nie będzie mógł myśleć o czymkolwiek innym. Ja w każdym razie nie mogłem. Tak często spoglądałem na elektryczny zegar ścienny, że w końcu poddałem się i wlepiłem weń oczy, śledząc czerwoną wskazówkę sekundnika wolno obiegającą tarczę. Kiedy zadzwonił telefon, mało nie wyskoczyłem z butów. Dawson podniósł słuchawkę, chwilę słuchał, a następnie wybiegł z pokoju, wracając po kilku minutach z kartką papieru w rękę.

— Panowie — zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle; odkaslnął i przemówił raz jeszcze: — Panowie, oto polecenie prezydenta.

„Jest oczywiste, że bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników staje w obliczu nowego zagrożenia. Nie wystarczy znać jego ogólną naturę, jest dlatego nieodzowne, byśmy za wszelką cenę rozpoznali jego szczególny charakter. Będzie to zadanie dla całej grupy departamentów stanu i agencji rządowych, które otrzymają konieczne dyspozycje.

Niniejszym upoważniam Centralną Agencję Wywiadowczą do przewiezienia akademika Froła Iljicza Komarowa z terytorium ZSRR do Stanów Zjednoczonych.

Zwracam uwagę, że wypełnienie tej misji przez urzędników państwowych Stanów Zjednoczonych stanowiłoby jawny akt agresji wobec ZSRR. Nie można, powtarzam, nie można do tego dopuścić.

Dlatego do przedsięwzięcia tego należy zaangażować osoby różnych narodowości. Natychmiast przeprowadzę konsultacje z naszymi sojusznikami, aby dostarczyli odpowiednich kandydatów. Muszą to być osoby cywilne; jeśli znajdą się pośród nich urzędnicy administracji,

należy ich zdymisjonować i zatrzeć wszelkie ślady kontaktów z nimi, tak by odpowiedzialnością mogły zostać obciążone jednostki, a nie państwa.

Przy tych ograniczeniach Centralna Agencja Wywiadowcza ma wolną rękę co do sposobu postępowania. Odpowiednie działania należy podjąć, jak tylko powstaną po temu możliwości.

Koniecznych środków dostarczą Stany Zjednoczone”.

— Dokument nosi dzisiejszą datę — kończył Dawson. — Dziś po południu odbędzie się w tym pokoju zebranie, na którym przedyskutujemy środki działania. Wezmą w nim udział przedstawiciele poszczególnych służb odpowiedzialni za ekwipunek.

Mieli więc teraz przerwę obiadową, dla mnie zaś wszystko na tym się kończyło. Stałem rozglądając się po pokoju i smakując swe zdumienie, a potem ruszyłem ku drzwiom. Nachyliłem się po drodze do Masona.

— Gdyby zechciał mi pan wypisać przepustkę, będę mógł znów powrócić do roli lekarza.

Potrząsnął głową, wyszczerzając zęby. Tego grymasu nie widziałem jeszcze u niego i zdarzało mi się już oglądać przyjemniejsze obrazy.

— Nigdzie pan nie pójdzie, doktorze Edwards.

— Niech się pan nie wygłupia — odrzekłem. — Muszę wracać do pracy.

— Zostanie pan tutaj do czasu, aż będzie po wszystkim.

— Proszę się nie obawiać — rzuciłem z irytacją. — Niczego nie wygadam.

— Nie wierzę panu, doktorze. Nie stać mnie na to. W każdej minucie muszę wiedzieć, do kogo się pan zwraca i co pan mówi.

— O mój Boże! — wykrzyknąłem z gniewem i krokiem obrażonej niewinności zbliżyłem się do Dawsona. — Mason powiada, że mnie zatrzymujecie. To cholernie zabawne, ale ja muszę wracać do Nowego Jorku.

— Mason ma rację — odpowiedział Dawson. — Byłoby to dla pana zbyt wielkie ryzyko. Niech pan nie zapomina o naszych przyjaciółach z KGB. Ciągłe czekają na pana w Nowym Jorku.

Trafił w dziesiątkę. Zupełnie mi nie zależało na ponownych spotkaniach. Potem spostrzegłem, że Dawson przygląda mi się w zamyśleniu.

— Co znowu? — spytałem.

— Niech pan jeszcze raz przeczyta list, ten fragmencik o diecie. Komarow jest diabetykiem.

— No to co? — odrzekłem zdziwiony. Zdaje się, że miałem atak tępoty.

— Będzie potrzebował lekarza.

Teraz zrozumiałem.

— O nie.

— Im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej.

— Nie, nie.

Spacerowym krokiem podszedł Mason. Znowu szczyrzył zęby.

— Możemy trzymać tu pana przez lata.

Teraz Dawson zaczął się uśmiechać. Co do mnie, w życiu nie widziałem niczego mniej zabawnego.

— Ma pan obecnie tylko jeden sposób, by łyknąć trochę świeżego powietrza, doktorze.

Znowu odpowiedziałem „nie”, ale zaczynało to nie mieć znaczenia. I nie miało.

— Koniecznych środków dostarczą Stany Zjednoczone. Pan należy do takich środków.

Zostałem zwerbowany.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Któregoś z następnych dni zapytałem Dawsona, dlaczego dostałem zaproszenie na bal. Popatrzył na mnie spokojnie i odrzekł:

— Niech pan to nazwie aktem opatrności. Od chwili gdy nadszedł list, jakiś palec kierował pańskimi krokami. Potrzebny nam jest lekarz, pan jest lekarzem. Potrzebny nam jest narciarz, pan jeździ na nartach. Potrzebny jest nam ktoś, kto rozumie doniosłość przedsięwzięcia, pan dobrze to pojmuje. Jest pan młody i silny. Więc pan jeździe.

Dowódcę akcji wybrali w podobny sposób; jeśli ze mną byli bezceremonialni, to z Lukiem Chance'em postąpili brutalnie. Być może było to zupełnie logiczne: potrzebowali kogoś znającego Arktykę, a nazwisko Chance'a i tak już się pojawiło. Siedział tam od czterech lat, a jeśli nie wiedział czegoś o poruszaniu się w Arktyce, nie było to godne uwagi. Jego akta mówiły, że jest urodzonym dowódcą: surowy, nieustępliwy, odważny i pełen inicjatywy, co poświadczały dwa odznaczenia wojenne: za desant na wyspach Pacyfiku podczas drugiej wojny i z Korei.

Wszystko spowodował warunek zawarty w poleceniu prezydenta. Chance był pułkownikiem, chlubnie służącym w wojsku przez dwadzieścia siedem lat, dokument zaś powiadał wyraźnie, że uczestniczenie w misji osób związanych z administracją Stanów Zjednoczonych będzie stanowiło jawny akt agresji. Żądano, by w razie schwytania osób, które wyprawią się po Komarowa, wydawało się, że to garstka prywatnych awanturników. Dzięki temu w ONZ nie zahuczałoby od oskarżeń.

Kiedy więc po raz pierwszy zetknąłem się z Chance'em, cały dygotał ze wściekłości i nie zamierzał tego ukrywać. A warto zobaczyć wściekłego Luke'a Chance'a. Ogromny gość; ogromny, a nie po prostu wysoki, gdyż choć miał wzrostu jakieś sześć stóp cztery cale, zbudowany był tak, że mógł się zmierzyć z każdym. Jeden z tych facetów, którzy w wieku czterdziestu pięciu lat są trzy razy twardsi, niż byli jako dwudziestopięciolatek. Lata odosobnienia jako dowódcy Camp Hundred nauczyły go samodzielności i umysł jego był równie sprawny jak ciało. O nic go w ogóle nie pytano ani nawet nie dano mu możliwości, by wyraził zgodę. W jednej chwili był dowódcą Hundred, a już w następnej wzywano go do Thule, gdzie pod eskortą sześciu żołnierzy wpakowany został do samolotu i przewieziony do Fort Belvoir w Wirginii. W tamtejszym szefostwie wojsk technicznych przedstawiono mu dokumenty wykazujące, że przez całe lata fałszował rachunki, i zażądano rezygnacji, na co Chance odrzekł: „Idźcie do diabła, postawcie mnie przed sądem wojskowym”. Przeprowadzono więc zamknięte posiedzenie sądu wojskowego, który z polecenia szefa Sztabu Generalnego skazał go i wydalili ze służby, przez noc — czego nie robi się z oficerami — przetrzymując w areszcie, aby prasa mogła odpowiednio nagłośnić całą sprawę. Z rana udawał się właśnie do swojego senatora, trzymając pod pachą egzemplarz gazety, na pierwszej stronie obwieszczającej „Bohater Arktyki wydalony ze służby za kradzieże i nadużycia”, kiedy drużyna chłopców z CIA zapakowała go do samochodu o zaciemnionych szybach, w trakcie tej akcji przyprowadzając go o obrażenia na całym ciele. Dopiero wtedy Chance dowiedział się, o co w całej tej hecy chodziło. Miał prawo być wściekły. Zadbał o to, by nikt nie miał żadnych wątpliwości, że dla niego cały pomysł jest do niczego. Kiedy ktoś przedstawiał jakiś plan, Chance podstawał nogę. Jak nie on, to ktoś inny. Mogliśmy swobodnie korzystać ze wszystkich zasobów armii lądowej, lotnictwa i marynarki Stanów Zjednoczonych, a także niektórych z ich sojuszników, i sama myśl o wszystkich tych samolotach, czołgach i łodziach podwodnych sprawiała, iż patrzyliśmy na wszystko przez różowe okulary, trochę jak dzieciaki w sklepie z zabawkami.

W trakcie dyskusji stopniowo klarowały się jednak zasady mające obowiązywać w całym przedsięwzięciu i zrezygnowaliśmy z większości ciężkiego sprzętu.

Po pierwsze, dostać i wydostać się musieliśmy szybko. Człowiek po sześćdziesiątce, a na dodatek diabetyk, nie jest najlepszym uczestnikiem harców arktycznych, a z zamrożniętych zwłok Komarowa nikt nie miałby żadnego pożytku.

Po drugie, Rosjanie nie mogli nic wiedzieć o naszej wyprawie. Przypuszczaliśmy, że KGB zaniepokoiło wysłane przez Komarowa ostrzeżenie o postępie prac nad kontrolowaniem temperatury; nie mogli wychwycić, że jest w tym też prośba „zabierzcie mnie”. Co więcej, nie jest w zwyczaju Zachodu wnikać na teren ZSRR i zabierać stąd coś, gdyż cały garnitur wewnętrznego bezpieczeństwa ZSRR jest zbyt starannie podopinany. To był punkt na naszą korzyść, albowiem nie będą spodziewali się wypadu, szczególnie w Arktykę, a cała historia przemawiała za tym, że stacja na Nowej Ziemi nie będzie zbyt pilnie strzeżona. Nie pilnuje się miejsc, nad którymi opiekę roztoczyła Matka Natura. Z początku myśleliśmy o przewiezieniu nas przez atomową łódź podwodną, ale były powody, by zarzucić ten pomysł. Jako wojenny okręt Stanów Zjednoczonych łódź mogła zostać wykryta przez system obrony podwodnej lub zaatakowana pod lodami przez rosyjskie łodzie niszczycielskie.

Po trzecie, musieliśmy rozegrać bardzo subtelną rozgrywkę z samą naturą. Na drodze namnożyła przeszkód, a jeśli były jakiegokolwiek udogodnienia, musieliśmy je wykorzystać.

Podróż powietrzna była wykluczona; zbliżające się do wybrzeża sowieckiego samoloty zostałyby zestrzelone przez którykolwiek z całej gamy środków, poczynając od nocnych myśliwców, a kończąc na pociskach powietrze—powietrze i ziemia—powietrze. Pozostawała tylko wyprawa lądowa, a do tej potrzebna była ciemność. Przystudiowanie tabel pokazujących rozkład światła dziennego stanowiło dla nas nieprzyjemne zaskoczenie. Nie tylko jedyna możliwa pora była przerażająco bliska, ale także i okres, w którym rajd naziemny mógł mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia, był straszliwie krótki. Na Spitsbergenie i na Nowej Ziemi przez całą zimę trwa nieprzerwana noc. Po 1 lutego pojawia się zorza, co znaczy, że słońce ciągle nie może się wzbąć ponad horyzont, ale on sam jest widoczny, podobnie jak gwiazdy. 16 lutego zorza trwa już przez trzy godziny, i jeśliśmy nie wyruszyli do tego momentu, całą rzecz trzeba by odłożyć aż do końca lata, a w tym czasie wszystko mogłoby się wydarzyć. Nie można było zwlekać z całym przedsięwzięciem dłużej niż do połowy lutego,

wtedy bowiem na niebie pojawiało się bladawe słońce. 1 marca jest już ponad sześć godzin światła dziennego; szerszenie z gniazda, w które mieliśmy wleźć, mogły wyśledzić nas w nim i śmiertelnie użądlić.

Potem sprawdziliśmy, jak będzie się sprawował księżyc, mając nadzieję, że nie okaże się przesadnie jasny, co się szczęśliwie potwierdziło. Nów zaczynał się 6 lutego, a pierwszą kwadrę uzyskiwał 13. Więcej niż kwadra to byłoby już dla nas nazbyt niebezpieczne. Tam gdzie jest lód, przy pełni księżyca można sobie czytać gazetę, zakładając oczywiście, że ze zmarzniętych dłoni nie wyrwie jej wiatr.

Byliśmy więc skazani na kilka dni pomiędzy 6 a 16 lutego, kiedy zorza trwała od jednej godziny do trzech, a księżyc był pomiędzy nowiem a kwadrą.

Chance prychnął.

— To szaleństwo, jak wszystko w tej zabawie. Nie dałbym ani grosza za to, że w tym okresie trafimy na znośną choćby pogodę.

— Jaka musi być, żeby była znośna? — zapytałem niewinnie.

Spojrzał na mnie wilkiem.

— Słyszał pan kiedyś o śmierci od wiatru?

— Nie.

— No tak, naturalnie. No to opowiem panu. Wiatr dobiera się panu do ciała. Samo zimno nie jest takie groźne, ale zimno połączone z wiatrem zabija bardzo szybko. Są tabele wiatru, które mówią, jak szybko wystawione nań ciało zamrznie na kość. Przy minus czterdziestu stopniach i czterdziestu węzłach wiatru potrzeba około półtorej minuty, żeby umrzeć. Pogoda tam nie głaszcze.

Poczułem, jak żołądek ściska mi się od normalnego strachu, a w pamięci ożyły zachowane z dzieciństwa obrazy, Peary i Scott, straszliwe wyczekiwanie. Do tej chwili nie zdawałem sobie chyba naprawdę sprawy z powagi i trudności tego, na co zostaliśmy skazani.

Z większością tych problemów Chance zetknął się już. A w każdym razie pogoda nie była dla niego żadną nowiną i dlatego trudności i niebezpieczeństwa mógł ocenić w sposób niedostępny dla żadnego z pozostałych.

Zapytałem go szczerze.

— Jakie są szanse, że się stamtąd wyczołgamy?

Cisnął ołówkę na stół.



— Niechże pan posłucha — powiedział. — Jeśli dobrze rozumiem, mamy załatwić wszystko w ciągu dwudziestu czterech godzin. Być może zaczniemy w porze zorzy. Wtedy zostaje dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwie godziny do następnej zorzy. W tym czasie musimy się tam dostać, wedrzeć, wydobyć tego faceta, Komarowa, i zabrać go do miejsca, skąd nas odbiorą. Problem polega na tym, gdzie to będzie.

— Właśnie to ustalamy — odezwał się Dawson. — Otrzymaliśmy bardzo dokładny obraz systemu defensywy.

— Wał pan dalej — rzucił Chance.

— Więc tak. Na całym północnym wybrzeżu jest łańcuch radarów podobny do Systemu Wczesnego Ostrzegania i do Systemu Wczesnego Ostrzegania Pocisków Balistycznych. Plus cały kompleks pocisków antyrakietowych. Możemy chyba jednak założyć, że nie będą spoglądać w naszą stronę.

— Spojrzą, jeśli polecimy samolotami — skrzywił się Chance. Dawson kiwnął głową. — Wiemy, co by się stało. Sprawdzono to dostatecznie wiele razy. Jak wiecie, nad biegunem jest duży ruch lotniczy. Wydaje się, że Rosjanie nic sobie z tego nie robią, dopóki jakiś samolot nie zbliży się na odległość około dwustu mil od wybrzeża. To mniej więcej w połowie drogi między Spitsbergenem czy Ziemią Franciszka Józefa a Nową Ziemią. Tutaj zaczynają już powarkiwac.

— Startujemy więc spoza granicy dwustu mil? — zapytałem.

— Na to wygląda — odparł Dawson.

Chance mruknął „Panie, litości” i znowu odwrócił się do wielkiej mapy.

— Jeśli pobyt zabrałby wam trzy godziny — a pamiętajcie, że trzeba się wspiąć po skałę, przy czym jest do przebycia dwieście mil w jedną i dwieście mil w drugą stronę — wtedy mamy po dziewięć godzin na każdą podróż — stwierdził Dawson.

— Dziewięć godzin! — Chance spojrzał na niego ostro. — Najszybsze urządzenia, jakie mamy, to tchórze. Po dobrej powierzchni mogą robić trzydzieści mil na godzinę. Ale tutaj — machnął ręką w kierunku wielkiej płaszczyny lodowej na mapie — gdzie tutaj ma być dobra powierzchnia?

— Siedem godzin jazdy. Niewielki margines bezpieczeństwa — stwierdził rzeczowo Dawson.

— W ogóle żadnego marginesu — warknął Chance. — Czy pan

wie, jak wygląda pole lodowe? To prawda, że jest przeważnie płaskie, ale tam, gdzie lód się wypiętrzy, mogą być muldy wysokie na dziesięć, piętnaście stóp. Tchórze mogą pokonać jeden czy dwa schodki, ale nie są zdolne do takiej wspinaczki, a przenieść ich nie zdołamy. Jeśli miejsce startu nie może być bliżej niż dwieście mil, nie mamy żadnych szans.

— Podejźmy bliżej i zaraz zaroi się od nich, żeby sprawdzić, co się dzieje — powiedział Dawson.

— No to nie ma o czym mówić. — Chance stał sztywny, z zaciętą twarzą.

Spojrzałem na niego. Ciągłe był rozniewany, ale to nie gniew poddyktował te słowa. To była profesjonalna ocena sprawnego organizatora.

Także i Dawson spoglądał na niego z twarzą bladą i oczyma pełnymi złości.

— Decyzja nie należy do pana, Chance.

— Pułkownik Chance.

— Już nie — powiedział Dawson.

Przez moment wydawało mi się, że dojdzie do bójki, i to sprawiło, że odważyłem się wtrącić swoje trzy grosze. Poprzedniego roku spędziłem urlop zimowy w Aspen w Colorado, a pośród rozlicznych miejscowych uciech były też godziny mknienia po śnieżnych stokach na śniegołazach. Powiedziałem więc to. Szybciutko, bo odwaga mi się kończyła.

— Dlaczego zatem nie wziąć śniegołazów?

Gniew obydwu skierował się na mnie. Wściekle oczy zrobiły się okrągłe i poczułem się, jakbym spoglądał w lufy dwururek. Potem Chance mruknął:

— Przecież to zabawki — i wydał pogardliwie usta.

— Są szybkie i lekkie — odrzekłem. — Z łatwością moglibyśmy je przenieść przez muldy.

— Słuchaj, kolego — powiedział Chance. — Mówiłem ci przed chwilą o wietrze, który zabija. Nawet jeśli śniegołazy dadzą radę, ty będziesz przez cały czas na mrozie. Nie pociągniesz dłużej niż dwadzieścia minut ubrany we wszystkie kurtki świata.

Usłyszałem głos Dawsona.

— A może ogrzewacze i osłony? — ale nie patrzyłem na niego, gdyż twarde oczy Chance'a były wlepione w moje.

Popatrzył jednak Chance, który dał mi spokój i skoncentrował się na Dawsonie.

— To zabaweczki — warknął. — Dobre, żeby zabierać panienki na przejażdżki po śniegu.

Dawson skrył się za sztywną i formalną oficjalnością.

— Sugeruję, panowie, byście cały problem transportu pozostawili do rozstrzygnięcia tutaj, a sami zajęli się doborem załogi.

— Po co, jeśli i tak nie można jechać — rzucił Chance.

— Decyzja, czy można jechać, czy też nie — stwierdził oziębłe Dawson — zostanie podjęta po rozważeniu wszystkich możliwości. Nie teraz w każdym razie.

Mieliśmy więc zostawić problem nierozstrzygnięty, sami zaś udać się na Alaskę i wybrać drużynę. Wszystko, selekcja, trening i aklimatyzacja miały się odbyć jednocześnie na Alasce. Miejsce wyznaczono nam w opuszczonym obozie, wzniesionym ongiś, by aklimatyzowały się w nim ekipy budowlane, które instalowały System Wczesnego Ostrzegania Pocisków Balistycznych w Nome.

Z bazy lotniczej dojechaliśmy tam z Chance'em tchórzem; na żywo zademonstrował mi imponujące możliwości pojazdu, ale też dokładnie pokazał, dlaczego nie był to jego ulubiony wehikuł podróży przez pole lodowe. Jazda była pełna wstrząsów, ale jakoś przemęczyliśmy się, a tam wszyscy czekali już na nas.

Pochodzili zewsząd, nie było takiej strony świata, która nie miała by swojego przedstawiciela. Na początek było ich pięćdziesięciu, czerwonoskórych, białych, brązowych i żółtych, każdy kręcący się w oszołomieniu i z małą zadrą w duszy, gdyż wszyscy wylądowali tu w efekcie nieco zmodyfikowanej zagrywki, którą wykonano z Chance'em.

Miał tylko kilka dni na przesianie ich, a ze względu na nastrój nie był przesadnie miły. Do mnie się przyzwyczał, więc miałem stosunkowo lekką przeprawę; wystarczyło kilka dwudziestopięciomilowych przejażdżek na nartach i parę ohydnych nocy podczas kursu przetrwania w Arktyce. Reszta z nich przeżyła piekło, z tą różnicą, że w piekło jest gorąco, a tu było zimniej niż w najzimniejszej psiarni. Chance znał swą Arktykę, wiedział, na co ją stać, i chciał być pewny, że każdy nauczył się ją doceniać. Nikt wprawdzie nie utracił nogi na skutek gangreny, ale każdy poczuł przynajmniej pierwsze paraliżujące ukąszenie mrozu i cierpienie, kiedy kostniałe ciało odmarza.

Po skurczeniu się grupki przeszedł do takich psikusów jak porzucanie o czterdzieści mil od bazy zjedną parą nart, kompasem i pożywieniem wystarczającym na marny posiłek, aby zobaczyć, komu uda się wrócić. Jeden facet musiał stoczyć walkę kijkami narciarskimi z wygłodniałym szarym wilkiem. Także i on w końcu zwyciężył, ponieważ jednak rękę miał pokąsaną do kości, co oznaczało znaczną możliwość zarażenia wściekłą, musiał wyjechać.

Na koniec pozostało nas sześciu i kiedy zbieraliśmy się w naszej chatce w Nome, można by pomyśleć, że to Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych: jeden Amerykanin, jeden Anglik, jeden Szkot, jeden Norweg, jeden kanadyjski Indianin i największy Japończyk, jakiego widzieliście w życiu.

Najpierw przedstawię Iaina Meldruma tym, którzy nie słyszeli o nim jeszcze. Pochodził ze szkockiej szkoły wyścigów motocyklowych, z której wyszli John Clark, Jackie Stewart i wielu, wielu innych. Każdy wyścigowy motocyklista musi być oczywiście dobrym mechanikiem, ale Meldrum był mechanikiem więcej niż dobrym; nigdy dotąd nie widziałem kogoś, kto by tak czuł silnik. Potrafił posłuchać maszyny i powiedzieć facetowi, któremu wydawało się, że wyregulował ją tak, iż lepiej nie można, „trzydzieści obrotów za wolno”, po czym w mig sam ją nastawiał. Zaczął jako uczeń u Rolls-Royce'a, ze swego kieszonkowego zbudował własną pięćsetkę i zaczął wygrywać wyścigi. Miał koci refleks i znał się na wszystkim, co miało koła lub gaśienice.

Meldrum został więc naszym mechanikiem. Chance z początku go nie chciał, gdyż oprócz tego, że był niewielki, miał w nader niskim poszanowaniu wszelkie autorytety, a ponadto włosy spadające na plecy i skłonność do paradowania wieczorami w purpurowych spodniach sztruksowych. W egzaminach sprawnościowych wypadł też gorzej niż cała reszta twardych przełajowców. Nikt jednak nie znał się lepiej na silnikach, został więc w końcu zaakceptowany..

Drugi był Norweg, Harald Ericson. Wywalono go z armii z równą uprzejmością, z jaką wojska Wujka Sama pożegnały się z Chance'em. Nie bardzo mu się to podobało, ale zrozumiawszy konieczność, chłodno ją zaakceptował. Był wysoki i szczupły, miał wygląd nieprzystępnego. Wzrost sześć stóp i może sto sześćdziesiąt funtów wagi; twardy i sprężysty. Najlepiej przeszedł próby terenowe i nic dziwnego, skoro zwyciężał w olimpijskim biathlonie. Ericson cały dzień

mógł jechać na tych krótkich, śmiesznych biegówkach, całe mile sunąc z karabinem przewieszonym przez plecy i zatrzymując się to tu, to tam, by zestrzelić na stojąco coś z odległości tysiąca jardów. Pochodził z Narviku, który leży w kole podbiegunowym, i miał już doświadczenia antarktyczne, wraz ze swym ojcem, wielorybnikiem, polując u wybrzeży południowych pól lodowych.

Kolej na Jamesa Szary Dym. Na początku imię wydaje się śmieszne, ale szybko się przyzwyczajasz. Był czystej krwi Indianinem, który całe życie spędził na Dalekiej Północy. Miał szare oczy, umieszczone w twarzy o barwie brązowych trzewików, i zawsze wydawało się, że spoglądają one gdzieś poza ciebie. Słyszałem, jak mówili o nim, że widzi dokoła głowy. Nigdy nie spotkałem kogoś równie małomównego; niesamowita umiejętność trwania bez ruchu w milczeniu. Jego specjalnością było przetrwanie w arktycznych warunkach, ale miał wszechstronny spryt, co szczególnie widoczne było tam, gdzie chodziło o ukrycie się. Można było, co sam sprawdziłem, rozglądać się za nim, stojąc o dziesięć jardów i nie widząc go. Nie wiem, jak on to potrafił zrobić; on wiedział. Przypuszczam, że gdyby Ericson miał zapolować na Szary Dym, nigdy by się to nie skończyło, gdyż Ericson niezmordowanie by go tropił, a Szary Dym niezmordowanie nie dałby się znaleźć.

Pozostaje już tylko Yamamoto, Satsumi Yamamoto. Uosobienie tych wszystkich cech, których Japończycy mają być pozbawieni: wysoki, rozłożysty, beceremonialny i wielkoduszny. Ze wszystkich ludzi, jakich widziałem, facet, z którym najmniej chciałbym walczyć. Cassius Clay trochę by pomyślał, zanimby go zaatakował, podobnie zawahałaby się nieco cała drużyna futbolu amerykańskiego. Pod pewnymi względami był podobny do Meldruma, tyle że jego wrażliwość dotyczyła nie maszyn, lecz ludzi. Był zaprawiony w dwóch typowo japońskich sportach: karate, które stało się produktem eksportowym i jest dziś znane wszystkim, oraz kendo, które nie stało się tak popularne, a które polega na walce długimi kijami, podobnymi do drągów, jakimi ongiś okładali się chłopi. Jest to broń szybka, wymagająca wprawy i mordercza. W karate miał czarny pas trzeciego dan i wyżej trudno jest zająć, nie wiem, jakie miał notowania w kendo, ale nie zdziwiłbym się, gdyby były najwyższe. Był także alpinistą, potrafiącym

się wspinać po skałach klasyfikowanych jako „skrajnie trudne”, a jakby tego jeszcze nie starczało, był też oceanologiem z Japońskiego Instytutu Oceanicznego nad Zatoką Japońską. Wszystko to uzyskał nie mając jeszcze trzydziestu dwóch lat!

W takim otoczeniu czułem się jak mały lord Fauntleroy\* wybrany przypadkowo do turnieju o Różową Wazę.

\* Tytułowy bohater XIX-wiecznej powieści Frances Hodgson Burnett (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Inni także szczerze dopinają garnitur swoich zabezpieczeń. Dawsonowi udało się przekonać „Chieftain Oil”, by wpuścili nas na swoje tereny wiertnicze na North Slope, ale nawet on był zaskoczony szczelnością kordonu. Musiał dokonać jeszcze kilku czarodziejskich zabiegów, zanim przyleciał na Alaskę z dwoma zaadaptowanymi śniegołazami. Patrząc, jak wynurzały się z ładowni samolotu transportowego, mogłem zobaczyć, o co chodziło Chance'owi. Nawet podczas tak krótkiego pobytu na Alasce przywykłem do uspokajającego ryku wielkich diesli, przy którym pykanie 640-centymetrowego dwusuwu wydawało się cichutkie i wątlutkie. Jeśli nigdy jeszcze nie widzieliście śniegołazów, to mają one około siedmiu stóp długości i najbardziej przypominają skuter, nazywane są też skuterami śnieżnymi. Do metalowej ramy przymocowany jest silnik, a cała rzecz porusza się na podobnym do gąsienicy pasie zrobionym z gumy i nylonu. Z przodu są dwie krótkie narty, którymi można kierować, a pasażerowie siedzą jeden za drugim, jak na motocyklu.

Normalnie śniegołazy nie mają oczywiście żadnej osłony przed wiatrem, ale Dawson kazał obudować je kabinami: niewysokie, faliste blachy aluminiowe, z szybami ze zbrojonego szkła. Był także ogrzewacz, wciągający do kabiny powietrze ocieplone przez silnik. Sugestia była moja, ale gdy teraz patrzyłem na te owadziki błyszczące pośród bieli i stali dokoła, zdałem sobie sprawę, jak były wątlutkie wobec czekającego je zadania.

Chance przyglądał im się ciężkim wzrokiem, z mocno zaciśniętymi

ustami, reszta też nie wydawała się zachwycona. Z wyjątkiem Meldruma. Podszedł do pojazdów, stuknął w maskę, zachichotał słysząc pusty dźwięk, położył kciuk na rozruszniki, przycisnął, aż maszyna zawarczała, a on przysłuchiwał się jej przez jakieś pół minuty. Potem cmoknął końce rękawiczek i poklepał skuter po baku.

— Takie świetne? — zgryźliwie zapytał Chance.

— Niemiecki dwusuw, bomba — odpowiedział Meldrum. Chwytał rękami maszynę i przechylił ją.

— Myślę, że we dwóch damy radę go podnieść.

— Pilno ci na tamten świat?

— Nie, nie — odrzekł Meldrum. — Maszynki pierwsza klasa. Nie dajcie się zwariować.

— Ja z pewnością się nie dam — warknął Chance. — Zbyt lekkie, zbyt kruche, zbyt amatorskie.

Przegrał. Nie lubił przegrywać, a w szczególności nie lubił być pokonywany przez Meldruma, ale był na jego terytorium. Śniegołaz nie jest specjalnie skomplikowany i Meldrum potrzebował jakichś piętnastu sekund, by się z nim zaznajomić. Hasał po całym lądowisku, to tu, to tam wpadając w poślizg, starając się wyczuć maszynkę. Gdy stanął przy nas, uśmiechał się szeroko.

— Zabawka — oświadczył. — Nawet największy kiep da sobie radę. Spróbujcie.

— Daj — powiedział Chance i dosiadł skutera. Mały silnik zakoczył i poszli. Także i Chance nie potrzebował wiele czasu i kiedy patrzyłem, jak maszynka sunie po polu, wyrzucając śnieg na zakrętach, po raz pierwszy poczułem, że to może się sprawdzić. Kiedy Chance podjechał do nas, Meldrum zapytał:

— No i?

— Przyznaję, fajna zabawka. Ale przez pola lodowe? Musielibyśmy oszaleć — odpowiedział Chance.

Meldrum spojrzał na niego poważnie.

— Jaki będzie uczciwy egzamin?

Tak znaleźliśmy się na North Slope, patrząc, jak Chance i Meldrum objeżdżają zmrożone morze. Helikopter porozmieszczał małe zasilane bateryjnie światła, wyznaczając kwadratowy mniej więcej tor o długości dziesięciu mil, a my patrzyliśmy, jak śniegołazy znikają w ciemności. Warunki lodowe mogły wprawdzie być gorsze, ale te nie były



szczególnie pomyślne — kilka wąskich szczelin między lodowymi krami, gdzie widać było wodę, i trzy lub cztery wybrzuszone muldy mające do dziesięciu stóp wysokości.

Po jakimś czasie reszta, wraz z Dawsonem, schroniła się do ogrzewanej szopy, zostawiając im dwóm całą sprawę. Chance i Meldrum niezamordowanie jeździli po zaimprovizowanym torze do momentu, gdy w zbiornikach nie było już prawie paliwa. Wtedy przestali. W czternaście godzin zrobili około sześciuset mil. Chance był solidnie zmęczony, Meldrum natomiast rozradowany jak dziecko; pokpiwał z Chance'a i rozglądał się za balangą.

— W porządku, twoje górą — warknął Chance. — Idę teraz do łóżka.

— Jeszcze nie, chłopie — stwierdził Meldrum. — Najpierw musimy rozłożyć silniki na części i zobaczyć, co się z nimi stało.

Nie stało się nic. Spoglądaliśmy na cudownie zręczne palce Meldruma, najpierw zamieniające silniki w kupkę połyskujących, naoliwionych części, a później składające je znowu. Usuwał smar, rozglądając się za osadami, ale wszystko było czystiutkie. Na koniec uśmiechnął się do Chance'a:

— Śpij dobrze, ptaszyno. Powiozą cię, gdzie zechcesz.

Wiem, jak musiał czuć się Chance. Niewiele miał do powiedzenia, ale wątpliwości pozostały. Tak samo było ze mną.

Następnego ranka byliśmy w Waszyngtonie, aby wszystko dopiąć i odbyć odprawę. Poprowadził ją Dawson w tej samej sali konferencyjnej, obwieszanej mapami i planami. Panowała ciepła i miła atmosfera i miało się w ogóle przyjemne poczucie bezpieczeństwa tak długo, jak długo się nie myślało o lodzie, mrozie i Rosjanach. Kiedy weszliśmy, obok Dawsona i Masona był jeszcze jeden facet, a pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, były jego oczy. Przypominał Jamesa Szary Dym: wszystkowidzące oczy, bez zmrúżenia, jak się wydawało, tkwiące w reszcie twarży i patrzące na wskroś ciebie. Miał granatowy garnitur, jakby skrojony na kogoś innego, i nieustannie poprawiał kołnierzyk jakby zupełnie do niego nie przywykł.

Popatrzyliśmy po sobie ze zdziwieniem, nie było jednak żadnych prezentacji, zanim nie rozsiedliśmy się wokół stołu. Potem Dawson powiedział:

— Chciałbym panom przedstawić szypra Harry'ego Huttona z angielskiej floty rybackiej z Hull.

— Cholerny Angol — odezwał się Meldrum, aby ktoś czasem nie przeoczył narodowości.

Kilkanaście zmarszczek zmieniło ułożenie na twarzy Huttona w coś, co mogło być uśmiechem, choć nie upierałbym się przy tym.

— Pieprzony Szkot — powiedział uprzejmie. Samogłoski krótkie i ostre, spółgłoski w połowie połknięte. Zerknąłem na Meldruma, a ponieważ ten się uśmiechał, uznałem, że stosunki są w miarę przyjazne. Ktoś mógłby mnie uznać za kpa.

Promienny, dyplomatyczny uśmiech nie zniknął z twarzy Dawsona.

— Szyper Hutton pochodzi z Whithby, podobnie jak kapitan Cook, którego jest potomkiem. Jest rybakim dalekomorskim, który od ponad trzydziestu lat prowadzi trawlerzy wokół Islandii, Spitsbergenu i Morza Białego. Siedem razy zdobył Srebrnego Dorsza za najbogatsze roczne połowy. Nikt poza nim nie osiągnął takiego wyniku ani nawet się do niego nie zbliżył. Zna lody i morza Arktyki, a w walczach z Niemcami uczestniczył jako dowódca niszczyciela ochraniającego konwoje do Murmańska.

Dawson przerwał, a Hutton przestał skubać guzik swej marynarki zrogowaciałymi paznokciami i podniósł wzrok, zorientowawszy się, że wypadaloby coś powiedzieć.

— Ehę — stwierdził.

Odniosłem wrażenie, że nie był gadułą.

— Cholerne chamisko — odezwał się Meldrum.

Głowa Huttona odwróciła się powoli, a wędrujący wzrok zatrzymał się na Meldrumie jak lufa. Jedno oko powoli zmrużyło się: odniosłem wrażenie, że eksplozja była o włos. Wyglądał na twardego i niebezpiecznego człowieka, a ja byłem bardzo zadowolony, że jest po naszej stronie. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Meldrum tak się zachowuje; najpewniej ciągle jeszcze pulsujące blisko powierzchni dawne waśnie plemienne. Ale wydawało się, że dobrze się rozumieją.

— A zatem, panowie — kontynuował Dawson — plan został opracowany. Oto on. Punktem startowym jest baza lotnicza Thule na Grenlandii.

— Tym razem bez eskorty? — zapytał zjadliwie Chance.

Dawson nie zwrócił na to uwagi.

— Tutaj skutery zostaną załadowane do samolotów typu Bizon, dobrze znanych pułkownikowi Chance'owi.

Ten wyrecytował:

— Budowane w zakładach de Havilland of Canada. Turbośmigłowa wersja Karibu. Dobre maszyny.

— Tak jest — potwierdził Dawson. — Bizonem wszyscy wraz ze skuterami polecicie na Spitsbergen, gdzie maszyna uzupełni paliwo, zanim was wysadzi.

— Czy nie byłoby lepiej — przerwałem — gdyby się nigdzie nie zatrzymywała?

— O wiele lepiej — powiedział sucho Dawson. — Ale żaden samolot mogący lądować na lodzie nie ma zasięgu, który umożliwiłby przelot w obie strony. Tak więc uzupełni paliwo na Spitsbergenie, a potem zabierze was i wysadzi na lodzie. Tutaj — wskazał mały krzyżyk na mapie. — Miejsce to odległe jest dwieście mil od Nowej Ziemi, około czterystu mil od Spitsbergenu. Kiedy wyładujecie się, bizon znów wystartuje i odleci wprost do Thule. Przy odrobinie szczęścia wszystkim, co zobaczą Rosjanie na radarze, będzie samolot zbliżający się do granicy dwustu mil, a potem zawracający. To nie powinno ich zaniepokoić.

— To jak mamy wrócić — odezwał się Chance — skoro bizon będzie z powrotem w Thule?

— O tym za chwilę — rzekł Dawson. — Trochę cierpliwości, panowie. Będziecie mieli około godziny zorzy, podczas której ruszycie w drogę, potem wszędzie księżyc. Doceniam ryzyko, niemniej...

— Doprawdy? — wtrącił Chance.

— Tak sądzę.

— To będzie wruszający moment — stwierdził Chance. — Stoiemy pośrodku oceanu, wpatrzeni w oddalający się samolot. Jest wprawdzie tylko poniżej sześćdziesięciu stopni i...

— I trzeba będzie się ruszać — urwał ostro Dawson.

Spojrzałem na niego, a potem na Chance'a, zastanawiając się, czy to zawsze musi tak być, że rozumiem i jednego, i drugiego; jednego, który musi układać plany i wydawać rozkazy, sprawnie i beznamiętnie, oraz drugiego, który musi je przyjmować i wykonywać. Po jednej stronie chłód, po drugiej pasja. Dawson mówił dalej:

— Zakładam, że pogoda będzie taka, jakiej potrzebujecie. Od tej chwili do następnej zorzy będziecie mieli około dwudziestu trzech godzin, w zależności od tego, którego dnia wyruszycie. Jest was sześciu

i będzie sześć pojazdów. Nie mogą one wziąć więcej niż dwóch ludzi, ale w ten sposób mamy margines pozwalający na awarię dwóch maszyn. Stanowi to trzydzieści trzy i jedną trzecią procenta i trudno mi uwierzyć, byście na przestrzeni czterystu mil mogli mieć tak fatalny współczynnik wypadkowości. Każdy śniegołaz jest zaopatrzony w dodatkowy zbiornik paliwa, którego każda maszyna będzie miała łącznie na około trzydziestu godzin. Jeśli dojdzie do jakiejś awarii, paliwo mogą naturalnie przyjąć pozostałe maszyny. Czy to jasne?

Wszyscy skinęli głowami, łącznie z Chance'em, choć wydawało się, że wykonał ten gest wbrew swej woli.

— OK — ciągnął gładko Dawson. — Zakładając, a jakieś założenia trzeba przyjąć, że będziecie pokonywali w ciągu godziny dwadzieścia pięć mil, z jednym postojem na posiłek, dotrzecie do Nowej Ziemi około ósmej—dziewiątej wieczorem, co może być nieco za wcześnie. Ale dzięki temu możecie wy badać sprawę. Wśliznąć się tam powinniście pomiędzy dziesiątą a jedenastą, a kiedy już będziecie w środku, nie powinno to potrwać długo. To znaczy, jeśli wam się powiedzie.

Przerwał, a ja poczułem nagły chłód. Aż do tej chwili nie nawieźdzały mnie żadne wyobrażenia, teraz to nastąpiło: zobaczyłem ludzi z automatami, otwierające się drzwi i tryskające na nas strugi pocisków. Poczułem, że treść żołądka podjeżdża mi do gardła. Rozejrzałem się po reszcie, ale byłem sam ze swoimi strapieniami. Jakkolwiek czuli się wewnątrz, na zewnątrz wyglądali zupełnie obojętnie. Może z wyjątkiem Meldruma, który był wesolutki jak szczygiełek.

— Chyba lepiej, żebyśmy trochę pomarudzili po drodze. Niech już wszyscy będą w łóżkach, a nie pętają się dookoła.

— Sami ocenicie, jak się sprawy będą układać — orzekł Dawson.

— Jak będziecie mieć dobry czas, to możecie odrobinę zwolnić. Jeśli coś was przyhamuje na początku, będziecie musieli wykorzystać każdą chwilę.

— Jeśli w czymkolwiek przypomina to Camp Hundred — włączył się Chance — pójdą do łóżka wcześniej.

Meldrum pokiwał głową.

— Jak się dostać i jak się wydostać — kontynuował Dawson — to już zależy od was. Ze zdjęć wynika, że skała, stroma, ale nie urwista, ma wszędzie wysokość stu pięćdziesięciu stóp. Jest w niej z pewnością coś, co wygląda na kominy.

— Rozumiem, że to wspinaczka dla początkujących. Czy mogą usłyszeć, gdy będę musiał wbijać haki w skałę?

— Lepiej się tego wystrzegać — odpowiedział Dawson. — Jeśli jest tam sprzęt sejsmograficzny, może to wychwycić. Na wszelki wypadek mamy kilka młotków z gumową główką, aby zmniejszyć hałas, ale to same wstrząsy są groźniejsze niż dźwięk.

— Jasne — powiedział Yamamoto.

Podejrzewałem, że jego wyobrażenia o wspinaczce dla początkujących różnią się nieco od moich, ale zostawiłem rzeczy swojemu biegowi. Japończyk wydawał się dostatecznie wielki i silny, by wnieść nas po trzech na górę.

— Wchodząc tam, zabierzecie ze sobą ubranie ochronne dla Komarowa. Każecie mu się przebrać i zabierzecie go ze sobą. Spuścicie go ze skały na linie asekuracyjnej, załadujecie do jednego ze śniegołazów i w drogę. Będzie jechał z pułkownikiem Chance'em.

— Sądzę, że mamy rację — odezwałem się — ale co będzie, jeśli się mylimy? Jeśli nie będzie chciał z nami jechać.

— Jedźcie z wami — powiedział Dawson. — Koniec i kropka.

— Nie ma wyboru? — zapytał Chance.

— Żadnego. Teraz powrót. Z Nowej Ziemi wracacie trasą nieco się odchylającą na południe od drogi w tamtą stronę. Macie dostać się tutaj — Dawson postawił krzyżyk na mapie. — To także będzie mniej więcej dwieście mil. Obawiam się, że nie można tego skrócić, chyba że miałyby się wynurzyć łódź atomowa, a to wykluczone.

Dawson wskazał głową w kierunku rybaka.

— Tam znajdzie się szyper Hutton.

— Ćwok — mruknął Hutton.

— Zaraz po dzisiejszym spotkaniu odlatuje prosto do Keflaviku w Islandii — mówił Dawson. — Stoi tam jego trawler „Gwiazda Polarna”, a na pokładzie są kontenery z dwiema rzeczami; po pierwsze z samolotem Wydra i po drugie z częściami składanego baraku. Są one zrobione z piankowego polistyrenu powleczonego włóknem szklanym. Są lekkie i łatwe do składania. Szyper Hutton dobije „Gwiazdą Polarną” do skraju pól lodowych, wyładuje barak, ustawia go, a potem wyładowana zostanie wydra wraz z pilotem i mechanikiem. Załoga kutra pomoże zmontować samolot, po czym „Gwiazda Polarna” odpłynie, zostawiając w baraku maszynę gotową do lotu.

Gdy tam przybędziecie, przesiądziecie się do wydry, zatapiając skutery, i wróćcie do Thule. Od chwili kiedy znajdziecie się nad brzegami Grenlandii, będziecie eskortowani przez myśliwce. OK?

— A dlaczego samolot nie może nas po prostu zabrać z lodu? — zapytał Chance.

— Ponieważ wysłedziliby go na radarze i nie można by się opędzić od kłopotów. Jak tylko by wylądował, niebo zaroiłoby się od migów.

— No tak — zgodził się Chance. — Ale jak znajdziemy nasz samolot? Wie pan chyba, co tam się wyrabia z kompasami?

— Wiem. To dlatego nie przewidujemy żadnej nawigacji, tylko kontakt radiowy. W drodze powrotnej statek-matka floty rybackiej znajdujący się na pełnym morzu będzie płynął w waszym kierunku i co pięć minut nadawał półminutowy sygnał, który ma was naprowadzać. Musicie się tylko go pilnować.

— OK — kiwnął głową Chance. — A jeśli coś się nie powiedzie?

— Pozostaje nawigacja — odrzekł Dawson. — Gwiazdy i kompas. To trudne, ale powinno być możliwe.

— Miałem na myśli wydrę.

— Alternatywą jest sama „Gwiazda Polarna”. Będzie pływać pięć mil od pól lodowych, nasłuchując sygnałów. Wystarczy wasz znak przez radio, a przyplynie, zabierze was i czmychnie między flotę rybacką. Pomiędzy osiemdziesięciu statkami będzie bezpieczna.

Począł chwilę i rzekł:

— Jakież pytania?

Odezwał się Szary Dym.

— Potrzebne nam będą narty. Jeśli zepsują się więcej niż dwa skutery, można za innymi jechać na holu.

— Buty śniegowe potrzebują metalowych nosków do wspinania — powiedział Yamamoto. — Pokażę jakich.

— Komarow jest cukrzykiem — przyszła kolej na mnie. — Nic nie wiemy ani o jego diecie, ani o innych rzeczach. Nawet nie znamy rodzaju insuliny, którą bierze.

— Mówi po angielsku — stwierdził Dawson. — To trochę może pomóc. A na wszelki wypadek niech pan weźmie do swojej małej czarnej torby pięćdziesiąt siedem odmian.

Ciągle jeszcze rozmawialiśmy, obgadując wszystkie szczegóły,

gdy Hutton, coś tam bąknąwszy pod nosem, wyszedł, by złapać samolot do Keflaviku. Podeszedł do drzwi, niezgrabny, trochę powłóczyący nogami, w tym swoim tanim, opiętym garniturku, odwrócił się ku nam i lekko podniósł dłoń.

— Powodzenia — powiedział. Gwałtownie i brutalnie słowo to przypomniało nam, że mówimy o twardych i groźnych realiach, które z każdą chwilą były coraz bliżej.

Rozmowa stała się nagle rzeczowa i pełna napięcia.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wielka baza lotnicza US Army w Thule na Grenlandii pełna była zupełnie zdumiewających dysonansów. Technika, walcząc z naturalnymi warunkami, dostosowywała się do nich. Prowadzenie bazy umożliwiającej całodobowe loty bombowców wymaga zgromadzenia tysięcy ludzi, nakarmienia ich i zapewnienia im rozrywki, co oznacza stworzenie nowoczesnego otoczenia w klimacie odpowiednim jedynie dla Eskimosów i niedźwiedzi. Kilka dni wyczekiwania spędziliśmy w klubie oficerskim, który mógłby należeć do najbardziej wyszukanych pomysłów Conrada Hiltona. Wewnątrz były kina i bary, smaczne jedzenie i korty do squasha, świeże warzywa i owoce, a także zwarte szeregi automatów do gry. Ale przy każdych drzwiach prowadzących na zewnątrz znajdowały się tablice ilustrujące śmiertelne działanie wiatru, a wielkie napisy upominały, by zmienić buty na filcowe. Wydawało się to zbędne, jeśli do przejścia miałeś raptem kilkaset jardów, ale w rzeczywistości było niesłychanie ważne; skóra jest przewodnikiem ciepła, a kilkaset jardów wystarczy do odmrożenia stóp. W nieskończoność powtarzana była opowieść o dwóch świeżo przybyłych, którzy utracili obydwie stopy zapominając o zmianie obuwia.

Te kilka dni było mi bardzo na rękę. Rana na łydce wygoiła się czyściutko, zarosła nową skórą i z każdym dniem stawała się coraz odporniejsza. Nieustający mróz szuka słabych miejsc i rany odnajduje bezlitośnie, natychmiast je atakując. Kiedy byłem w pomieszczeniu, nie odczuwałem już zranienia, na zewnątrz przypominało o sobie. 12 lutego dowiedzieliśmy się, że Hutton i jego załoga pomyślnie umieścili wydrę na lodzie. Wyładowano elementy baraku, złożono je,



przymocowano do lodu długimi śrubami i wydra czekała teraz wewnątrz. Silnik pracował przez godzinę i wszystko było w porządku. Potem Hutton odплыł od lodu, sam na sam z wydrą pozostawiając pilota i nawigatora, którzy przywarowali w baraku. Nie zazdrościłem im. Chatki takie mają nieprawdopodobne właściwości izolacyjne i przy zupełnie malutkim piecyku jest w nich przytulnie, niezależnie od pogody na zewnątrz. Ale tak siedzieć i czekać pośród lodów, to nie mogło być zabawne.

Zdaje się, że Hutton odплыł w ostatniej chwili. Wkrótce potem rozpętała się zamieć, napełniając powietrze drobnymi kryształkami lodu, które sprawiły, iż widoczność spadła do zera, a kontakt radiowy rwał się i był nieregularny. Według samolotowego zwiadu pogodowego, obserwującego dla nas ten teren, barak stał przez trzydzieści sześć godzin, zanim przestąpił go śnieg.

Chance kręcił się markotnie po pokoju, ożywając się tylko na raporty o stanie pogody. Sama Thule miała wielkie kłopoty z wysoko wiejącymi wiatrami i śniegiem, a chociaż samoloty bez przerwy latały, odrywanie się od ziemi i powracanie na nią było niebezpieczne nawet przy półautomatycznym systemie lądowania. 14 mogliśmy ruszać; pogoda w miejscu przeznaczenia była dobra niemal na tyle, na ile można rozsądnie liczyć, ale warunki w Thule sprawiały, że start bizona byłby zbyt ryzykowny: wiatr wiał z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę z północnego wschodu, w porywach sięgając do dziewięćdziesięciu, prawdopodobieństwo rozbicia się podczas startu było więc wysokie. Tę noc spędziliśmy przeto w łóżkach, z wiatrem szalejącym na zewnątrz jak pijany upiór i umysłami pełnymi prognoz pogody, tabel wietrznych i niepokoju.

Obudzono nas o pierwszej w nocy.

Kiedy dyżurny wszedł i potrząsnął mnie za ramię, wydawało mi się, że spałem zaledwie pięć minut.

— Czas wstawać, sir.

Zaspany spojrzałem na zegarek i mruknąłem:

— Co? Teraz?

— Proszę posłuchać.

Nadstawiłem ucha. Było cicho, ale przez chwilę nie rozumiałem, co to oznacza. I nagle wiedziałem. Podskoczyłem do okna, odgarnąłem zasłonę i wyjrzałem w mrok. Widok na zewnątrz był jak z kartki

na Boże Narodzenie: śnieg głęboki, kruchy, odgarnięty pod ściany budynków, skrzące się złote kręgi pod latarniami. Absolutna cisza.

Chlusnąłem wodą na twarz, szybko ubrałem się i pokłusowałem do czekającego tchórza. James Szary Dym i Yamamoto już czekali, Chance nadszedł zaraz po mnie, po nim Ericson, a na końcu Meldrum. Kierowca wrzucił napęd na gąsienice i ruszyliśmy do hangaru, gdzie czekał na nas bizon. Tam Chance'owi wręczono prognozę pogody, którą ten najpierw szybko przebiegł oczyma, a później powoli przeczytał.

— W porządku, posłuchajcie. W tej chwili warunki są dobre. W miejscu lądowania pada teraz lekki śnieg, wiatr ma około dwudziestu węzłów. Temperaturę na powierzchni ocenia się na dziesięć stopni Fahrenheita. Te same warunki powinny panować na całej naszej drodze. Tak w każdym razie mówi prognoza, cokolwiek jest to warte, gdyż tylko Bóg jeden wie, co pogoda może upichcić w tej syberyjskiej kuchni. — Zmiał papier i cisnął go do kosza. — Ruszamy.

Tylne drzwi bagażowe pod zadartym ogonem bizona spuszczone, tak że utworzyły one podjazd i śniegołazy były już wewnątrz wraz z naszym ekwipunkiem. Wspięliśmy się, zajęliśmy miejsca jak spadochroniarze wzdłuż ścian kabiny i zapięliśmy pasy. Dwie śmigłowe turbiny Pratt and Whitney chrząknęły, potem zaczęły wyć, a bizon lekko zakolebał się wyjeżdżając z hangaru. Wyglądaliśmy przez okna w mrok lotniska, patrząc na światełka wolno przesuwane się, gdy bizon kołował po drózkach dojazdowych. Potem nie było już świateł, tylko szarobiałły śnieg, a samolot zatrzymał się, oczekując zezwolenia na start. Siedzieliśmy przez chwilę czy dwie wsłuchując się w silniki pracujące na jałowym biegu, potem zawory odemknęto, wycie spotężniało, a kadłub zadygotał od uzyskujących pełną moc silników.

Lekkie szarpnięcie uświadomiło nam, że koła podwozia ruszyły i po chwili gnaliśmy pasem startowym. Gwałtownie wzrastał pęd i wibracje, aż w jednym momencie wszystko czarodziejsko zelżało, gdy za sprawą drążka sterowego samolot oderwał się od ziemi, wdzierając się unie w żywioł, do którego został stworzony. Potem drgnięcie serca w chwili, gdy samolot odrobinę opada, bo przymknięte zostają przepustnice, a światełka „Nie palić” i „Zapiąć pasy” gasną. Nikt nie zapalił, ale wszyscy odpięli klamry i rozprostowali się.

— Dziesięć tysięcy stóp — zabrzmiał głos pilota. — Na Spitsbergen chcę polecieć na wysokości dwunastu tysięcy. Kabina nie jest hermetyzowana, ale gdyby ktoś chciał skorzystać z tlenu, maski są w schowkach nad waszymi głowami.

Potem rozległ się trzask wyłącznika, który zabrzmiał w kabynie nienaturalnie głośno. Nikt nic nie mówił. Chance i Yamamoto już zdążyli zasnąć, być może bliski tego był Szary Dym. Siedział bez ruchu w swym fotelu z oczami utkwionymi w ścianie kabiny naprzeciw. Zastanawiałem się, co może widzieć, co tam się rozgrywa przed tymi tajemniczymi, szarymi oczyma. Ericson wyjął naboje z ładownicy i przecierał je lekko naoliwioną szmatką, usuwając najdrobniejszy nawet pyłek. Kiedy skończył z nimi, zabrał się do karabinu, usuwając sworznie, sprawdzając, polerując, sprawdzając mechanizm zamka. Iain Meldrum z rękami założonymi za głowę pogwizdywał przez zęby, a stopy w filcowych butach wystukiwały rytm na podłodze. Zauważył, że patrzę na niego i puścił do mnie oko.

Nie mogłem się jakoś zmusić do odpowiedzi mu tym samym, odwzajemniłem mu się więc najpogodniejszym uśmiechem, jaki udało mi się wyprodukować. W ciągu tych dni stopniowo coraz bardziej byłem świadom tego, na co się porywamy, ale umysł ma swe mechanizmy ochronne, odwodzące nasze myśli od tego, co nieznanne i przerażające. Ciągle trudno było uwierzyć, że za kilka godzin znajdziemy się w środku lodowego pustkowie, ale trudność ta była coraz mniejsza. Usłyszałem poruszenie i spojrzałem w tamtą stronę. To Meldrum wstał ze swego miejsca. Przesiadł się koło mnie.

— Kiepsko, nie?

Spojrzałem stropiony; aż tak bardzo widać?

— Jak się zacznie, wszystko będzie w porządku — powiedziałem.

— Ze mną jest jeszcze gorzej. Spójrz. — Meldrum wyciągnął dłoń i zobaczyłem, że drży. Zaśmiał się. — Zawsze tak jest.

— Przed wyścigiem?

Kiwnął głową.

— I po.

— Ale nie podczas. Zachichotał.

— Wtedy nie rozmawialibyśmy tutaj o tym. To bezruch i zastanawianie się tak denerwują. Jak tylko się zacznie, wszystko znowu

będzie ładnie poskładane. — Popatrzyl po mnie. — Dasz sobie radę jak ta lala.

— Skąd taka pewność?

— Ładna błądź. Pierwsze prawo Meldruma. Jeśli masz pietra i jesteś błądź, będziesz trzymał się dobrze. Jeśli jesteś spietrany i czerwony na twarzy — dasz dupy. Widziałem to setki razy na wyścigach. Widzisz, że koleś cały w rumieńcach i splywa potem, mozesz spokojnie dzwonić do zakładu pogrzebowego.

Poczułem, że się rumienię. Meldrum roześmiał się.

— Ech, bracie, popsuleś wszystko.

Zza jego pleców rozbrzmiał głos:

— Błądź twarzy, jak sobie załatwić taką błądź?

Spojrzałem w tamtą stronę.

Skórzane oblicze Jamesa Szary Dym skrzywiło się w lekkim uśmiechu.

— Trzeba pójść do lekarza — odrzekł Meldrum z rozbawieniem.

— Nie do mnie, przepraszam — zaprotestowałem.

— Biały człowiek zawsze ma rozdwojony język — uśmiech Szarego Dymu jeszcze się poszerzył.

— Zamknijcie się i śpijcie. — Obejrzeliśmy się. Zbudzony Chanec patrzył na nas gniewnie. — Dość tych komedii, spać. Przyda wam się sen. To rozkaz!

Meldrum przesadnie odsalutował i wrócił na swe miejsce. Szary Dym wzruszył ramionami i znowu zaczął kontemplować nieskończoność. Posłusznie zamknąłem oczy i starałem się usnąć, ale jak zwykle, gdy chciałem, nie udało mi się tego zrobić. Nie dlatego, by umysł był zbyt ożywiony, pełen galopujących myśli. Wprost przeciwnie. Wszystko wydawało się jakoś uwiecznione: nieruchome, spokojne, ciche. Obróciłem się i spojrzałem przez okno na zalaną światłem księżycowym lodową czapę Grenlandii, która również wyglądała cicho, spokojnie i wieczysto. „Lodowe góry Grenlandii”, pomyślałem. Jak to szło dalej? „Koralowe plaże Indii”. Bardzo zapragnąłem znaleźć się właśnie teraz na koralowych plażach Indii. Strzępek wierszyka dziecięcego przeniósł mnie w czasy dzieciństwa, między jeziora angielskie.

Zasnąłem pewnie w tej samej chwili, w której przestałem próbować. Zbudził mnie ucisk w uszach spowodowany wzrostem ciśnienia w kabinie. Zaciśnąłem nos i wdmuchnąłem do niego powietrze, równoważąc w ten sposób napór i zmniejszając nieprzyjemne uczucie.

Byłem zeszywniały, przeciągałem się więc przez chwilę, patrząc, jak inni zaczynają się przekręcać i budzić. Wyglądając przez okno kabiny dostrzegłem pod nami wysepki Spitsbergenu, na północ od nich białą granicę lodów Arktyki, a na południe ciemne srebro morza w księżycowym świetle. Linia graniczna była pociągnięta jak przy linijce.

Na Spitsbergenie nawet nie wysiadaliśmy z samolotu. Ktoś podał pojemnik z ciepłym jedzeniem i najnowszy raport meteorologiczny. Chance zerknął na niego i powiedział:

— Bez zmian. Mamy szczęście. Jak na razie. — Potem otworzył pojemnik i zaczął kolejno podawać talerze z dużymi porcjami gulaszu wołowego. Na deser był bardzo słodki pudding z lukrem, który mi nie smakował, ale wmusiłem go w siebie ze względu na zawarte w nim paliwo. Na koniec był dzbanek tłustej, woniącej ciecicy, która nie tyle lała się z filiżanek, ile wysączała się z nich. Cokolwiek to było, sam widok mi się nie podobał.

— Co to takiego? — indagowałem.

— Kakao — powiedział Ericson. — Bardzo dobre.

Nigdy nie znosiłem kakao ani napojów czekoladowych, więc pożytkowałem.

— Marynarskie kakao — oświadczył tamten. — Wypij. Chroni przed zimmem.

Smakowało jak ulepek, ale zrozumiałem, o co mu chodziło. Gdy je pochłonałem, w moim żołądku znalazła się solidna kula węglowodanów i protein. Czuję się jak pyton po połknięciu krowy: go-tów byłem zwinąć się i przez miesiąc oddać trawieniu.

Kiedy tylko wystartowaliśmy ze Spitsbergenu, Chance wstał.

— Dobra — powiedział — przeberzmy się.

Bizon robił trochę mniej niż trzysta mil na godzinę, co znaczyło, że mamy około półtorej godziny na przygotowanie się. Było jeszcze wcześniej i wszyscy wiedziliśmy o tym, ale ponieważ nadchodził nasz czas, lepiej było zrobić cokolwiek, niż siedzieć beczynnie. Podobnie jak inni miałem już na sobie flanelowe kalessony i flanelowy podkoszulek, spodnie wełniane i wiatrówkę. Teraz naciągnąłem nieprzepuszczalne spodnie Grenfella i kurtkę, wielkie buty z białego filcu, futrzaną czapę, a na wierzch kaptur kurtki.

Ze wszystkiego najwspanialsze były buty, nic tak bowiem nie utrzymuje ciepła jak gruby filc, dlatego też każdy but ma ćwierć cala

grubości. Podeszwa jest gruba może na cal, powleczone od dołu cienką warstwą gumy, aby trzymała się nawierzchni. Jedyny kłopot polega na tym, że nie wolno ich zamoczyć; jeśli tak się stanie, mróz zetnie but i twoją stopę, zanim się zorientujesz. Kiedy więc przyłgnie do nich śnieg, ważne jest, by go otrząsnąć, zanim go poczujesz. Na użytek tej podróży posunęliśmy się jeszcze dalej i na wierzch naciągnęliśmy buty z foczych skór. Czapy były zrobione z wilka, podobnie jak futrzane wyמושczenie kapturów kurtek. Futro wilcze najlepiej ze wszystkich chroni przed zimnem i wilgocią. Nawet niedźwiedzie polarne nie były lepiej wyekwipowane do życia w Arktyce.

Meldrum ubrał się szybko i dokonywał ostatecznego przeglądu skuterów. Zostały pomalowane na biało, toteż rozglądanie się za nimi byłoby podobne do szukania igły w stogu siana o powierzchni miliona mil kwadratowych. Z tej samej przyczyny nie bardzo lubiłem myśl o próbach odnalezienia śniegołazu w przypadku, gdyby ktoś z nas odłączył się od grupy.

Sprawdziłem swój przyborek medyczny. Miałem opatrunki, szyny, bandaże, morfinę, benzedrynę oraz insulinę w kilku postaciach: o przedłużonym działaniu, bezpośrednio absorbowaną i kilka rodzajów tabletek przyjmowanych tylko przez niektórych diabetyków. Była też normalna zawartość podręcznej apteczki, ale nie znalazły miejsca w małej czarnej torbie — w rzeczywistości była to zielona skrzynka z włókna szklanego — żadne narzędzia położnicze. Niedźwiedzice polarne i foki musiały sobie radzić same.

Staliśmy wszyscy, poklepując się po kieszeniach i sprawdzając wyposażenie skuterów, kiedy zorientowaliśmy się, że zmienia się nachylenie podłogi. Bizon schodził w dół. Zerknąłem w okno i spojrziałem na lód trzy tysiące stóp pod nami. Okno ograniczało widoczność, ale wszędzie był tylko lód, aż po horyzont, tu i tam upstrzony wyrzuszonymi muldami i małymi płoniami, powodowanymi przez pęknięcie i przesuwanie się płyty lodowej. Mroczna woda czekała w nich na zamrożenie.

Zapaliło się światełko „Zapiąć pasy”, wczepiliśmy się więc, czekając i wsłuchując się w zmieniającą się wraz z redukcją prędkości samolotu melodię silników. Opadaliśmy powoli, gładko i bez wstrząsów, podczas gdy w mojej piersi ktoś zawzięcie walił w wielki bęben basowy, a mięsień ramienia wpadł w nerwowe drzenie.

Pilot musiał być niezły, a miejsce pewnie upatrzył sobie wcześniej. Lotem ślizgowym opadaliśmy na lód, potem wykręciliśmy pod wiatr i zaczęliśmy podchodzić do lądowania. Z głową w oknie patrzyłem na lód przykryty gładko śniegiem i biegnący na nasze spotkanie. Skoczyliśmy ku niemu, a wtedy szybko zaczął przemykać za oknami. Po chwili samolot zakołysał się, gdy płozy dotknęły lodu i pomknęły po nim. Modliłem się, by na drodze nie znalazło się ukryte rozpeknięcie czy wybrzuszenie...

I oto byliśmy już na dole, a silniki znowu zamierały. Kiedy stanęliśmy, Chance odpiął się i wstał. Wszyscy poszli w jego ślady. Świat, a w chwilę potem gwałtowny podmuch przeraźliwie zimnego powietrza sprawił, iż wszyscy odwrócili się. Podjazd, stanowiący część sekcji ogonowej, opuszczał się i wtargnęła między nas arktyczna noc. Wziąłem głęboki oddech, ale czując wpływające we mnie lodowate powietrze pomyślałem, że nie było to najmądrzejsze.

Koniec rampy uderzył już o lód, Iain Meldrum uruchamiał więc właśnie silnik pierwszego skutera. Chance wskoczył na niego i przez kabinę zjechał po rampie na dół. Meldrum uruchamiał każdą maszynę i wypychał, a każdy z nas wskakiwał na swoją i ostrożnie zjeżdżał z samolotu na lód. Znalazłszy się na zewnątrz otwieraliśmy gaźniki, by szybko ogrzać silniki. Chance zostawił swój pojazd i wrócił do samolotu, by ostatecznie ustalić naszą pozycję. Po chwili zszedł i przechodząc od maszyny do maszyny wykrzykiwał instrukcje. Zbliżywszy się do mnie wskazał gwiazdę jasno połyskującą na niebie.

— Nasz kierunek! — wrzasnął i zatrzasnął drzwiczki śniegołazu.

Siedziałem, czekając na sygnał do wymarszu i spoglądałem na bizona. Hydrauliczny podnośnik umieścił rampę w poprzednim położeniu, a potem śmigła zaczęły się kręcić coraz szybciej i szybciej. Z kabiny pilotów pomachała ręka i bizon ruszył; teraz, gdy był lżejszy, szybciej nabierał prędkości. Po kilku chwilach ogon opuścił się nieco, płozy oderwały od ziemi i samolot z warkotem wzbił się w noc.

Rozejrzałem się dokoła. Bizon był już tylko światełkiem na niebie. Koło mnie śniegołazy, małe białe karzełki, strużki spalin z rury wydechowej.

Byliśmy sami na Morzu Arktycznym.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Oglądany przez szybę widok przypominał jedną z tych fotografii prasowych, która spędziła w wywoływaczu tylko połowę właściwego czasu: wielkie połacie bieli z czarnymi cieniami. Niemowlecy księżyc rzucał jedynie bledziutkie światło, wystarczające, by na tle ciemnego nieba zobaczyć opadające płatki śniegu.

Reflektor skutera Chance'a rozbłysnął raz, potem drugi i Meldrum wolno oddzielił się od nas, wykręcając w kierunku gwiazdy i ruszając przed siebie. On miał prowadzić. Ponieważ każdy jard drogi biegł po całkowicie niepewnej powierzchni i ponieważ tempo naszej jazdy nie pozwalało na bezpieczną powolność, więc ważne było to, by na czele małej kolumny znalazł się ktoś o kocim refleksie. Śniegołazy mają znakomite hamowanie i przy dziesięciojardowych odstępach między nimi powinno się unikać zderzenia.

Ruszaliśmy po kolei, Yamamoto jako drugi, ja na trzeciej pozycji, Chance na czwartej, a Ericson i Szary Dym jechali obok siebie na końcu, *ex aequo* na piątym i szóstym miejscu. Było to dla nich obu dodatkowo niebezpieczeństwo, gdyż w przeciwieństwie do nas żaden z nich nie podążał śladem Meldruma. Oddaleni od siebie o pięć stóp, jechali po obu stronach ścieżki w nie przetartym śniegu. Z drugiej strony niepodobna, by ktoś — ktokolwiek — miał jechać samotnie na końcu. Szary Dym i Ericson widzieli się nawzajem; gdyby jeden z nich wpadł w tarapaty, przynajmniej drugi wiedziałby o tym.

Dziwnie jakoś było siedzieć tak sobie w śniegołazie, jadąc za Yamamoto i od czasu do czasu widząc Meldruma błyskającego z przodu.



Mały rotax, dwusuw, 640 cm, pomrukiwał dzielnie, na zewnątrz lekki świst śniegu i lodu, ale poza tym żadnego więcej dźwięku. Wycieraczka nieustannie przebiegała z jednej strony szyby na drugą, a przez oczyszczony wizjer widziałem dwa białe owady coraz szybciej mknące przez lodowe pole.

Meldrum w przodzie przed nami czuł niemal drogę całym sobą, jeśli to możliwe przy szybkości dwudziestu mil na godzinę. Jego dłonie i tył spodni, nie tracący widać wrażliwości pod grubymi warstwami wierzchniego odzienia, odgadywały przesuwającą się dołem powierzchnię. Przyspieszał, a wraz z tym, jak rosła jego pewność, przenosiła się na całą resztę. Dłonie w rękawicach musiały tylko trzymać się tyłu maszyny Yamamoto, a kciuk coraz bardziej przyciskał guzik gaźnika, abym się nie opóźniał.

Śnieżna powierzchnia pod nami była zadziwiająco gładka. Skuter podskakiwał od czasu do czasu, przejeżdżając nad małymi wzgórkami i dziurami w lodzie, ale nie było to gorsze od jazdy MG po wyboistej drodze polnej.

Po przejechaniu około pięciu mil w kabinie zrobiło się nieprzyjemnie gorąco i zacząłem ociekać potem. Przesunąłem pokrętko kontroli ogrzewania i rozpiąłem suwak kurtki. Najchętniej zdjąłbym ją, ale to wymagało zatrzymania się, co było niemożliwe. Absolutnie nie chciałem za bardzo się spocić, co przede wszystkim dotyczyło stóp. Koniec końców, pot to głównie woda i diablo skutecznie mógł przemoczyć filcowe buty. Za nic nie chciałem stwierdzić, gdy dotrzemy na miejsce, że mam przemarznięte stopy.

Po czterdziestu minutach niebo zaczęło się rozjaśniać zrazu nieznacznie, a potem całkiem szybko. Zaczynała się krótka pora zorzy arktycznej. Łatwiej było teraz trzymać się Yamamoto, sunącego przede mną po śniegu. Zorientowałem się, że w powietrzu nie było już płatków śnieżnych i wyłączyłem wycieraczkę. Niepotrzebnie. Wiatr porывał śnieg z nietrwałego śladu skuterów Meldruma i Yamamoto i oblepiał nim szybę. Sięgnąłem do przycisku wycieraczki, która po kilku bezowocnych ruchach szybko oczyściła osłonę. Dostałem nauczkę i nie zamierzałem już manipulować wycieraczką; ciepło z wnętrza kabiny topiło płatki osiadające na pleksiglasie, a wiatr zamieniał je w lód. Gdyby skrzydełko zatrzymało się na krótki choćby czas, jechałbym na ślepo.

Tymczasem Yamamoto odskoczył ode mnie. Odstęp pomiędzy nami zwiększył się do stu jardów. Otworzyłem gaźnik, by nadgonić; silnik zawarczał wesoło i poczułem, jak tył maszyny osiada, gdy płoza mocniej wżarła się w śnieg. Przy zwiększonej szybkości przypominało to jazdę po wodzie. Wydawało się, że lecę, podskoki rozmywały się w pędzie. Było w tym coś niesamowitego, wrażenie, jakby w ślizgaczu mknęło się przez wielkie, puste, bezbrzeżne jezioro.

Meldrum wykorzystywał jasność, by posuwać się tak szybko, jak to możliwe. Każda zrobiona mila była milą na naszą korzyść, szło lepiej, niż planowaliśmy. Czasami omijał łukiem wybrzuszenia i muldy sterczące z lodu, a my posłusznie podążaliśmy wyłobionym przez niego tropem i w ślad za nim powracaliśmy na właściwy kurs. Co kilka minut obracałem się na siodełku i spoglądałem przez tylną szybę na skuter Chance'a, ledwie widoczny w tańczących tumanach śniegu.

Jechaliśmy teraz najczęściej czterdzieści mil na godzinę, stale i uparcie, połykając mile jakby mimochodem i z warkotem posuwając się ku płaskiemu, niezmiennemu horyzontowi, który tak samo odległy rozpościerał się przed nami. Teraz przynajmniej mogliśmy widzieć — i to wyraźnie — horyzont przed sobą. Arktyczna zorza jest daleko jaśniejsza od świtu pod bardziej umiarkowanymi szerokościami, a światło tak silnie odbija się od lodu, że z łatwością można by czytać gazetę. Ale większość tej pory mieliśmy już za sobą. Zaraz się skończy, o wiele za szybko, i zostanie nam dwadzieścia lub więcej godzin wżerania się w mrok, gdy zagrożenia będą się mnożyły, a my będziemy posuwać się wolniej.

Mieliśmy za sobą dwie i pół godziny jazdy i prawie osiemdziesiąt mil, kiedy coś zaczęło się dziać na horyzoncie. Prosta linia zaczęła się strzępić, co z bliższej odległości okazało się poszarpanymi grzbietami wypiętrzonych przez nacisk muld. Meldrum wykręcił w lewo, potem w prawo i mogłem sobie wyobrazić, jak wpatruje się w szybę szukając jakiegoś przesmyku.

Ale go nie było. Zatrzymał się przed wydzwigniętą ścianą, a my zbiliśmy się za nim w grupkę, dopinając kurtki, nakładając gogle, zaciskając sznurki kapturów i przytupując.

Wiatr nas poraził. Szczelnie zamknięci w kabinach, w ogóle nie odczuwaliśmy kąsającego zimna; jechaliśmy jak w limuzynach. Teraz, nawet pod osłoną grani, odczuliśmy je dotkliwie; drobnutki śnieg

porywany z lodu, jak lotny piasek czepiał się naszych kurtek.

Patrzyliśmy na grań, wysoką na trzydzieści stóp i wyrastającą niemal prostopadle do naszego kursu. Śniegołaz może pokonać stok o nachyleniu czterdziestu pięciu stopni, jeśli droga jest w miarę znośna, ale tu nie mógł nic poradzić, byłoby to wjeżdżanie na ścianę. Bez żadnej zachęty Yamamoto, ogromny we wszystkich tych okryciach, podszedł do lodowej skały, rozejrzał się po niej i zaczął się wspinać. Dla niego nie była to może trudna wspinaczka, ale z dołu wyglądała dość przerażająco. Wdrapał się po ścianie jak mucha, na górze, gdy zabrakło osłony od wiatru, wyglądało to tak, jakby się potknął, ale złapał równowagę i nachylił się, badając tamtą stronę. Odwrócił się i rozłożył ręce, kciuki rękawic opuszczając w dół. Poczekaliśmy, aż zejdzie, a wtedy Chance krzyknął:

— Jak to wygląda?!

Yamamoto pokręcił głową w kapturze.

— Po drugiej stronie jest tak samo.

— Jakież inne miejsca są lepsze?

— Może. Trudno powiedzieć. W obydwie strony grań ciągnie się na dwie, trzy mile. — Wzruszył ramionami. — Może to tylko skrót perspektywiczny.

Chance zawrócił do swego pojazdu i przyniósł dwa aparaty walkietalkie.

— Doktor idzie ze mną i Szarym Dymem. W lewo. Meldrum, Ericson i Yamamoto idą w prawo. Trzymamy się blisko ściany. Zobaczymy, czy jest jakieś przejście.

Ericson wziął aparat.

— Dlaczego to, a nie radio?

— Mają zasięg tylko dwudziestu mil. Wystarczający, a nie za długi.

Zawróciłem do skutera, wsiadłem, ruszyłem przełącznik ogrzewania i poczułem, jak napływa ciepłe powietrze. Z czułością słuchałem silnika. Malutki układ cylindrów i kilka ruchomych części dwusuwu — to była cała nasza ochrona. Cóż za szczęście, że tak słodko hałasował; gotów byłem pomodlić się za jego nieustające zdrowie.

Pyrkaliśmy jeden za drugim, Chance rozważnie niespieszny. W okolicach tego wypiętrzenia z lodem mogły się dziać rzeczy najróżniejsze, a on nie chciał ryzykować. Obok widniał nieprzerwany grzbiet, zmieniający tylko poszarpaną linię grani na podobieństwo murów obronnych, ciągnącą się, jak okiem sięgnąć. Lęk i przerażenie

budziła myśl o potwornej sile, która zderzając dwie wielkie kry lodowe była na tyle potężna, by tak je wygiąć. Przez dwie, trzy mile nic się nie zmieniało; żadnego miejsca, które choćby sugerowało, że skutery mogą przez nie przejechać lub nawet zostać przeniesione.

W końcu Chance zatrzymał się i zawrócił drogą, którą przyjechaliśmy, gestem każąc nam podążać za sobą. Wykręciłem i pojechałem za nim. Zwiększył teraz szybkość, na lodzie raz już przemierzonym mogliśmy być pewni tego, co pod nami. Po dziesięciu minutach minęliśmy miejsce pierwszego postoju, gdzie nasze ślady odchodziły w bok, i pojechaliśmy w kierunku Meldruma. Ale grań ciągnęła się nieprzerwanie. Wypiętrzała się po lewej, od dwudziestu do czterdziestu stóp górując ponad lodem. A światło powoli zamierało. Za chwilę skończy się krótki czas zorzy i znowu pogrążymy się w mroku.

Byłem ciekaw, co znalazła grupa Meldruma, ale nie miałem jak się dowiedzieć. Chance miał walkie-talkie, lecz nie warto było stawać na pogawędki. Wydawało się jednak oczywiste, że coś znaleźli. Miałem nadzieję, że będzie to skraj grani.

Nieszuszenie. Kiedy dotarliśmy do nich w ostatnich blaskach zorzy, trzy śniegołazy stały koło wyrwy w murze, szerokiej może na czterdzieści stóp. To, co mogłem widzieć, podjeżdżając do nich, wyglądało jak nagromadzenie brył lodowych. Zatrzymałem skuter, zsiadłem i dołączyłem do reszty, przeciskając się między porozrzucanymi bryłami. Teraz zobaczyłem, a żołądek podjechał mi do góry.

W lodzie ziała wąska płoń\*. Luka wypełniona siedmioma, może ośmioma stopami wody. Po obu jej stronach rozciągała się w dal pionowa skała.

Chance rzucił tylko okiem i odwrócił się.

— Trzeba popatrzeć dalej. Meldrum chwycił go za ramię.

— Już tam byłem. Nie ma żadnej przerwy.

— Jak daleko zajechałeś?

— Mile, może dwie. Cholerna skała ciągnie się bez końca.

— Więc co? — zapytał Chance, ale już wiedział, tak jak i ja. Wiedzieliśmy, o czym myśli Meldrum.

\* Płoń — duża szczelina w polu lodowym (przyp. tłum.).

Ten nic nie odpowiedział. Podeszedł do swego skutera, wrócił z czekaniem i zaczął odbijać lód sprzed płoni.

— Zwariowałaś — stwierdził Chance.

Meldrum potrząsnął głową.

— Chcę wyjść z tego z życiem. Przy dobrym najeździe da się przeskoczyć.

— Za szeroka — sprzeciwił się Chance.

Meldrum obstawał przy swoim.

— Londyński autobus przeskoczył kiedyś pięciostopową wyrwę w Tower Bridge z pięćdziesięcioma pasażerami w środku. Potrzebny nam jest tylko dobry rozbieg.

— I dobre lądowanie — dorzucił Yamamoto. Wyciągnął ze skutera czekan, podeszedł do grani i po chwili przeszedł na drugą stronę.

Ja też wziąłem swój i ruszyłem jego śladem.

— OK — burknął Chance. Chwytał czekan, Ericson i Szary Dym wzięli się do swoich i zaczęli odłamywać lód. Niemal godzinę zabralo nam wyrąbywanie wąskiej ścieżynki do obu skrajów płoni. Cholernie wyboiste, ale swego rodzaju rampy. Zalewał nas pot, gdy oczyszczaliśmy obie strony; stanęliśmy później spoglądając z powątpiewaniem, a pot zamarzał na brwiach.

Meldrum zaśmiał się, splunął w dłonie, a ja zastanawiałem się, czy drżą teraz. Podeszedł do swej maszyny, zamknął drzwiczki i odjechał w mrok na jakieś sto pięćdziesiąt jardów. Wpatrywałem się w niewyraźny zarys maszyny, gdy nawróciła i zaczęła się do nas zbliżać. Musiał dać pełen gaz od samego początku; z wyciem silnika skuter leciał na nas, wyrzucając na obie strony małe wachlarzyki śniegu.

Robił ze czterdziestkę, gdy wjeżdżał na rampę; śniegołaz wyskoczył jak na jarmarcznych pokazach, przeleciał nad wyrwą i wylądował krzywo po drugiej stronie, z płozą ześlizgującą się w bok. Musiał korygować lot w powietrzu, manewrując przy lądowaniu ciężarem swego ciała. Przez krótką straszliwą chwilę myślałem, że przewróci się na dach, ale udało mu się wytrzymać, zjechał z rampy na bok, zatrzymał się i wysiadł. Przeskoczył wyrwę o dobre sześć stóp, ale był to parzywy moment i dłonie w rękawicach zrobiły się lepkie.

Meldrum podeszedł do brzegu płoni, a Chance stanął po drugiej stronie.

— Za ryzykowne! — krzyknął.

— Jest dobrze! — odwrzasnął Meldrum. — Ja mam to już za sobą.

— Mało nie złamałeś karku!

— Jak się boicie — krzyknął tamten — mogę to zrobić ze wszystkimi! — Niepotrzebnie to mówił. Chance'owi chodziło o całą wyprawę, a nie o własną skórę, ale nie był facetem, który mógł znieść zaczepkę.

Odwrocił się, poszedł do swojego skutera, wsiadł i śladem Meldruma odjechał od przerebli na sto pięćdziesiąt jardów. Po chwili z warkotem najeżdżał na rampę.

Nie wiem dokładnie, co się stało, wszystko odbyło się zbyt szybko. Musiał nierówno najechać na rampę i skuter przekreślił się na bok w powietrzu, spadając po drugiej stronie ze straszliwym trzaskiem. Silnik natychmiast stanął; słychać było rozdzierający chrobot czegoś, co dostało się do mechanizmu gaśnicowego. Tylko połowa maszyny opierała się na lodzie; reszta zwieszała się nad wodą i jedno poruszenie Chance'a w środku wystarczyło, by pojazd zaczął zjeżdżać do tyłu. Patrzyłem z przerażeniem, jak nieskończenie na pozór powoli ześlizguje się w czarną wodę czyhającą w przerebli. Zaczynał już wychylać się poza środek ciężkości; jeszcze chwila i skuter byłby w wodzie, a Chance zginąłby od szoku.

Rozgrywało się to na naszych oczach w ruchu powolnym, ale nieubłagany. Wtedy uświadomiłem sobie, że ciągle trzymam czekana w dłoni. Rzuciłem się do przodu, wbiłem główkę w cienką metalową płytę z przodu skutera i szarpnąłem się do tyłu. Pólsiedząc, całym swym ciężarem i siłą starałem się powstrzymać maszynę. Ale osuwała się dalej. Nagle coś rąbnęło mnie w plecy, tak że uchwyt czekana niemal wyskoczył mi z dłoni. Pośliznąłem się i upadłem, ale szturchnięcie pochodziło od Yamamoto, który podskoczył, by złapać za rękęję. Trzymał teraz mocno, a ja przyłączyłem się do niego. Razem mogliśmy go utrzymać; przysiedliśmy i prostując kolana ze wszystkich sił szarpnęliśmy do tyłu. Naszym głównym przeciwnikiem był ciężar Chance'a. Wstrząs musiał go rzucić na tył maszyny, teraz jednak podciągnął się do przodu, a kiedy środek ciężkości przesunął się w naszą stronę, skuter podskoczył i stanął płasko na lodzie. Teraz poszło już łatwo i wraz z Yamamoto szybko odciągnęliśmy go, czekając, aż Chance wysiądzie.

Nie mógł tego zrobić. Uderzenie musiało wygiąć metalowe drzwi czy ramię; w każdym razie nie otwierały się, gdy Chance szarpał

za klamkę, w końcu więc wykopał je. Mozolnie wysiadł trzymając się za ramię.

— Coś ci się stało? — zapytałem.

— Tylko siniak od uderzenia — odrzekł. Popatrzył gniewnie na rozkraczanego śniegołaza, drzwiczki klekoczące na wietrze i główkę mojego czekana ciągle wbitą w metal. Meldrum szarpał się już z pokrywą silnika, wyciągnąwszy najpierw ostrze. Potem obrócił się do mnie.

— Niezły cel — powiedział. — Gaźnik załatwiony od jednego uderzenia.

— Jest zapasowy? — rzucił Chance.

— Nie mamy zapasowych gaźników.

— No to jeden śniegołaz do tyłu. Ćwierć drogi, a my straciliśmy już jednego — w głosie Chance'a czuło się gorycz.

— O mały włos, a stracilibyśmy też jednego człowieka — odezwałem się.

— A prawda, nie podziękowałem ci — Chance odwrócił się do mnie. — Dziękuję. Tobie także — kiwnął głową w kierunku Yamamoto. — Teraz albo ten jeden skuter musi wrócić i poszukamy innego przejścia przez grań, albo cztery muszą przepawić się na drugą stronę.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Brakowało nam niestety czegoś, co mogłoby posłużyć jako pomost. Chance nie chciał już żadnych skoków przez płoń, o co nie miałem do niego pretensji. Kilka minut myszkowania po okolicy pokazało jednak, że nie ma innego wyjścia. Mieliśmy co prawda cztery pary nart, ale nawet gdyby mocno je związać, było wątpliwe, by uniosły ciężar skutera, a nie chcieliśmy ryzykować ich utraty. To samo odnosiło się do małego składanego toboganu.

W końcu więc Yamamoto pomógł Meldrumowi przedostać się na drugą stronę grani. Na początek skierował się do mojej maszyny, postępując z nią tak samo jak ze swoją. Odjechał daleko w lód, aż niemal straciliśmy go z oczu i był tylko niewyraźną sylwetką poruszającą się w bieli, a potem nadleciał z warkotem, dobrze i równo odbił się od rampy, gładko lądując po mojej stronie rozpadliny. Nigdy nie zrozumiałem, jak on to robił; najwidoczniej sterował w locie tym diabelstwem, dbając o równowagę po wyskoku, a po drugiej stronie osadzając, zapewne gwałtownym, a zarazem cudownie wyważonym pchnięciem. Potem wrócił z powrotem.

Niech mnie diabli, jeśli za każdym razem nie robił tego lepiej. Ja nie odważyłbym się na skok za całego scotcha Szkocji, a jedyny, który tego spróbował, załatwił maszynę, Meldrum natomiast przeprawił całą czwórkę bez najmniejszego uchybienia. Ostatni skuter prawie nawet nie podskoczył. Udało mu się jakoś utrzymać tył przy ziemi, a w powietrze zadrzeć tylko przód: pojazd jak szybowiec przepełnął nad dziurą, gładko siadł na obracającej się płozie i po prostu sunął dalej przed siebie.



Byliśmy po drugiej stronie; to nie do wiary, ale byliśmy po drugiej stronie. Nasze zasoby skurczyły się też do pięciu śniegołazów, co znaczyło, że ktoś będzie miał pasażera.

Chance podszedł do Meldruma i ze słowami „Najbezpieczniej czuję się z panem, panie kierowco” usiadł w tyle za nim.

Znowu pokazały się gwiazdy; Meldrum pojechał trzy mile w lewo wzdłuż lodowego garbu, a potem wrócił na kurs, z resztą jadącą oczywiście w trop za nim. Straciliśmy prawie godzinę, ale zanim nadziałiliśmy się na to lodowe wyrzuszenie, szło nam tak dobrze, że nie była to wielka szkoda. Spojrzałem na zegarek: właśnie minęła czwarta, co znaczyło, że na przebycie około stu dwudziestu mil mieliśmy jakieś pięć, sześć godzin. Pomykając śladem maszyny wiozącej Meldruma i Chance'a, zacząłem myśleć, że przyjdzie nam to łatwo.

Kilka razy napotkaliśmy kolejne garby, ale albo były o wiele niższe i łatwie do pokonania, albo znajdowały się w nich przesmyki. Potem zagroził nam drogę stujardowy może pas kanciastych grud lodowych, który przypominał zdjęcia linii przeciwczołgowych wybudowanych przez Hitlera na Linii Zygfryda. Spróbowaliśmy tego samego co poprzednio: rozdzieliliśmy się i rozjechali w obie strony, szukając jakiegoś przejścia. Nie znaleźliśmy. Kiedyś dawno temu dwie wielkie kry lodowe tarły o siebie w tym miejscu, a zestrzyny wpadały do morza. Gdy to zamarzło, pozostał chropowaty pas lodu. Wyglądał jak bardzo szorstki papier ścierny w milionowym powiększeniu i było oczywiste, że skutery nie dadzą rady przejechać, gdyż dziesiątki razy nabijałyby się na najeżone szpikulce lodowe.

Była jedna tylko rada. Cała nasza szóstka musiała przenieść je jeden po drugim przez kolczaste pole. Szło to chwiejnie nie z powodu ciężaru pojazdów, lecz z braku dobrego oparcia na lodzie. W każdej chwili czterech chwiało się i łapało równowagę, podczas gdy dwóch musiało wytrzymywać nagle wypuszczenia i skoki ciężaru. Mniej więcej na dwóch trzecich drogi nogi nagle wyjechały spode mnie i z trzaskiem klapnąłem na lód. Starając się uniknąć upadku instynktownie przytrzymałem się skutera, a ponieważ w tej samej chwili pośliznęli się też inni, patrzyłem teraz, jak maszyna zwiesza się nade mną z Ericsonem tylko na rogu i Szarym Dymem z tyłu, którzy starali się utrzymać ciężar. Słyszałem, jak stękają z wysiłku, wycężając siły do ostatka. Rozpaczliwie usiłowałem zerwać się na nogi i podtrzymać

ciężar, zanim zwali się na mnie. Musiała to być scena jak z niemego filmu, ja starający się poderwać, podczas gdy ręce i nogi rozjeżdżają się we wszystkich kierunkach, oraz spływający potem w lodowatym zimnie Ericson i Szary Dym, jak dwa filary podtrzymujące kolebiący się dach.

Na szczęście Yamamoto udało się wstać, a jego ogromna siła dała radę ciężarowi. Po chwili stali już do pomocy Chance i Meldrum. Na końcu ja odczołgałem się trochę w bok, aby móc wstać i dołączyć wreszcie do innych. Powoli ponieśliśmy śniegołaza dalej.

Jak tylko postawiliśmy maszynę po drugiej stronie groźnego lodu, Meldrum szybko do kabiny i nacisnął starter. Silnik z olśniewającym warkotem powrócił do życia i wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Przeniesienie maszyny przez lód wymagało za każdym razem wygaszenia silnika, z czym wiązało się niebezpieczeństwo, że nie zaskoczy już na nowo. Bombadiers, firma francusko-kanadyjska, produkująca te pojazdy śnieżne w Quebecu, montuje rozruszniki, które dobrze się sprawują na mrozie, ale nie ma na ziemi startera, któremu gotów byłbym powierzyć swoje życie, a o to właśnie tutaj chodziło.

Zostawiając skuter na chodzie, zawróciliśmy po następną maszynę.

Pół godziny później byliśmy znowu w drodze. Tym razem jechaliśmy ponad godzinę wolniej po nierównej powierzchni, która co pewien czas powodowała obrzydliwe podskoki i szarpnięcia. Jechaliśmy dwadzieścia, może dwadzieścia pięć mil na godzinę, ale nie odstawaliśmy od rozkładu dzięki szybkiemu początkowi o brzasku.

Koło szóstej skuter przede mną zwolnił. Skupiliśmy się wokół niego, a Chance wysiadł, przechodząc od jednego do drugiego. Otworzyłem wyczekująco drzwi i zadrżałem, gdy lodowaty wiatr wtargnął z wyciem, w jednej chwili niszcząc przyjemne ciepło kabiny.

— Lepiej coś zjedzmy! — zawołał Chance, przekrzykując dźwięk silnika.

Kiwnąłem głową, zamknąłem drzwiczki i sięgnąłem za siebie po hermetycznie zapakowane jedzenie. Ciągłe mieliśmy do przejechania około osiemdziesięciu mil i umiarkowanie szybka jazda powinna doprowadzić nas do podnóża skał mniej więcej o tej porze, o jakiej chcieliśmy się tam znaleźć. Siedziałem żując gulasz i popijając kakao. Na nic nie miałem apetytu, ale wmuszałem w siebie wiedząc, iż może

upłynąć wiele godzin, zanim znowu będzie okazja zjeść. Silnik terkotał przyjemnie, w kabinie było ciepło. Kiedy zamykałem oczy, mogłem sobie wyobrazić, że siedzę sobie gdzieś w aucie, ale gdy tylko je otwierałem, gdy tylko spoglądałem przez wachlarz wycinany przez wycieraczkę, złudzenie natychmiast pryskało. Bładosrebrzysty lód rozpościerał się przede mną, zlewając się w dali z ciemnym niebem. Była to także złowieszcza odmiana srebra kładzonego przez światło wążiutkiego księżycyca. Jedno z miejsc najbardziej niegościnnych i wrogich na ziemi, otoczenie nietolerujące człowieka, jeśli nie miał odpowiedniego ekwipunku. Skończyłem jeść i pudełko z powrotem odstawiłem na tył. Mogłem jechać dalej; rozejrzałem się po innych, spoglądając kolejno na każdy mały skuter, dygoczący na lodzie. Yamamoto wysiadł ze swojego i stał teraz nachylony nad Numerem Jeden, mówiąc coś Chance'owi. Zerknąłem znów na jego maszynę i dopiero teraz zauważyłem, że stanowiła ona wyjątek: wcale nie dygotała.

Otworzyłem drzwiczki i wysiadłem, podbiegając do śniegołaza. Z całą pewnością nie działał. Jak dawno to się stało, pomyślałem, jak dawno Yamamoto wysiadł i co spowodowało awarię? Podskoczyłem ku Numerowi Jeden i klepnąłem Yamamoto w plecy.

— Twój silnik nie pracuje! — krzyknąłem. Odwrócił się z niepokojem na twarzy.

— Stanął? — rozległ się głos Meldruma. Wystrzelił z kabiny jak strzała i pognał do nieruchomego skutera. Najpierw spróbował startera. Zrobił kilka obrotów „jagg-jagg-jagg”, ale silnik nie zaskoczył. W jednej chwili maska była podniesiona, a Meldrum ogłądał silnik, odgarniając przewody.

— Niech ktoś włączy starter! — Yamamoto wśliznął się na siedzenie i nacisnął guzik. Meldrum kiwnął głową, otworzył skrzynkę z narzędziami i wyciągnął płaski klucz. Jestem chirurgiem i moje ręce są doprawdy delikatne i szybkie, ale zręczność Meldruma była zdumiewająca. Miał grube, ciężkie rękawice, a pracował w nich ze zwinnością dziewczyn lutujących mikroobwody w telewizorach. Świeca została błyskawicznie wyjęta i wymieniona, zaciski przyłączone.

— Spróbuj teraz! — Jagg-jagg-jagg. Silnik zrobił kilka obrotów, a ja zobaczyłem oczyma duszy, jak nowa świeca także zostaje zalana. To jedyny kłopot z dwusuwami: mieszanka paliwowa może przykryć świecę. Ale wtedy silnik zaskoczył, zakaszłał raz czy dwa, a potem

rażnie zaterkotał. Meldrum jednak niczego nie pomijał. W robocie był śrubokręt, którym wyregulował gaźnik, zwiększając nieco liczbę obrotów. Podszedł do drzwiczek.

— Jak tam u ciebie z paliwem?

— Dwadzieścia dwa galony — odpowiedział Yamamoto.

— To w porządku. — Schował klucz i śrubokręt, zamknął z trzaskiem pokrywę i pospieszył do swego skutera. To musi być przyjemne z taką pewnością radzić sobie z gaźnikiem. W moim MG są dwa, a regulowanie ich pozostawiam wyłącznie specjalistom, płacąc za to dwadzieścia dolarów miesięcznie.

Ruszyliśmy spokojnie, bez żadnych kłopotów. Po chwili śnieg zaczął nawiewać, tym razem silniej niż poprzednio, układając się w kupki na bokach szyby, ale wycieraczka najwidoczniej dawała sobie z nim radę.

Przed nami wciąż nie było widać horyzontu; monotonna płaszczyzna lodu, biegnąca w dal, aż zlewała się z niebem, na którym jasno błyszcząły gwiazdy. W tym także nasza. Kiedy tam dotrzemy, może się okazać, żeśmy trochę zoczyli, miałem jednak nadzieję, że dość dobrze trzymaliśmy się kursu. Zastanawiałem się, jak to będzie wyglądać na miejscu. Wróciłem pamięcią do modelu sporządzonego w gmachu CIA na podstawie zdjęć zwiadu satelitarnego.

Dwie główne wyspy Nowej Ziemi są w istocie przedłużeniem wysokiego i poszarpanego Uralu Północnego. Ocean odciął je od kontynentalnej Syberii, ale stanowią część tej samej struktury geologicznej: górzyste, pokryte lodowcami, wychodzące ponad sześćsetmilowym łukiem w Morze Arktyczne, oddzielając Morze Barentsa od Morza Karskiego. Nowy budynek arktycznej stacji badawczej wznosił się wysoko na wrzynającym się w ocean przylądku wyspy północnej. My zbliżaliśmy się do niej pod kątem, a ostatnie mile bieć będą równoległe do linii brzegowej.

Zbliżając się coraz bardziej do wyspy trudno było nie myśleć o znajdujących się na niej Rosjanach: jakiego używali sprzętu i jak dokładnie strzeżona była Nowa Ziemia. W czasach prac nad bombą wodorową, kiedy wyspy stanowiły główny teren doświadczalny, gęsto tu było od personelu naukowego i wojskowego, jednak po podpisaniu traktatu zawieszającego próby wszystko się tu chyba zmieniło i wydawało się nieprawdopodobne, by bez potrzeby Rosjanie utrzymywali tu wielkie i niczemu nie służące instalacje.

Jednak teraz, gdy do przebycia mieliśmy mniej niż pięćdziesiąt mil, wkraczaliśmy w strefę potencjalnego wykrycia. Trudno było przypuścić, że wielki ciąg radarów wycelowany jest na pola lodowe, zresztą skutery były tak małe, iż mogły zostać niezauważone. Poważniejszym problemem były superczułe urządzenia sejsmologiczne, z pewnością potrafiące zarejestrować drgania lodu spowodowane przez jakikolwiek ruch po nim, tym bardziej że mając krystaliczną budowę, jest on doskonałym niemal przewodnikiem drgań. Z drugiej strony stały ruch, nieustanne pęknięcie, łamanie się i kruszenie lodu muszą powodować ciągłe drgania, swego rodzaju szum wibracyjny. Nie było bynajmniej tak, że wywoływany przez nas hałas i drgania rodziły się w ciszy; dodawały się one do istniejących już trzasków. W Waszyngtonie porównał to ktoś do bębna, co przemawiało do wyobraźni. Wyobraźcie sobie, powiedział, że macie wielki bęben, w który stale wali pół tuzina doboszy; nagle ktoś nowy delikatnie przeciąga po powierzchni miękką drucianą szczotką. Będzie oczywiście jakiś dźwięk, słyszalny dźwięk, ale czy inne go nie przytłoczą, a jeśli nawet nie, to czy zwróci ktoś na niego uwagę?

Teraz, kiedy zbliżyliśmy się do sowieckiego terytorium, mającego zbrojną i zadziorną drużynę, nikt nie będzie się już wdawał w rozważania, kim też możemy być; nie było żadnej możliwości, byśmy znaleźli się tu legalnie. Nikt nie miał tu legalnych spraw do załatwienia; z wyjątkiem może sporadycznych, z rzadka się przemieszczających ekip, które badały dryf pól lodowych. Cokolwiek by nas wychwyciło, radar, sejsmograf, jakiegokolwiek inne urządzenie, zostalibyśmy doprowadzeni na miejsce, gdzie zgotowano „by nam gorące powitanie. Jedyne, co nam pozostawało, to odważna jazda przed siebie. I modlitwa, której nie omieszkałem odmówić.

Nie wiem, co czuli inni, ale dobrze wiem, jak to było ze mną. Księżyc wspiął się na niebie i widoczność w mętym połysku lodu wynosiła może trzy mile. Moje oczy stale przenosiły się z tyłu jadącego przede mną Numeru Jeden na granicę widzialności; miejsce, gdzie lód zlewał się z niebem. Miejsce to stale przed nami ustępowało, co niebawem miało się skończyć; już wkrótce tafla lodu przegrodzi się łądem ostro wystającym nad powierzchnię, a kiedy tak się stanie, po kształcie skał będziemy musieli ustalić swoje położenie, odnaleźć budynek stacji i — zaatakować.

Nowa Ziemia wyłoniła się z arktycznej nocy o godzinie 20.36.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Było to uczucie trudne do opisanego, ale na zawsze zapamiętam jego dziwną jasność. Skutery zatrzymały się w małym kręgu, silniki pracowały. Jak tylko szary maszynowy ląd stał się widoczny, Numer Jeden zawrócił drogą, którą przybyliśmy, i jechał przez jakieś pół mili, aż ląd za nami zniknął. Staliśmy pośród surowej nocy, słuchając Chance'a, ale od czasu do czasu odwracaliśmy się mimowiednie rzucając spojrzenie w głąb lodowej tafli. Wiatr wiał z prędkością około dwudziestu węzłów, ale na krótko śnieg przestał padać.

— Jak na razie mieliśmy szczęście — mówił Chance. — Rozpoznałem zarys skały. Znajdujemy się około trzech mil na północ od zamierzonego miejsca i nie jesteśmy spóźnieni. Oto co teraz zrobimy...

Wsiedliśmy znowu do skuterów i szerokim łukiem pojechaliśmy na południe, powoli, z częstymi postojami, starając się w ogóle zachowywać jak rodzina białych niedźwiedzi, które wyprawiły się na fokę. Potrwało jeszcze godzinę, zanim osiągnęliśmy miejsce, z którego widać było cypel. Budynku stacji nie można jeszcze było rozpoznać.

Meldrum obszedł skutery, zakładając specjalne tłumiki na dysze rur wydechowych. Obniżyły one sprawność silnika o jakieś sześćdziesiąt procent i po ich założeniu skuter nie mógł jechać szybciej niż dziesięć mil na godzinę. Był jednak wtedy tak cichy jak rolls-royce, a na dodatek nie było żadnego zegarka, którego tykanie — jak powiadają — jest jedynym dźwiękiem w rollsie. Nie zabrało mu to wiele czasu; gdy skończył, wśliznął się znowu na przednie siedzenie Numeru Jeden.

Nigdy nie zapomnę naszego zbliżania się do Nowej Ziemi. Mała

kolumna pełzająca cicho do przodu, ciemna bryła wyspy groźnie wyrastająca z lodowej płaszczyzny, szczyty jej skał coraz wyżej wbijające się w nocne niebo. Nasz ruch, ruch wiatru, nic więcej. Kiedy zbliżyliśmy się, wyraźniejsze stały się szczegóły, zaczęliśmy rozpoznawać ściany skalne stromo wyrastające z lodu.

Potem zamajaczył mi nasz cel; białość betonu odmienna od białości śniegu, w który był wtulony; przycupnięty, kwadratowy, dwupiętrowy budynek, ze szczytu skały mroczną ścianą zwrócony ku zamrzniętemu oceanowi. Nieustannie czekałem, że zaraz się coś zacznie; rozbłyszczą światła, mrok przeszyją myszkujące promienie reflektorów. Serce mi waliło i pomyślałem, że wykryją to sejsmografy nawet w Tokio, a co dopiero mówić o tych, które były odległe o pół mili. Podkradaliśmy się powoli, czując się zupełnie odsłonięci, jak małe białe myszki, chyłkiem pełzające ku wielkiemu, przycupniętemu kocurowi, który w każdej chwili może poderwać się do ataku.

Teraz rozpoznawałem już powierzchnię skały; nie była lita, jej ciemną szarość porzyły czarne linie i pęknięcia. Błady budynek ciągle górował nad skałą. Kiedy podeszliśmy jeszcze bliżej, dostrzegłem cienie okiennic złowróżbne jak osłony dział na okrętach zagłowych. Wyobraziłem sobie, jak budząc grozę unoszą się przed sunącymi naprzód gardzielami armat, ale nie drgnęły, martwo zamknięte.

Jeszcze ćwierć mili do przejścia, potem trzysta, dwieście jardów. Gdyby ktokolwiek patrzył w tę stronę, musiałby nas zobaczyć: drobne ślizgające się skorupy, z małymi obłoczkami spalin rozplywającymi się nad ostatnim skrawkiem nieocienionego lodu. Zdałem sobie sprawę, że moje dłonie tak mocno ściskają ręczki kierownicy, iż zaczynają mnie boleć mięśnie i stawy, zmusiłem się więc do rozluźnienia uchwytu. W tym momencie, gdy spoglądało się na nieubłagane skały, przychodziły na myśl niewolnicze obozy w Workucie, na sowieckim lądzie nie opodal Nowej Ziemi, gdzie miliony ludzi odpokutowując urojoną działalność kontrrewolucyjną zostało zabitych przez pracę i przez mróz. To był świat Stalina; nieosłabione wpływem lat okrucieństwo owionęło mnie i zadrzałem.

Budynek był teraz wysoko nad nami; zaczęliśmy tracić go z oczu, podchodząc pod skałę i ustawiając wreszcie skutery w rzadek o kilka jardów od niej. Podczas krótkiego arktycznego lata straszliwe sztormy musiały miotać swe fale na te skały, ale teraz mróz ujął wodę

w stalowy uścisk i gładka jak ślizgawka podchodziła do samych stóp granitowego muru. Byliśmy pod nim niemal niewidoczni.

Zbliżała się dziesiąta wieczór. Czas ataku.

Sprawdziliśmy sprzęt. Pamiętam, jak wyłuskując niezgrabne filcowe buty z ich foczej powłoki patrzyłem na nie nagle niespokojny, czy naprawdę nadają się do czekającej nas wspinaczki. Potem z nerwowym uśmiechem odegnałem tę myśl od siebie.

Yamamoto stał już u podnóża skały, spoglądając w górę na twarde kamień, z żyłami połyskującego lodu w każdym pęknięciu i skorupami zmrożonego śniegu na każdej półce. Kiedy ruszyłem ku Yamamoto, o udo objął mi się długi zwój liny, a biodra opasywała pętla. Idący za mną Chance miał na plecach tobogan złożony w małą, bezkształtną paczkę z aluminium i płótna. Szary Dym i Ericson także mieli liny; przez plecy każdego z nas przewieszony był karabin, u pasa zwisał pistolet.

Za nami Meldrum chodził od jednego skutera do drugiego; tylko on zostawał z zadaniem utrzymania silników na chodzie, tak by mieć zapewniony jedyny środek ucieczki. Za chwilę już zniknie w mroku, skazany tylko na czekanie. Nie zazdrościłem mu.

Satsumi Yamamoto wpiął starannie linę do karabińczyka przy pasie wspinaczkowym i spojrzał na Chance'a, który skinął głową. W kilka chwil Yamamoto był w zacięciu skalnym pięć, sześć stóp wyżej i rozglądał się za dalszą drogą. Zdjęcia lotnicze sugerowały, że wspinaczka nie będzie trudna, jednak skała wznosiła się bardziej stromo, niż przypuszczał. Kiedy się wspiął, nie widać było trudności, ale tak wyraźna potrzeba zastanowienia nie była dla nas pocieszająca. Patrzyłem na niego ze zdenerwowaniem i podziwem, wiedząc, że wkrótce sam będę musiał wspinać się po tej ścianie, niewspierany przez talent i doświadczenie, wiedząc, że wkrótce zostanie poddany próbie każdy gram mej siły i poczucie równowagi.

Poczułem kłębnięcie w plecy i podesunąłem się do zwisającej liny; gdy ciasno zaciągałem pętlę na biodrach, niezdarne palce ześlizgiwały się z węzłów. Yamamoto był w załomie czterdzieści stóp nad nami, stopy miał zaparte, by wytrzymać szarpnięcie i w razie konieczności podciągnąć mnie do siebie.

Kolejność na linie była podyktowana umiejętnościami każdego z nas; pierwszy Yamamoto, ekspert, na którym spoczywał cały ciężar,



za nim podążał niedoświadczony wspinacz, znający technikę aseku-racji, lecz nowicjusz, który także musi znaleźć się na szczycie. Za mną szedł Ericson potrafiący się dobrze wspinać, choć z pewnością nie tak jak Japończyk. Dalej Chance, niezupełny nowicjusz, ale bez doświadczenia, a na końcu Szary Dym, człowiek Arktyki, który wszystko robił dobrze.

Spojrzałem na Yamamoto i poczułem pociągnięcie liny w pasie, gdy ten ściągał ją, przerzucając pętlę przez ramię. Moje stopy poże-gnały się z lodem. Poszukałem dłońmi pierwszego chwytu, sprawdzając zarazem palcami stóp każdy stopień, zanim powierzę mu swój ciężar. Powoli wznosiłem się w górę, starając się zgodnie z instrukcją nie używać kolan i łokci, lecz odchylony od skały wspinać się przy użyciu dłoni i stóp. Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Pragnienie jak największego wtulenia się w skałę, uczepienia się jej wszystkim, czym można, włącznie z zębami, jest przemożne i czym wyżej, tym silniejsze. Zawsze jednak w zachwycającą pewnością lina była sztyw-na i czułem poprzez nią pomocną obecność Yamamoto. Nie ciągnął mnie w górę, ale lina była napięta, gdybym jej potrzebował i zawiódł mnie mój zmysł równowagi. Pełzłem ostrożnie wzwyż, zawsze skon-centrowany na najbliższym jardzie, na najbliższym uchwycie i oparciu dla stóp. Gdy znalazłem się na mocnej półce, szerokiej na stopę, chciałem chwilę odsapnąć, ale dwa lekkie szarpnięcia liną przypo-mniały mi, że nie było czasu do stracenia. Wspinałem się dalej, ka-mienna ściana o stopę od mej twarzy, aż dziesięć stóp poniżej Yama-moto znalazłem się znowu w bezpiecznym, szerokim zagłębieniu ko-mina. Spojrzawszy w dół zobaczyłem, że Ericson podąża już w moim kierunku, przerzuciłem więc pętlę liny przez ramię i zapałem się mocno w jamie, gotów na przyjęcie szarpnięcia. Czekałem, by tamten znalazł się na półce pode mną, wtedy przyszło kolejne szarpnięcie, ponaglające do dalszej wspinaczki. Ericson miał już stanowisko, opar-ty o skałę, Chance zaś powoli drapał się ku niemu. Na samym dole widać było ciemną twarz Szarego Dymu, ciągle czekającego na roz-poczęcie wchodzenia. Na lodzie Iain Meldrum rozpoczął już swoją wartę przy silnikach, przechodząc od jednego skutera do drugiego.

Znowu obróciłem się do skały, wyglądając w górze Yamamoto, i serce podskoczyło mi z rozpaczy, gdy go nie dostrzegłem. Szarpnięcie

jednak i rzut oka na biegnącą w górę linę upewniły mnie, że tylko zniknął z widoku, ukryty w załomach skalnych. Skupiłem się ponownie na skale, czując jak lód wyslizguje się spod palców szperających za chwytami i za każdym razem rozpaczliwie się upewniając przed wykonaniem następnego ruchu, że przynajmniej jedna ręka i stopa mają trwałe oparcie.

Czułem, jakby to było sto pięćdziesiąt mil, a nie sto pięćdziesiąt stóp; wysiłek i napięcie odkładające się w stawach rąk, mięśniach łydek, gdy tak piałem się do góry z naprężoną liną przed sobą.

Yamamoto cicho szedł w górę, Ericson zbliżał się do mnie, Chance był gdzieś niewidoczny, z Szarym Dymem podchodzącym do niego, kiedy to nastąpiło. Nie wiem jak, ale coś musiało się wysunąć spod stopy Chance'a, w każdym razie zobaczyłem go lecącego, na pozór bardzo powoli, z rozłożonymi rękami i nogami. Widziałem, jak napięła się lina między nim a Ericsonem i natychmiast wiedziałem, że już za chwilę Ericson zostanie wyrwany ze skały i że ja sam nie utrzymam ich połączonego ciężaru. Spadając pociągną mnie za sobą, potem szarpnięcie przeniesie się na Yamamoto, który także poleci. Stałem na kamieniu zaklinowanym w kominie i zrobiłem jedyną rzecz, którą mogłem zrobić: zeskoczyłem z jego drugiej strony, modląc się, by było dość luźnej liny i Yamamoto nade mną nie został oderwany od skały.

Kiedy się osuwałem, nagle napięcie cienkiej nylonowej linki obciążonej na drugim końcu ciężarem trzech mężczyzn niemal przecięło mnie na pół. Spadłem kilka stóp; nie wiem ile, ale potem przyszło następne straszliwe szarpnięcie w pasie. Zobaczyłem lecącą na mnie kamienną skałę i poczułem okropne uderzenie w głowę...

Yamamoto musiał nieprawdopodobnie szybko zejść w dół. Pamiętam niejasne uczucie unoszenia, rozluźnienia pasa i wreszcie ustępującego strasznego ucisku na piersi. Głowa była wielką kulą bólu; z jękiem objąłem ją rękami, podczas gdy Yamamoto trzymał linę, a trójka poniżej nas szukała nowych podpórek pod palce i stopy.

Kiedy ból odrobinę zelżał i potrafiłem już otworzyć oczy, zobaczyłem Yamamoto zapartego o skałę i podciągającego ich w górę; pętla liny była owinięta wokół kamienia, z którego zeskoczyłem. Podpełzłem do krawędzi i zajrzałem w bladą twarz Ericsona dwadzieścia stóp pode mną. Chance wczepiony był w skałę poniżej, Szary Dym znajdował się na bezpiecznej półce. Głowa bolała mnie okropnie, reszta

ciała jak przepuszczona przez maszynkę do mięsa, ale wszystko poza tym — na ile mogłem zobaczyć — było w porządku.

— Szybko — syknął ponaglająco Yamamoto — musimy się spieszyć. Idę — machnął ręką w górę i znów pomknął po skale, a ja zmusiłem swe potłuczone ramiona, by podjęły ciężar liny; Ericson ruszył ku mnie. W kilka minut później w ustalonym na początku szyku wspinaliśmy się w górę. Zastanawiałem się, czy którykolwiek z nas krzyknął przerażony upadkiem, co byłoby zupełnie naturalne. Czy wrzasnąłem skacząc? Staralem się sobie przypomnieć, ale nie mogłem. Wszystko rozegrało się po prostu zbyt szybko, a uderzenie w głowę, po którym straciłem przytomność, połknęło wspomnienia wszystkich zmysłów o tym, co działo się dokoła. Było to jednak ważne. Spojrzałem na wspinającego się Yamamoto, w każdej chwili oczekując, że ściany zaleją od góry światła. Jeśli ktokolwiek był tam na zewnątrz, musiałby coś usłyszeć.

Nadstawiłem uszu, ale nic nie było słychać oprócz świstu wiatru, który z każdym jardem w górę wydawał się zimniejszy. Kiedy na mnie przyszła pora zatrzymać się z liną w rękę, zerknąłem w dół, tam gdzie Meldrum pełnił swą lodową wartę pośród poukrywanych skuterów, chodząc bez końca tam i z powrotem i sprawdzając życiodajne silniki. Potem znowu piąłem się w górę; zimno stopniowo przenikało przez ubrania, ręce nawet w rękawicach grabiały od dotknięcia zlodowaciałej skały. Kiedy spoglądałem w górę, krawędź skały przybliżała się ze straszliwą powolnością, postanowiłem więc nie patrzeć tam, myśląc wyłącznie o następnej rysie, następnej wąziutkiej półeczce.

Wydawało się, że ciągnie się to godzinami, na przemian wspinaczka, przerwa na wspinaczkę innych, potem znów podchodzenie. Prawda, jak myślę, była taka, że jeśli nie liczyć tego rozpaczliwego ześlizgnięcia, weszliśmy szybko i sprawnie, uwzględniając nasze wspinaczkowe doświadczenia. Nagle zdumiony patrzyłem na buty Yamamoto, na jego uda, a następnie zostałem podciągnięty i stanąłem obok niego na półce kilka stóp poniżej krawędzi. Pomogliśmy reszcie i stanęliśmy razem.

Teraz Yamamoto znowu posuwał się w górę, tym razem po kilka cali, wznosząc się w ciszy do chwili, gdy jego głowa znalazła się tuż poniżej krawędzi. Zamarł na dłuższy moment, a potem ostrożnie się

wychylił. Patrzyłem na jego głowę obracającą się to w lewo, to w prawo, podczas gdy jego oczy starały się przeniknąć mrok.

Słyszałem wokół siebie sapanie innych, widziałem parę ich oddechów rozwiewaną przez wiatr, gdy tak staliśmy wpatrzeni w sylwetkę Yamamoto ciemniejącą na tle nieba.

Spojrzał w dół i gestem ręki przywołał nas do siebie. Teraz Chance był w przedzie, potrzeba było żołnierskiego oka. Ciężki, lecz silny wspinał się, aż stanął koło Yamamoto i także mógł wyjrzeć ponad krawędź. Potem poszedł Ericson, szczupły i lekki, a pomiędzy nim i Szarym Dymem także ja wylądowałem na półeczce.

Ostrożnie wysunąłem głowę i wyjrzałem.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Budynek stał o jakieś dziesięć jardów od krawędzi, wczepiony mocno w skałę. Okiennice były zamknięte. Pomyślałem, że poza krótkim latem nieczęsto je otwierano. Tak czy inaczej, były tylko ciemnymi plamami w długim na czterdzieści jardów betonowym murze. Tył budynku przywierał do dużego uskoku skalnego, który dalej przechodził w stromy stok górski. Na najbliższym nas rogu budynku ciemna przekątna sugerowała schody prowadzące na wysoki parter. Wydawało się, że jest to najbardziej niegościnne, najbardziej opuszczone miejsce na świecie.

Pozostaliśmy tak chyba przez minutę, uczeplieni skały, ciężko dyszący, wpatrując się w widok przed nami, nasłuchując, w napięciu starając się wychwycić jakiegokolwiek poruszenie, cokolwiek, co mogłoby być zapowiedzią wart. Ale arktyczną ciszę zakłócał tylko wiatr, który tutaj, wysoko nad powierzchnią lodu, wydawał się jeszcze silniejszy.

Dźwięk z prawej zmusił mnie do obrócenia obolałej głowy. To Chance przeturlał się przez krawędź, zalegając na płask w śniegu. Szybko poszliśmy w jego ślady, padając jeden obok drugiego; serca łomotały, a dłonie wyciągały z kabur automatyczne pistolety.

Po długiej chwili Chance zaczął pełznąć na brzuchu w kierunku ściany, pozostawiając za sobą rynnę w śniegu. Patrzyliśmy w napięciu, zastanawiając się, co też może być pod spodem, czy czasem Rosjanie w swej obsesyjnej potrzebie zabezpieczeń nie ustawili drucianych potrzasków ani nie zagrzebali min. Jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmiało, jednak — co sobie nagle uświadomiłem — byliśmy naprawdę w Rosji, w świecie zatem, którego nikt z nas nie znał.

Chance dotarł do ściany, zastygł na chwilę, a potem pod jej osłoną poczołgał się do rogu. Wyrzwał ostrożnie i pomachał do nas, my zaś popęzliśmy szybko za nim, zbijając się w grupkę przycupniętą pod betonową ścianą budynku. Chance odwrócił głowę i szepnął cicho:

— Na wzgórkę jest antena radiowa.

Szary Dym kiwnął głową, przesunął się obok nas i wtulony w śnieg skręcił za róg. Czekaliśmy chwilę, podczas gdy Chance śledził go wzrokiem. Wydawało się prawdopodobne, że radio stanowiło jedyne połączenie z tym zapomnianym przez Boga miejscem, choć równie prawdopodobne było, że łączność utrzymywana jest przez cały czas. Przecięcie jej stanowiło ryzyko, ale dużo groźniejsze było pozostawienie jej nie tkniętej.

Minęło pięć minut, podczas których wydawało się, że mróz wżera się w kości, usztynia mięśnie, paraliżuje w zastygłych, skurczonych pozycjach. A potem Szary Dym był znowu pośród nas, zupełnie jakby nagle powietrze przybrało jego postać. Był nieprawdopodobny; nie ma go, a w następnej chwili już jest, dzięki zdumiewającej lekkości ruchów nieuchwytny dla wzroku i słuchu.

— Przewód przecięty — powiedział. — Nie ma śladu innych instalacji radiowych czy radarowych.

Chance mruknął.

— Może być inna antena na dachu budynku.

— I tak nie odnajdziemy przewodu pod śniegiem — wyszeptał Szary Dym.

— Co tam jest za rogiem?

— Prawie nic — odpowiedział Szary Dym. — Na górze schodów są drzwi, chyba drewniane. Schody są metalowe. Za budynkiem nic szczególnego, kupa śmieci i coś jak zatoczka do parkowania. Nic w niej nie stoi i żadnych śladów.

— Pewnie nic w niej nie stało od czasu, jak wybudowano stację — powiedział cicho Chance. — Jesteś pewien, że nie ma innego wejścia?

Szary Dym pokręcił głową.

— Za mało widziałem.

Chance kiwnął, że rozumie. Wiedziałem, o czym myślał, bo wszyscy myśleliśmy o tym samym: jedyna droga prowadziła przez drzwi u szczytu stalowych schodów. Jak dotąd dopisywało nam szczęście;

dotarliśmy aż tutaj nie odkryci, bez strat, jeśli nie liczyć jednego skutera. Ale teraz — teraz każdy dźwięk na schodach usłyszą wewnątrz. A jeśli ktokolwiek posłyszycie nas, to za drzwiami możemy stanąć na wprost ludzi uzbrojonych, zaalarmowanych i przygotowanych na najgorsze. Treningi i sprzęt doprowadziły nas tak daleko, jak potrafiły. Od tej chwili nasza piątka była zdana na własne siły.

Chyłkiem przemknęliśmy za róg budynku, stopy niemal bezdźwięczne w twardym śniegu. Przyjrzelśmy się schodom. Szesnaście stopni bez podpórek, wszystkie powleczone lodem, diablo zdradliwe. Okrągła metalowa poręcz po stronie przeciwnej do ściany. Na szczycie wąska kwadratowa platforma, na której mogły się zmieścić może trzy osoby, jeśli drzwi nie otwierały się na zewnątrz. A chyba się otwierały.

Chance zaczął się skradać, w lewej ręce pistolet gotowy do strzału. Położył dłoń na poręczy, potem delikatnie oparł się na pierwszym stopniu i podciągnął w górę. Ericson pospieszył za nim. Reszta ubezpieczała ich ze swymi karabinkami, modląc się, by nie trzeba było ich użyć. Powoli, ostrożnie Chance wspinał się po oblodzonych schodkach na platformę i zaczął badać drzwi. W sekundę czy dwie dołączył do niego czujny Ericson i obydwaj zdjawszy rękawice obmacywali framugę. Potem Ericson przychylił się na chwilę; dostrzegłem jego ruch, który mógł być tylko wzruszeniem ramion. Zamienili szeptem kilka słów, po czym Ericson zaczął powoli opuszczać się ze schodów. Na dole kiwnął na nas.

— Na zewnątrz nie ma klamki — powiedział bezgłośnie — a drzwi tak się otwierają, że na platformie zostawiają miejsce tylko dla jednej osoby. Zrobimy tak. Yamamoto, ty wejdiesz na poręcz i na jej końcu przyciśniesz się do ściany. Pułkownik Chance będzie na schodach, także wtulony w ścianę. Ty — wskazał na Szary Dym — staniesz na schodach za nim.

— A ja? — wyszeptalem.

— Za Szarym Dymem. — W porządku, nie miałem pretensji, nie znalazłem się tutaj z racji swej bitności.

— Ja — ciągnął Ericson — stanę na platformie i zapukam do drzwi, a potem odwrócę się tak, że jak otworzą drzwi, zobaczą tylko mój kaptur. Ale w rękach będę miał automat, kiedy więc okręcę się... — nie dokończył zdania.

Szybko zajęliśmy pozycje, w obezwładniającym zimnie spragnieni

jakiegokolwiek ruchu. Staliśmy powstrzymując oddech, a Yamamoto zarzucił nogę na poręcz i stanął na niej balansując w powietrzu, jedna ręka i noga bez oparcia, wyciągnięta w mrok za platformą.

Ericson zerknął na Chance'a. Moment zastanowienia, potem skiniecie głową. Ericson zrobił krok i zapukał do drzwi, pięć mocnych, oddzielonych przerwami uderzeń. Wiedziałem dlaczego; żadne zaślakane zwierzę nie zapuka tak do drzwi. Lewa ręka, we wszystkich rękawicach, spoczywała na poręczy. Na prawej miał tylko jedwabną wierzchnią rękawiczkę; w księżycowej poświacie metal automatu połyskiwał matowo.

Przez kilka sekund nic się nie działo, wobec czego Ericson nachylił się znowu ku drzwiom; wtedy usłyszeliśmy wewnątrz głos, pytający, ale bez zdenerwowania. Ktoś czekał na odpowiedź. Ericson spojrzał na Chance'a, a potem odkrzyknął coś niezrozumiale. Usłyszałem trzask odmykanej zasuwki, potem przekręcenie klucza i znowu jakieś słowa. Spoglądając w górę, za przytulonymi do ściany Chance'em i Szarym Dymem, zobaczyłem ciemny prostokąt otwierających się drzwi, a pod nimi i nad nimi snop światła padającego w mrok.

Ericson stał nieporuszony, plecy zgarbione, jakby wpatrzony w ciemność. Głos znowu wymruczał pytanie, a jego właściciel postąpił krok do przodu. Pod drzwiami zobaczyłem buty schodzące na podest i rękę sięgającą, by klepnąć Ericsona w ramię. Rozległ się dźwięk mogący oznaczać tylko cios wymierzony przez Yamamoto i odwrócenie się Ericsona, by podtrzymać padającego mężczyznę.

Kiedy drzwi otwarły się na oścież, Yamamoto i Ericson stali na platformie, pomiędzy nimi ogłuszony Rosjanin, ze zdumieniem wpatrujący się w prostokąt światła. Żadnych strzałów, żadnych innych dźwięków. Chance szybko doskoczył do nich, a potem zniknął w drzwiach z Yamamoto i Ericsonem następującymi mu na pięty. W jednej chwili Szary Dym i ja dołączyliśmy do reszty. Byliśmy w małym pokoju, który wyglądał tak, jak muszą wyglądać wartownie na całym świecie. Gładki stół, na nim telefon, obok dwa drewniane krzesła z prostymi oparciami, podłoga z desek. Gaśnice na ścianach. Tablica informacyjna, a obok niej druga, na której wisiła kilka pęków kluczy. Poza drzwiami, przez które weszliśmy, było jeszcze dwoje innych. Wydawało się, że jedno, w ścianie za stołem, prowadzi do schowka lub ubikacji. Wyjrzałem na zewnątrz, ale w betonowej ścianie



nie było żadnego otworu; ani okna, ani wywietrznika. Nie znam rosyjskich rozwiązań sanitarnych, ale tylko głupiec budowałby ubikację bez odpowiedniej wentylacji. Zmieniłem zdanie; za drzwiami były prawdopodobnie schody.

Przymknąłem drzwi, lekko szcękając zamkiem, na wypadek gdyby ktoś nasłuchiwał. Ericson był w niezwykle dobrym nastroju i zupełnie opanowany; zagwizdał kilka taktów „Kalinki”, potem lekko przesunął krzesłem po podłodze. Chance uśmiechnął się, z aprobatą skinął głową, a potem podszedł do drzwi, zdejmując wierzchnie rękawice, które zawisły na lince przerzuconej przez szyję. Poluzował kaptur kurtki, odrzucił go i przyłożył ucho do drzwi. Podszedłem szybko do drugich i zrobiłem to samo. Nic nie usłyszałem i potrząsałem głową. Chance przywołał mnie gestem i wszyscy przyłgnęliśmy do ścian po obu stronach drzwi. Chance chwycił ostrożnie za gałkę i zaczął cicho ją przekręcać. Zobaczyłem obrót nadgarstka, a potem lekko szarpnięcie, gdy usiłował je otworzyć. Drzwi nie poddały się; musiały być zamknięte od drugiej strony. Pociągnął dla pewności mocniej, ale nie ustąpiły.

Zabrzmiał cichy jęk; wszystkie głowy odwróciły się jak na komendę. Rosjanin ogłuszony przez Yamamoto wracał do przytomności, oparty o przeciwległą ścianę. Chance stanął nad nim z automatem gotowym do strzału. To była pierwsza rzecz, jaką zobaczyły otwierające się oczy Rosjanina, szerokie teraz z przerażenia. Chance położył palec na ustach, a potem kiwnął ponaglająco lufą, wskazując najpierw na drzwi, a potem na gablotę z kluczami. Rosjanin pokręcił najpierw głową, ale szybko przytaknął, kiedy lufa podjechała mu pod oczy. Yamamoto podszedł do tablicy i kolejno wskazywał na pęki kluczy, a Rosjanin kręcił głową, aż zaczął gwałtownie potwierdzać, gdy ręka Japończyka dotarła do właściwego.

Szary Dym błyskawicznie go związał i zakneblował futrzaną czapą zdjętą z wieszaka na ścianie. Kiedy skończył, Chance delikatnie włożył klucz w zamek i do uszu naszych dobiegł lekki zgrzyt. Klucz obracał się powoli, aż w końcu dał się słyszeć szcęk odskakującej zapadki. Ostry, głośny szcęk, który zabrzmiał w moich uszach jak piorun.

Chance uchylił drzwi, odrobinę na początek, potem więcej i wyjrzał. Po chwili rozwarł je na oścież i wyszedł, a my w ślad za nim wkroczyliśmy na korytarz, który ciągnął się przez całą długość budynku.

Matowe lampy u sufitu, poza tym żadnych świateł. Drzwi po każdej stronie były drewniane do wysokości pasa; wyżej miały mleczne szkło; we wszystkich pokojach było ciemno. Naciskaliśmy kolejno klamki, wszystkie drzwi były zamknięte. Pomieszczenia wyglądały podobnie: znajdowały się tu pewnie biura, warsztaty lub laboratoria. Zawróciliśmy i jeden za drugim poszliśmy cicho korytarzem do wartowni, a przez nią do następnych drzwi. Otworzyły się łatwo, gdy tylko Chance pociągnął za klamkę, a prowadziły, jak przypuszczałem, na betonowe schody oświetlone jedną z tych matowych lamp. Słychać gdzieś było pracujący silnik dieslowski; to on pewnie dostarczał mocy.

Chance przeszedł przez próg z automatem gotowym do strzału i zaczął na palcach schodzić w dół przesadzając naraz po dwa, trzy stopnie, potem zamachał do nas. W połowie schody skręcały, a u ich stóp widać było drzwi. Buty filcowe są może niezgrabne, ale cal filcu z gumową podściółką czyni je zupełnie bezgłośnymi, tak że nie czyniliśmy żadnego hałasu, jeśli nie liczyć lekkiego szelestu kurtek. Pragnąłem, by drzwi nie były zamknięte, byśmy nie musieli wracać do wartowni i dopytywać się Rosjanina o klucze. Wydawało się, że bez końca czekamy w napięciu, gdy Chance nasłuchiwał u drzwi. Jeśli wartownik na górze nie był jedynym lokatorem, to za drzwiami spotkamy następnych Rosjan i akcja się zacznie z nami w roli głównej.

Ręka Chance'a powędrowała do gałki i zaczęła ją obracać powoli o dziewięćdziesiąt stopni. Kiedy nie dawała się już przekręcić, pociągnął ją lekko, uchylił nieco, przytknął oko do szpary, a potem popatrzył po nas i skinął głową. To był sygnał.

Kopnął gwałtownie drzwi i wpadł do środka, Ericson tuż za nim. Za drzwiami odskoczyli na boki, a między nimi znalazł się Yamamoto; lufy trzech automatów trzymały w szachu cały pokój.

Przerwaliśmy seans filmowy. Na lewej ścianie pokoju był ekran, naprzeciw stał projektor. Pomiędzy nimi siedzieli lub leżeli na łóżkach mężczyźni, i zdumiewające, jak wolno zareagowali. Nie wiem, może to hipnotyczny wpływ filmu. Jedna czy dwie głowy obróciły się natychmiast, usta rozdziawione ze zdumienia, ale reszta potrzebowała czasu nawet na to, by się zdziwić. Wszystko było łatwe jak łuskanie grochu. Wcisnąłem się do środka, pomacałem za wyłącznikiem, znalazłem i zrobiło się jasno.

Język wymierzonych karabinów jest doprawdy międzynarodowy, a kiedy do ludzi tych dotarł w końcu fakt, że intruzi z automatami mierzą w nich, pomrukując skupili się zaskoczeni w miejscu wskazywanym przez lufy. Ericson i Yamamoto pilnowali ich, podczas gdy Chance podsunął się w przeciwną stronę, by dołączyć do reszty grupy także operatora. Poza trzaskiem otwieranych drzwi nie było żadnego dźwięku głośniejszego od normalnej konwersacji.

Terkot projektora uciął, wraz z nim zamarł głos ze ścieżki dźwiękowej. Rozejrzeliśmy się starannie po dużej sali. Najwyraźniej służyła jako jadalnia, sypialnia i bawialnia. Wzdłuż ścian niskie regały i małe szafki z szufladami; na wieszakach wierzchnie okrycia. Ciężkie powietrze pomieszczeń, w których zbyt wiele osób przebywa zbyt długo; zapach potu, stęchlizny, ciężkiego ciepła i dymu papierosowego.

Chance, Szary Dym i ja przeszliśmy szybko do drzwi na przeciwnej ścianie, otwierając je szybko i stanowczo. Kształt i rozkład budynku podpowiadały nam, że może tam być najwyżej jeden pokój lub dwa małe. Dalej budynek przywierał do skalnego uskoku na zewnątrz. Kwadratowe pomieszczenie, dziesięć na dziesięć, niewiele mebli. Komódka z szufladami, szafa, stół z kilkoma krzesłami, umywalka i wąskie metalowe łóżko. Śpiący na nim mężczyzna był obrócony twarzą do ściany, ale widać było siwe włosy.

Podszedłem do niego i trąciłem go w ramię. Nie zareagował. Mocniejsze szturchnięcie także nie przyniosło efektów. Wolną ręką ująłem go za bark i pociągnąłem, odwracając na plecy.

Bez wątpienia był to Froł Iljicz Komarow.

— Obudź go szybko — rzucił Chance. Pochylając się nad starcem, usłyszałem, jak woła do Yamamoto i Ericsona w drugim pokoju: — Chcę, żeby się rozebrali, a ubranie rzucili na stos pośrodku pokoju. Uśmiechnąłem się do siebie, rozbawiony sytuacją, zastanawiając się, jak tamci dwaj przetłumaczą to na rosyjski.

Bez widocznego efektu potrząsnąłem Komarowem za ramię, spróbowałem raz jeszcze, mocniej. Puls był w porządku. Musiał wziąć jakieś środki nasenne, co łatwo było zrozumieć przy filmie hałasującym za ścianą. Odłożyłem automat i uniosłem powiekę oka. Nie ulegało wątpliwości, że jest pod wpływem środków odurzających.

— Co się dzieje? — zapytał Chance.

— Myślę, że wziął tabletki nasenne — odrzekłem.

— Możesz go obudzić?

— Nie mogę bez użycia środków, które mam przy sobie. Ale myślę, że to nie jest dobry pomysł.

— Mamy go wziąć tak jak jest?

Odwróciłem się i zaczynałem odpowiadać: „Dlaczego nie?”, ale słowa zamarły mi w gardle.

Kobieta uśmiechała się do mnie ponuro. W ręku miała rewolwer, a był on wymierzony w moją pierś.

— Nie ruszać się. Niech nikt się nie rusza — odezwała się.

Chance i Szary Dym zaczęli się odwracać w jej kierunku z automatami gotowymi do strzału. Jeden lub drugi z pewnością by ją trafił. Ale nie mogli zobaczyć tego, co widziałem ja. Rewolwer nie był wycelowany w Chance'a ani w Indianina. Nie mierzył także we mnie, gdyż teraz się przesunął.

Skierowany był na Komarowa i nie drżał bynajmniej w jej dłoni.

— Nie! — wrzasnąłem — nie strzelajcie!

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Podnieceni odnalezieniem Komarowa nie zauważyliśmy drugich drzwi, tych, którymi weszła. Kiedy stała w przejściu, mogłem zobaczyć za nią łóżko, ale nie było tam miejsca na coś więcej.

Dobrą angielszczyzną powiedziała:

— Odsunąć się pod ściany.

Rewolwer ciągle mierzył w głowę śpiącego Komarowa. Nie wiem, co bardziej mnie zdumiało: szybkość, z jaką straciliśmy przewagę, czy pojawienie się w takim miejscu niebieskookiej blondynki. Nie tylko była wysoka i wysportowana, ale też urodziwa.

— Połóżcie broń na ziemi. — Głos spokojny i zimny, niebieskie oczy uważnie nas śledzące. Kątem oka zobaczyłem, że Chance i Szary Dym posłusznie się schylają. Z miejsca, gdzie stała, kontrolowała wszystko, mając w swym zasięgu Komarowa, nas i drzwi za nami prowadzące do głównej sali. Nikt się nie odezwał, bo niewiele było do powiedzenia. Ale podobnie jak ja, obaj musieli myśleć o Ericsonie i Yamamoto w sąsiednim pokoju. Musiała wiedzieć, że jest ktoś jeszcze, bo słyszała okrzyk Chance'a, ale nie mogła wiedzieć, ile osób.

— Mówisz po angielsku? — odezwał się Chance.

Jej oczy błysnęły w jego kierunku.

— Cisza! — Rewolwerem, który odchylił się w ślad za oczami, zrobiła gest nakazujący, byśmy przesunęli się w prawo, do drzwi, którymi weszła. Chciała nas zagnać do malutkiej klitki, a gdybyśmy się tam znaleźli, byłoby po nas. Należało coś zrobić, ale nie bardzo było

wiadomo co, poza jednoczesnym skokiem na nią. W ataku zginie jeden z nas, może dwóch. Ktoś z nas musi jakoś przyciągnąć uwagę Yamamoto lub Ericsona. Ale jak? Chance wszedł w otwarte drzwi prowadzące do sypialni z rękami wysoko w górze, podobnie Szary Dym. Z sąsiedniej sali dochodziły stłumione szurania; przypuszczalnie znajdujący się tam Rosjanie zgodnie z rozkazem rozbierali się. Przesuwałem się ku drzwiom rozważając, czy zdołałbym skoczyć i wpaść do tamtego pomieszczenia, ale nie było żadnej szansy. Lufa rewolweru podążała za mną, czujne oczy prawie cały czas mnie obserwowały, co chwila zerkając tylko na pozostałą dwójkę. Wkrótce będziemy pod kluczem, wtedy ona przejdzie, przygwoździ tamtych i będzie to koniec naszej małej wyprawy.

Koniecznien trzeba było pozostać w pokoju Komarowa i jakoś poinformować resztę o naszej wpadce.

— Jest bardzo chory — powiedziałem głośno.

Patrzyła na mnie posępnie, w milczeniu, kiwając tylko lufą rewolweru.

— Zobacz sama — powiedziałem podnosząc głos najbardziej, jak mogłem. — Jest cały spocony. Wiesz, co to znaczy?

Jej oczy pomknęły szybko do śpiącego Komarowa, potem wróciły do mnie. Kiwnęła brodą.

— Nie twarz, idiotko. Jego włosy i ubranie są mokre od potu. To hipoglikemia! — Zadbałem o troskę w głosie, co przyszło mi bez trudu.

Na pół obróciła się w jego kierunku.

— Co za kretyn dał mi za dużo insuliny?! — wrzasnąłem. — To ty? On zaraz wpadnie w konwulsje.

Nie wiedziała, czy ma mi wierzyć. Chciała przyjrzeć mu się dokładniej, nie tracąc przy tym kontroli nad sytuacją. Cofnęła się ostrożnie nie spuszczając nas z oczu i lewą ręką pomacała z tyłu. Miała trudności, gdyż wezglowie było w rogu pokoju.

— Dotknijże go, kobieto! — ryknąłem.

Rewolwer nieugięcie mierzył we mnie, gdy szukała jego twarzy. Kiedy wymaca jego suche włosy, jesteśmy załatwieni.

Kątem oka dostrzegłem poruszenie w sąsiednim pokoju; w polu mego widzenia znalazł się Ericson. Nie spoglądając w jego kierunku wlepiłem oczy w kobietę i w jej rewolwer.

— Jak dawno daliście mu zastrzyk? — nastawałem, robiąc pół kroku do przodu.

Wysunęła rewolwer ostrzegawczo w moją stronę i w tej samej chwili wyleciał jej z dłoni, a ona kurczowo zacisnęła palce. W zamkniętej przestrzeni strzał zahuczał bardzo głośno, a kula odbiła się rykoszetem od betonowych ścian; wszyscy padli na podłogę. Usłyszałem jęk bólu.

W drzwiach widać było surową twarz Ericsona, repetującego karabin; z lufy unosił się obłoczek dymu. Schylił się i podniósł z ziemi broń.

— Dzięki, Harald — odezwał się Chance. Nie wstawał, przynajmniej na razie. Klęczał ściskając prawe udo.

— Co się stało? — spytałem.

— Dostałem w udo.

— Pokaż, zobaczę. Skrzywił się.

— Nie przy damach.

— Weź ją tam — powiedziałem.

Wycofała się do drzwi, ciągle trzymając się za rękę. Kula jej nie trafiła, wyrwała tylko czyściutko rewolwer z ręki, niemniej uderzenie musiało niezłe ją trzepnąć po palcach. Zniknęli razem z Ericsonem. Rana nie wyglądała źle. Kula Norwega musiała już wytracić większość swego pędu, gdy uderzyła, ale przeszła przez ubranie Chance'a i utkwiała w ciele, bardzo powyginana. Wydobyłem ją, otworzyłem swoją torbę i przemyłem ranę. Silnie krwawiła. Posypałem gazę sproszkowaną penicyliną i przykryłem nią dziurę w udzie, a następnie silnie owinąłem nogę bandażem.

— Będzie cię trochę bolało, ale to nic śmiertelnego — powiedziałem.

— Dzięki, doktoru.

— Jak ból stanie się zbyt silny, dam ci morfinę.

— Nie teraz. Ericson!

Harald powrócił z dziewczyną prowadząc ją przed sobą i razem weszliśmy do sąsiedniej sali. Piętnastu Rosjan stało pod samym ekranem, Yamamoto daleko od nich w takiej pozycji, by jego karabin trzymał w szachu cały pokój.

Chance ściągnął z pleców pakunek z toboganem.

— Ubierzcie go i przymocujcie do tego — powiedział.

Razem z Szarym Dymem poszliśmy do sypialni i naściągaliśmy stamtąd koców. Komarow był w jedwabnej piżamie, a kiedy zdejmowaliśmy ją z niego, zobaczyłem metkę „Macy's” i zapragnąłem być tam znowu i przebierać w męskiej galanterii. Ubieranie nieprzytomnego człowieka jest sztuką, którą posiadam dawno temu. W szafie było sporo arktycznej odzieży, w którą szybko ubraliśmy go, dopinając guziki i paski toboganu. Musiał wziąć potężną dawkę fenobarbitalu albo czegoś podobnego, gdyż nic do niego nie docierało. Nie pozwoliłbym na to żadnemu z pacjentów — diabetyków: zbyt wielkie było ryzyko, że ze snu przejdzie w stan komy.

Kiedy Komarow był już bezpiecznie przytwierdzony do toboganu, leżąc jak zielona płócienna paczka na podłodze, wróciłem do sali, gdzie dziewczyna wyklócała się z Chance'em.

— ...i ja jadę — właśnie kończyła.

— Co się dzieje? — zapytałem. Chance zerknął na mnie.

— Mówi, że jest pielęgniarką. Nie może zostawić pacjenta. Cały ten cyrk.

Odwróciła się do mnie.

— Jestem asystentką profesora. Ze względu na jego stan przeszłam szkolenie pielęgniarskie, ale pracuję też razem z nim. Jeśli go zabieracie, to ja także muszę jechać. Mam jego lekarstwa, insulinę.

— Wywozimy go z Rosji — powiedziałem.

— Wiem. Wysłaliśmy wiadomość. Ale nie wierzyłam, by ktoś chciał mu pomóc.

— To po cholere rewolwer? — spytał Chance.

W oczach ogniki gniewu.

— A skąd miałam wiedzieć, kim jesteście? Mogliście być z KGB. Skądkolwiek. Jak mogłam nie próbować bronić go?

— A gdybyśmy byli z KGB? — zagadnąłem. — Co wtedy?

— Tak go zabierać, pod lufami? Zabiłabym was. A najpierw jego, zanim pozwoliłabym go zabrać do obozu pracy. — W jej głosie była wielka zawziętość. — Nie pozwoliłabym, żeby mu to zrobili.

— Niemożliwe — wtrącił się Chance. — Nie możemy cię zabrać.

— Proszę. — Jej oczy zaśniły. — Proszę, weźcie mnie ze sobą.



To jest takie ważne. Profesor Komarow potrzebuje mnie. Pomagam mu od dawna.

Niejasno przypomniałem sobie, co mówił Catto o przywiązanej do Komarowa asystentce. Przypuszczał, że to ona mogła wysłać wiadomość.

— Jak informacja się wydostała? — spytałem.

— Ja ją nadałam — wyjaśniła. — Zabrali nas do Moskwy na jakieś konferencje. Śledzili go, ale mnie się udało wymknąć. Nie wiedzieliśmy, czy dojdzie do was. — Napięcie w jej głosie złagodniało i uśmiechnęła się. — Och, tak się cieszę, że przyjechaliście po niego.

Decyzję podjął Chance.

— Chce pani jechać z nami? Do Ameryki?

— Och, tak. Tak! — Wskazała ręką na drzwi, za którymi Komarow był przytroczony do toboganu jak kapłon. — To wspaniały człowiek. Za nic nie chciałabym go opuścić.

— Może pani zginąć — odezwałem się. — My wszyscy możemy zginąć. To niebezpieczna podróż i może nam się nie powieść.

W jej oczach były łzy.

— Nic nie rozumiecie. To szczęście pracować z takim człowiekiem. To ważniejsze od narodowości, od polityki.

— Ogłoszą panią zdrajczynią. Co się stanie z pani rodziną? Spojrzałem na zegarek. Była jedenasta trzydzieści.

— Nie mam rodziny — odrzekła.

— Ma pani chociaż arktyczny ubiór? — spytał Chance.

— Tak — odpowiedziała z zapalem. — W moim pokoju.

— Ericson pójdzie z panią — rzekł Chance.

— Dziękuję! Dziękuję! — wydawała się przepelniona szczęściem. Myślę, że kobiety od tak dawna szły za swoimi mężczyznami na krańce świata, że stało się to ich drugą naturą, ale nie mogę sobie wyobrazić osoby, za którą poszedłbym za Żelazną Kurtynę. Nawet gdyby dawali mi oddział chirurgiczny na Kremlu z de Bakeyem i Shumwayem jako asystentami.

Ericson wyszedł z nią jak czujny i rozważny cień. Chłodny facet, to tyle. I twardy.

— Yamamoto, szczyt schodów — rzucił krótko Chance. — Kryj nas, jak będziemy podchodzili.

Japończyk ruszył ku schodom z karabinem gotowym do strzału, za nim Szary Dym.

— OK?! — zawołał za nim Chance.

— OK.

Odwrócił się do Rosjan.

— Pozbierajcie ubrania — powiedział.

Gapili się na niego.

— Ktoś z was musi rozumieć. — Wskazał karabinem na stos odzieży. — Pozbierajcie to.

Ciągle nikt się nie ruszał. Wyszedł na środek, Szary Dym krył go od tyłu, chwycił jakieś ubranie i cisnął nim w najbliższego stojącego, wskazując pozostałym na resztę ubrania. Teraz zrozumieli; ustawivszy ich w szereg, kazaliśmy wejść po schodach. W wartowni Chance powiedział:

— Niech całe to ubranie, do ostatniego kawałka, zrzucą ze skały.

Znowu musieli zejść na dół, pozbierać resztę i przynieść na górę; słuchali, zastraszeni i trochę zażenowani, jak zawsze czuje się nagus.

Parę minut później całe ubranie i obuwie było na zewnątrz, a Yamamoto ściągał je na brzeg skały i zrzucał w dół. Stłoczyliśmy Rosjan w pokoiku dziewczyny, stłukliśmy żarówkę i zamknęliśmy ich w środku. Ericson został na dole z lufą wymierzoną w drzwi, kiedy Szary Dym i ja wynosiliśmy tobogan po schodach, potem ostrożnie w dół żelaznych stopni i na skraj skały. Dziewczyna nie odstępowała nas na krok; ręka niepuszczająca toboganu starała się łagodzić przechyły i wstrząsy.

Yamamoto wykrzywił się do mnie.

— Daleko się tu nie zajdzie bez spodni.

— O nie — odrzekłem. — To powinno ich trochę ostudzić.

Przymocowaliśmy dwie liny do stalowego stopnia schodków i na jednej z nich zaczęliśmy spuszczać tobogan, podczas gdy Yamamoto zjeżdżał obok niego na drugiej, pomagając ominąć występy skalne. Pod nami Iain Meldrum przechadzał się tam i z powrotem od jednego skutera do drugiego.

Opuszczanie Komarowa na dół trwało może dziesięć minut i odbyło się bez zakłóceń. Kiedy Yamamoto był już na lodzie, zawołał Meldruma, żeby mu pomógł.

Szary Dym poszedł po Ericsona, który zjawił się szybko, rad, że nie musi już warować przy pokoiku, w którym piętnastu nieprzyjanych ludzi wściekało się w ciemności. Kiedy spojrziałem w dół, Meldrum ciągnął tobogan w kierunku skuterów, a Yamamoto zwinnie wspinał się po linie.

— Masz insulinę? — zwróciłem się do dziewczyny.

Pokazała małą płócienną torbę, a jej oczy w futrzanym kapturze były rozpromienione. To dobrze, że mieliśmy to, czego używał na co dzień; nic nie wiedziałem o farmaceutyce sowieckiej, a w tym stadium zdecydowanie lepiej było nie robić żadnych zmian.

Zbliżył się Chance.

— Wspina się pani?

Potrząsnęła głową, a on kiwnął do Meldruma, by przysłał z powrotem tobogan. Tak będzie szybciej niż próbować spuszczać ją na linie.

Pół godziny później byliśmy u podnóża skały, Komarow bezpiecznie przymocowany do siedzenia, ciągle w głębokim śnie. Wszędzie dokoła nas na lodzie i pozaczepiane na skałach były ubrania Rosjan. Zamarzliby na śmierć, zanimby się do nich dostali. W tym jednym przypadku wdzięczny byłem za przenikliwy wiatr i trzaskający arktyczny mróz. Prawdopodobnie wydostanie się z pokoiku na dole nie zabierze im wiele czasu, ale jeśli nie było jakiegoś jeszcze nadajnika radiowego poza dwoma, które starannie rozbił Ericson, trochę to potrwa, zanim przekażą jakiś sygnał.

Meldrum znakomicie opiekował się skuterami. Dwa razy podczas jego samotnej warty silniki siadały; dwusuwów nie należy trzymać na jałowym biegu dłużej niż godzinę. Za każdym razem szybko udało mu się je uruchomić. Cała ich piątka była więc gotowa do drogi.

Ruszyliśmy w kilka minut, zmieniawszy trochę porządek. Znowu Meldrum jechał sam w prowadzącym skuterze, dalej Chance wiozący Komarowa umocowanego z tyłu, za nim Yamamoto, tak że profesor miał podwójną ochronę. Na końcu obok siebie jechaliśmy ja z dziewczyną z tyłu pojazdu i Szary Dym w towarzystwie Ericsona.

Dwie kierunkowe anteny zostały zamontowane na maszynach Meldruma i Chance'a. Było to dość ryzykowne, gdyby bowiem coś przydarzyło się skuterowi na czele, zostalibyśmy tylko z jednym odbiornikiem, a wtedy nie mielibyśmy odwagi trzymać go na przedzie.

Nie było jednak innego sposobu. Ten, który prowadził, potrzebował radia, ważne też było, by miał je Chance, reszta zaś musiała jechać z tyłu pilotowana.

Jadąc za Yamamoto, siedziałem w ciepłej kabiny i przepełniało mnie uniesienie. Jeszcze nie byliśmy bezpieczni, ale trudno mi było uwierzyć, że udało nam się tyle osiągnąć przy tak niewielu kłopotach. Nawet głowa przestała już mnie boleć po uderzeniu, jakie otrzymałem podczas skalnej wspinaczki. Wolno sunęliśmy kilka pierwszych mil. Siedząca za mną dziewczyna pogrążona była w milczeniu, o co nie miałem żalu. Są chwile pogawędki z dziewczynami i chwile, gdy trzeba się skoncentrować na innych rzeczach. To była ta druga.

Robiliśmy jakieś osiem mil na godzinę; ciężkie tłumiki dławily silniki. Nie zdejmujemy ich — zarządził Chance — zanim nie oddalimy się na dziesięć mil. Podobnie jak wszyscy, chciałem już być jak najdalej; wolna jazda była irytująca. Łód, po którym jechaliśmy, był chropowaty i trochę martwiłem się o śpiącego Komarowa, który podskakiwał na tyle skutera Chance'a. Przymocowany był tylko pasami do siedzenia, co groziło obijaniem się głowy o ściany kabiny. Niewiele jednak można było na to poradzić; małego pojazdu nie projektowano z myślą o transporcie śpiącego.

Stale spoglądałem do tyłu, zarówno by mieć na oku dziewczynę, jak też by zobaczyć, czy coś się nie dzieje za nami. Dziewczyna siedziała spokojnie, lekko uśmiechnięta, a Nowa Ziemia znikła w mroku. Wcale nie było mi szkoda, gdy odwróciłem się i nareszcie zobaczyłem za sobą już tylko łód i ciemność.

Po godzinie z kwadransem ujrzałem, że dwa skutery jadące przede mną zwalniają i zatrzymują się. Ja także stanąłem, wysiadłem i zobaczyłem Meldruma nachylonego nad tyłem swego pojazdu. Wyprostował się z tłumikiem w dłoni i cisnął go na łód; potem podszedł do maszyny Chance'a, z którą zrobił to samo. Kiedy znalazł się przy nas, klepnął mnie po ramieniu.

— Dobra robota, co, doktoru? Uśmiechnąłem się do niego.

— Jak na razie idzie dobrze.

— Nie bądź czarnowidzem. — Opadł na kolana, sięgając pod skuter, by poluzować tłumik, a silnik nagle zawarczał trzy razy głośniej.

Wyprostował się. — Radośniejszy dźwięk, prawda, proszę pani?

Rozległ się dziewczęcy głos:

— Co tam się stało?

Obejrzałem się. Pochylona na siedzeniu wyglądała przez szybkę.

— Proszę zostać w środku — powiedziałem. — Zamarznie pani na śmierć.

Posłusznie odchyliła się do tyłu, a ja wsiadłem z powrotem i poci-  
snałem gaźnik, z przyjemnością wsłuchując się w dziarską żwawość  
silniczka rotaxa.

— Usuwał tłumiki — wyjaśniłem. — Bez nich będziemy mogli  
jechać szybciej.

— Rozumiem. — Przez krótką chwilę milczała, a potem powie-  
działa: — Nazywam się Natalia Tuchaczewska.

— A ja John Edwards — odrzekłem.

Meldrum przebiegł obok nas i wsiadł do Numeru Pierwszego. W  
chwilę później znowu jechaliśmy nabierając szybkości, a nie dławione  
silniki swobodnie wypluwały spaliny w czerni nocy. Wydawało się, że  
Meldrum nie ma żadnych wątpliwości, jak jechać; jego skuter spokoj-  
nie wjeżdżał w delikatnie rozsrebrzoną noc. Śnieg zaczął padać gę-  
ściej, co chwila układając się w przesłaniające widoczność wzory. Aż  
mnie korciło, by zapalić światło, ale nie miałem odwagi; nikt stamtąd  
nie mógł już nas dostrzec, ale gdyby był gdzieś w pobliżu samolot  
rosyjski, kolumna świateł natychmiast ściągnęłaby nam go na kark.

Spojrzałem na fosforyzującą tarczę zegarka. Była pierwsza dwa-  
dzieścia; zorza za około dziewięć godzin, potrzebowaliśmy więc prze-  
ciętej dwadzieścia mil na godzinę, co przy trzydziestu pozwalało na  
postoje. Wygodniej ulokowałem się na siedzeniu, połuzowałem pod  
szyją kurtkę i skupiłem się na jeździe.

Nawet jadąc na ślepo Meldrum utrzymywał dobre tempo. Zdolność  
do nieprawdopodobnej koncentracji przez długi czas, którą wyrobił na  
pętłach wyścigów motocyklowych, była dla nas wszystkich prawdzi-  
wym błogosławieństwem. Dwa skutery przede mną gładko sunęły w  
noc, od czasu do czasu zataczając łuk, gdy Meldrum dojrzał zarys  
jakiegoś ryzykownego wybrzuszenia.

Potem wjechaliśmy znowu w odcinek bardzo chropowatego lodu.  
Był podobny do tego, na który nadzialiśmy się jadąc w tamtą stronę,

tyle że węższy. Nauczyliśmy się już, że jedynym rozwiązaniem jest przeniesienie skuterów i z ociąganiem wysiadłem. Na początek poszła maszyna Meldruma, potem Chance'a z Komarowem na tylnym siedzeniu, ciągle w głębokim śnie. Nie było to łatwe i bardzo chciałem, żeby już się ocknął. Nawet jeśli przedawkował, lodowa przejażdżka powinna niebawem go rozbudzić. Zanotowałem w pamięci, żeby zapytać dziewczynę o środek, jaki bierze.

Potem zabraliśmy się za skuter Yamamoto i ruszyliśmy przez lód. Uszliśmy może z sześćdziesiąt jardów, kiedy rozległa się za nami eksplozja.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Spojrzeliliśmy na siebie w nagłym przypiływie strachu. Powolnym, rozdzielającym słowa szeptem, Chance zapytał:

— Co... to... do... cholery... było?

Zamarliśmy w oczekiwaniu; staliśmy w podmuchach wiatru, zmrożony śnieg, podobny do gradu, układał się w nietrwale hafty na ubraniach, pod które wciskał się kłuszący mróz. Ale panował spokój. Po minucie byliśmy już ze skuterem po drugiej stronie, posłuchaliśmy, jak Meldrum uruchamia silnik, i wróciliśmy przez pas ostrego lodu.

— Przykro mi, będzie pani musiała wysiąść — powiedziałem do Natalii, a potem pomyślałem, że może coś wiedzieć o eksplozji.

— Słyszała pani ten huk przed chwilą? Potrząsnęła głową.

— Nie, ale... — zawahała się. — Jakiego to była rodzaju eksplozja?

— Krótka i ostra — odrzekłem. — Trzaskający dźwięk. Kiwnęła głową.

— Czasami dzieje się tak z lodem. Kiedy pęka wielka krawiec, brzmi to jak ciąg wybuchów.

— Nie ciąg. To była jedna eksplozja.

— Może próba sejsmiczna — zastanowiła się. — Często dokonują wybuchów, aby zarejestrować drgania. Uchwycić ich układ, wzorek czasowy. To działka Wołowa.

— Wołowa?

— Ma okulary w stalowych oprawkach. Mógł go pan nie zauważyć.

— Mogło to być coś innego?

Oczy jej się rozszerzyły w zamyśleniu.

— Myślę, że nie. Albo lód, albo ładunek sejsmiczny.

Powtórzyłem Chance'owi naszą rozmowę, gdy przenosiliśmy skuter.

Myślę, że obaj poczuliśmy podobną ulgę.

Dosyć szybko daliśmy sobie radę z pozostałymi pojazdami, a Meldrum i tym razem nie miał kłopotów z ich uruchomieniem. Czas jednak nieubłaganie upływał i trzeba było się sprężyć. Nie byliśmy jeszcze opóźnieni, ale jadąc w ciemności, pozbawieni światła musieliśmy rozwijać maksymalną szybkość. Meldrum pociskał gaz, ciągnąc za sobą całą kolumnkę z prędkością, na jaką się mógł odważyć. Wyobrażałem go sobie w Numerze Jeden: odchylony jak zawsze, wzrok utkwiony nieruchomo w ciemności, odprężona pozycja maskująca wewnętrzne reakcje, kocia czujność, z jaką jego zmysły wyczuwały teraz przestrzeń przed sobą. Na wargach uśmiech nikły, ale jednak.

Znowu posuwaliśmy się w dobrym tempie, co najmniej trzydziestu pięciu mil, i znowu zacząłem się odprężyć. Niemal za bardzo. Moje oczy wpatrzone były w tył Yamamoto tak długo, że na pół mnie to uspiło, zupełnie jak przy chodzeniu w kółko. Kiedy jego skuter gwałtownie skręcił, przekoziółkował i leżał na boku, o mało na niego nie wpadłem. Rozpaczliwie przekręciłem kierownicę, z trudem go wymijając, a zahamowawszy wyskoczyłem i podbiegłem.

Japończyk był potłuczony, ale poza tym nie doznał szkód i pomogliśmy mu wstać. Uratowały go grube warstwy ubrania. Skuter nadawał się do skasowania. Jedna z prowadzących nart musiała uderzyć o jakiś występ w lodzie, odpadła i dostała się pod gaśnicę, która też niemal się rozleciała. Bez dobrego układu kierowania i z gaśnicą gotową rozpaść się po kilku milach skuter był do niczego.

Spojrzałem na niego z żalem.

— Trzeba go zostawić białym niedźwiedziom.

— Albo Rosjanom — powiedział Chance. — Słuchajcie, musimy się przegrupować. Yamamoto!

— Tak.

— Jak z tobą?

Wielki Japończyk odpowiedział uśmiechem.

— Parę zadrapań. Ale nie takie rzeczy już znosiłem. Wszystko w porządku.



Chance kiwnął głową.

— Pojedziesz z Meldrumem. I módlcie się, żebyśmy nie stracili następnego, bo ktoś pojedzie na nartach.

Wystawiłem twarz na wiatr. Był przeraźliwie zimny i zaraz odwróciłem się plecami. Jechaliśmy z wiatrem, a i tak zimno było dojmujące. Ten, który musiałby zostać narciarzem, przeżyłby ciężkie chwile.

— Jak z paliwem? — zapytałem. — Wszyscy mają dość?

— Tak czy siak — orzekł Chance — nalejemy do każdego po parę galonów. Może się okazać, że wszystko od tego zależy.

Rozlewanie nie potrwało dłużej niż pięć minut, z czego większość zabrało zgarnianie maszyn do kupy. Po cztery galony na każdą, to znaczyło niemal trzy godziny dodatkowej jazdy. Gdyby była potrzebna...

Ruszyliśmy dalej. Kolejna strata czasu i teraz tylko cztery pojazdy: minimum potrzebne, by wszystkich dostarczyć w ciepłe na miejsce schadzki. Trzeba było się ruszać: między nami a Nową Ziemią ciągle było mniej niż czterdzieści mil, a to zdecydowanie za mało. Spojrzałem na zegarek, zanim ruszyliśmy znowu; było wpół do czwartej. Sto pięćdziesiąt mil przed nami, może jedna, dwie więcej; siedem godzin jazdy: nie mogliśmy sobie pozwolić na dalsze kłopoty.

Byłem rad, że nie jestem Meldrumem. Wszystko teraz zależało od jego talentu; starałem się sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek wdzierający się jako pierwszy w kłęby śniegu, oczy wypatrujące nierówności w przodzie, on zaś wie, że nikt tego nie może zrobić za niego, że bez niego musielibyśmy zwolnić, że wymaga to przeto nieprawdopodobnej koncentracji uwagi utrzymywanej mimo upływu godzin. Co jakiś czas wzrok mój odruchowo zbacał z przedniej szyby na prawo, gdzie skuter Szarego Dymu i Ericsona jechał obok naszego.

Jechaliśmy przed siebie, a ja modliłem się, byśmy nie musieli już pokonywać żadnych przerębli ani wysokich grani. Przez następne dwie godziny natknęliśmy się na dwa małe wybrzuszenia, przed którymi trzeba się było zatrzymać, by przenieść skutery, ale dało się to zrobić bez wyłączania ich i nie zajęło nam więcej niż kilka minut. Znowu jednak straciliśmy trochę czasu, Meldrum więc na przedzie przyspieszał, coraz szybciej wdzierając się w gęstniejący śnieg.

Tuż przede mną radośnie pracował rotax. Tam gdzie trzeba odwalić dużo prostej, niewyszukanej pracy, wiele przemawia za dwusuwami. Żadnych pękniętych korbowodów, żadnych problemów z benzyną. Otwierasz gaźnik i odjeżdżasz.

Przez te dwie godziny przebyliśmy sześćdziesiąt mil, kierując się sygnałem radiowym. Mknęliśmy przez pole lodowe jak łyżwiarze; po niedługim czasie śnieg znowu zaczął rzednieć. Jechanie w nim w naszym tempie wcale nie stało się przez to mniej ryzykowne, ale tak to się odczuwało, co dodawało nam otuchy. Od samego początku nie czułem się tak rażno: do zorzy mieliśmy jeszcze pięć i pół godziny, a przed sobą jakieś sto mil do przejechania; byliśmy oddaleni o sto mil od Nowej Ziemi czy jakiegokolwiek innego rosyjskiego terytorium, w niewyraźnej poświacie księżycowej przemykając białymi skuterami po białym lodzie. Wszystkim, czego nam było potrzeba, była stała jazda we właściwym kierunku.

Ale życie nie lubi, by wszystko układało się tak pomyślnie. To właśnie wtedy, gdy zaczynasz stąpać pewnym krokiem, a głowa się prostuje, włączysz w gniazdo os.

Koło wpół do szóstej powiedziałem do Natalii:

— Z tyłu jest termos. Nalej sobie i mnie.

Zatrzymaliśmy się na filiżankę kawy, co było zupełnie eleganckim gestem, jeśli zważyć, że znajdowaliśmy się w środku arktycznych lodów, o sto mil od jakiegokolwiek zamieszkanego miejsca. Z przyjemnością popijałem łyk za łykiem, a kiedy skończyłem, wysiadłem i podszedłem do skutera Chance'a, by spojrzeć na pacjenta. Komarow ciągle spał głęboko, pomimo męczącej pozycji z tyłu pojazdu. Musiało mu być niewygodnie z nogami okraczającymi siedzenie i tułowiem w półsiedzącej pozycji. Pomyślałem, że choćby już sam ból mięśni pleców powinien się przebić przez narkotyczne oszołomienie. Tak czy inaczej, także i ten wpływ powinien rychło zacząć ustępować. Obejrzałem go na tyle, na ile mogłem, ale wyglądał całkiem normalnie. Nie pocił się, nie było oznak cukrzycowej komy, oddech równy, bez zapachu acetonu świadczącego o obecności narkotyku w insulynie. Kiedy wycofałem się z kabiny i wyprostowałem, dziewczyna stała obok zaniepokojona.

— Co z nim jest, doktorze?

— Czy zawsze śpi tak głęboko jak teraz? — zapytałem.

Zawahała się.

— Podejrzewam, że często bierze więcej tabletek, niż powinien.

— Dlaczego?

— Bo — uśmiechnęła się smutno — bo chce uciec. Wyrwać się im. Rozumie pan?

Pomyślałem o tym, jak przez miesiące był skazany na betonowy barak, z tymi samymi twarzami dzień po dniu. Koledzy, którzy byli zarazem klawiszami.

— Rozumiem.

— Muszę potrząsać nim bardzo mocno, by go zbudzić.

— A insulina?

— Podczas posiłków. Zwykle sam sobie robi zastrzyk w gabinecie. Profesor Komarow nie znosi swojej cukrzycy i nie chce, by ktokolwiek widział, jak to robi.

— O której?

— O której? Je o dziesiątej, a zastrzyk robi o wpół do jedenastej. Potem drugi, zanim położy się spać, koło dziesiątej wieczór.

Pokiwałem głową. Dość typowy układ, a także dobra wiadomość. Godzina nie odgrywa tak wielkiej roli przy insulinie w zastrzykach, a to, co powiedziała Natalia, znaczyło, że nie trzeba będzie podawać mu jej, kiedy jesteśmy na odkrytym lodzie.

Wgramoliliśmy się do skutera i zatrzęsnałem drzwi.

— Ile czasu upłynęło od ostatniego ustalenia diety?

— Dwa miesiące.

— W porządku — powiedziałem. I tak pomyślałem. O ile w ogóle można powiedzieć o cukrzyku, że jego stan nie jest niepokojący, można to z pewnością zrobić w przypadku pacjenta, któremu ustalano kurację dwa miesiące temu.

Przez szybką zobaczyłem, że Chance daje Meldrumowi znak, by jechał, i rusza za nim. Spojrzałem na Szary Dym i Ericsona, gotowych ruszyć razem ze mną, i nacisnąłem guzik. Posunęliśmy się o jard, potem rozległ się okropny metaliczny brzęk, chrupnięcie spod osłony i — staliśmy.

Cała radość odplynęła ode mnie. Jak tylko usłyszałem ten dźwięk, wiedziałem, że nastąpiła katastrofa. Miałem nadzieję, że nie, ale wiedziałem. Dwukrotnie ostrzegawczo zapaliłem światła, aby uprzedzić innych, i siedziałem czekając, aż zawrócą i podjadą. Meldrum z Chance'em wysiedli i podeszli do mnie.

— Co się stało, doktorku? — zmęczonym głosem zapytał Meldrum.

— Nie wiem, chyba coś w gaśienicach.

— Daj rękę. Przechylił go. — Wraz z Chance'em uwiesiliśmy się na skuterze, odrywając od lodu prawą gaśienicę, a Meldrum uklęknął i oglądał spód, przyświecając sobie latarką paluszkami. Nie mogłem zobaczyć, co robi, ale coraz silniej ciągnął i szarpał za coś, posapując z wysiłku. W końcu cofnął się i wstał.

— Ty cholerny głupcze! — powiedział. Twarz miał ponurą i złą. Gapiłem się na niego.

— Co się stało?

— Twój pieprzony czekan. To się stało.

— Mój czekan? — powtórzyłem ogłupiały. — Przecież jest tutaj. — Sięgnąłem do wieszaka w kabinie, z którego na metalowej pętli powinien zwisać czekan. Nie było co szukać.

Meldrum powiedział z wściekłością:

— Ugrzązł z tyłu w mechanizmie rolkowym. I nic go nie wyciągnie. Metal wszędzie pogięty dokoła.

— Jak to się mogło, u diabła, stać — powiedziałem.

— To ja ci, do diabła, powiem jak — syknął Meldrum. — Jak jakiś palant wysiadał, to strącił go z wieszaka. A potem kopnął go swoją cholerną nóżką. Wprost do mechanizmu rolkowego.

— Ale ja nie...

— Nie? — był bliski furii. — Pieprzona niefrasobliwość. Nigdy ci się nie dam operować. Tacy jak ty zostawiają kleszcze w środku! — Zaczął odchodzić, ale jeszcze zawrócił. — Mam nadzieję, że będzie ci się dobrze posuwało na pieprzonych nartach.

Zaczerwieniłem się ze wstydu, usiłując sobie przypomnieć, jak to się stało. Nie jestem niezgrabiaszem i choć łamałem sobie głowę, nie wiedziałem, jak mogłem coś takiego zrobić.

— Pojadę na nartach — zwróciłem się do Chance'a.

— Będzie musiało jechać dwóch — powiedział. Wydaje się, że lubił mnie tak mniej więcej jak Meldrum.

— Jeden to ja — zadeklarowałem. — Jestem dobry na nartach.

— Nie, ty jesteś zbyt cenny — w głosie Chance'a była cierpka ironia. — Nie możemy sobie pozwolić na stratę lekarza.

— Słuchaj — nastawałem. — Ja to zrobiłem i ja powinienem odpokutować.

— Tak, powinieneś — stwierdził z goryczą. — Ale nie zrobisz tego. Tyle że nie wolno ci zapominać o dwóch facetach, którzy jadąc teraz na nartach będą mieli znakomitą okazję zamarznąć na śmierć.

— Pozwól mi jechać. — To będzie nie do zniesienia: jazda w cieplej kabinie, podczas gdy dwaj inni będą przyczepieni z tyłu na linach w czterdziestostopniowym mrozie.

— Najlepszymi narciarzami są Yamamoto i Ericson. — Chance był nieubłagany. — Oni pojedą. — Zawrócił do Numeru Jeden, by zanieść Yamamoto złe wiadomości, ale wielki Japończyk musiał już zgadnąć, co się święci, i nachylony dopinał wiązania. Do śniegołazów przyczepiono nylonowe linki holownicze.

Jim Szary Dym poszedł na czoło, by dosiąść się do Meldruma, a ja wraz z dziewczyną zapakowaliśmy się do ostatniego wolnego.

— Ja biorę Ericsona — warknął Chance. — Ty bierzesz Yamamoto i jedziesz na samym końcu.

— To znaczy, nie na samym końcu — poprawiłem. — Przecież będziemy jechać obok siebie.

— Jedziemy jeden za drugim — rzucił Chance. — Czy to jasne, doktorze Edwards?

— Ale to, u licha, o wiele mniej bezpieczne dla ostatniego — powiedziałem.

Jego głos był spokojny, ale gdzieś tuż pod powierzchnią dygotał z gniewu.

— Nie chodzi mi o ludzi, panie doktorze. I tak jest nas za dużo. To na stratę skutera nie możemy już sobie pozwolić. Będzie więc tak: ja jadę śladem Meldruma, a ty za mną. Jak pies na tropie. Nie zjeżdżasz nawet na cał. Zrozumiano?

— Tak — powiedziałem żałośnie. Wpakowałem się do śniegołaza. Zza moich pleców odezwała się Natalia.

— To mogłam zrobić ja.

— Jak to?

— Jak wysiadaliśmy, pośliznęłam się, pamiętasz? Pamiętałem. Obcas pojechał po lodzie i upadła na ściankę skutera.

— Dotykałaś czekana? — Obróciłem się na siedzeniu, by na nią spojrzeć. W oczach miała łzy.

— Nie wiem. Wydaje mi się, że nie. Starłam się tylko czegoś złapać.

Och, tak mi przykro. Strasznie, strasznie przepraszam. To musiała być moja wina.

Patrzyłem na nią przypominając sobie tę scenę. Wsiadłem pierwszy i odsunąłem się, żeby zrobić jej miejsce. Wstając pośliznęła się, a ja się nachyliłem, by jej pomóc. W ogóle nie dotykała czekana. Ale ja! Byłem tuż obok niego! Poczułem rumieniec winy na twarzy. Czekan musiał zaczepić o taśmę, na której umocowane były moje wierzchnie rękawice, albo o coś takiego. I nie usłyszałem, jak spada w śnieg.

— Słuchaj, Natalio — powiedziałem. — Jakkolwiek to się, u licha, stało, w efekcie Yamamoto jedzie za nami na nartach. Musisz więc obrócić się i obserwować go przez tylną szybę. Przytknij do niej twarz i nie spuszczaaj go z oczu. Jak tylko coś się zdarzy, cokolwiek, chcę natychmiast o tym wiedzieć.

Pokiwała głową z przejęciem i odwróciła się na siedzeniu, tyłem do mnie.

— Jestem gotowa — powiedziała.

Przed sobą zobaczyłem podniesioną rękę Chance'a; Meldrum już ruszył. Lina naprężyła się i Ericson zaczął sunąć przed siebie, kolana przygięte, tułów odchylony, dłonie w rękawicach trzymające uchwyt holu. Ruszyłem powoli skuterem.

— W porządku?

— Tak — odpowiedziała. Rzuciłem okiem w tył i na końcu holu zobaczyłem biednego Yamamoto.

Przed nami Ericson jechał gładko za Chance'em, a ja trochę odstałem, chcąc zwiększyć dystans między śniegołazem a narciarzem do około dwudziestu jardów. Jego sytuacja i tak była niebezpieczna; nie warto było do tego dodawać obawy, że przewróciwszy się zostanie rozjechany. Meldrum podkreślił szybkość, ale teraz czterdzieści mil na godzinę było oczywiście wykluczone. W dobrych warunkach i na dobrym śniegu naprawdę wytrawny narciarz mógłby za dnia utrzymać przez chwilę taką prędkość, ale w żaden sposób nie można było tego wymagać od Ericsona i Yamamoto w rozpaczliwym zimnie i na lodowej powierzchni. Meldrum doszedł do dwudziestu pięciu, a potem starał się już tylko utrzymywać tę szybkość. Mniej więcej co minuta pytałem Natalię „W porządku?”, a ona odpowiadała „Tak”. Podczas gdy ona obserwowała Yamamoto, ja nie spuszczałem oczu z Ericsona, sunącego przede mną. Chance nie mógł go widzieć, a Komarow ciągle spoczywał nieprzytomny na tyle jego pojazdu. Ołowiem ciążyła mi

odpowiedzialność, która spadała na mnie w tej sytuacji. To z mojej winy tych dwóch było teraz na mrozie i to ja miałem obowiązek czuwać, by im się nic nie przytrafiło.

— OK, Natalia?

— Tak.

I znowu minuta.

— W porządku, Natalia?

— Tak.

Od czasu do czasu także sam patrzyłem wstecz na masywną postać Yamamoto podskakującą na końcu łączącej nas liny, a potem znowu odwracałem się do Ericsona i pilnowałem, by prowadzić skuter dokładnie po śladach nart Norwega. Stopniowo jednak coraz trudniej było mi się skoncentrować.

Także i mnie zaczynało opadać znużenie. Okrągło licząc byliśmy na nogach od jakichś dwudziestu ośmiu godzin. Sprawny i zdrowy organizm powinien łatwo sobie z tym poradzić. Ale napięcie i ciągłe wyężanie uwagi także pochłaniało energię.

— Natalia, w porządku?

— Tak.

Coraz trudniej było mi utrzymać oczy na jednym punkcie, coraz więcej wysiłku woli wymagało niespuszczanie ich z Ericsona, dopytywanie się Natalii o Yamamoto. Po godzinie miałem świadomość, że moje reakcje są spowolnione. Nagle zdałem sobie sprawę, że patrzę nie na Ericsona, lecz na samą szybę, a oczy jak zahipnotyzowane poddają się rytmowi wycieraczek.

Zmusiłem się do patrzenia na Norwega, a kiedy się upewniłem, że jest przede mną — na Yamamoto. Gdybyśmy nagle na coś wjechali, byłoby po nas. Napływały na mnie na przemian fale zimna i ciepła.

— OK, Natalia?

— Tak.

Dziwiłem się, jak Meldrum daje sobie radę tam na przedzie; czy jego zdumiewająca koncentracja i refleks były uodpornione na to straszliwe, obezwładniające zmęczenie, na to nieprzerwane gapienie się przez kawałek szyby na niezmienną scenerię przed nami, coraz bardziej przypominającą tunel. Tak mroźny tunel. Zorientowałem się, że drzwiczki są otwarte. Łokciem musiałem trącić kłamkę.

Poprzez mgłę zmęczenia nagle przebiła się myśl: benzedryna! Mam ją w swojej torbie. Sięgnąłem po przełącznik świateł i dwa razy zapaliłem lampę, widząc, jak oba skutery z przodu zwalniają i stają, Ericson dojeżdżając do pojazdu Chance'a.

— Natalia, po benzedrynie zaraz będzie lepiej — rzuciłem. Nie było odpowiedzi.

— Natalia! — podniosłem głos, a potem w panice odwróciłem się krzycząc: — Natalia!

Poruszyła się przez sen.

Odepchnąłem drzwi kabiny i wyskoczyłem na dmący, lodowaty wiatr, wyglądając Yamamoto. Lina wciąż przyczepiona była do tyłu skutera, zwisała jednak luźna. Chwyciłem ją i pobiegłem. Z lodu podskoczył uchwyt i znalazł się w mojej dłoni.

Po Yamamoto nie było nawet śladu.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nasze ślady widniały na lodzie coraz węższe, aż niknęły w mroku. Był gdzieś tam w tyle; musiał być. Zacząłem biec po śladach rozglądając się za nim, nawołując go poprzez przeraźliwy wiatr, który zrywał ze mnie kaptur. Przypuszczam, że miałem dość pomysłu, by zaciągnąć sznurki, ale nie pamiętam, bym to robił; pozostało niewyraźne wspomnienie miotania się po śladach to do tyłu, to do przodu, krzyków, poszukiwań...

Potem zbliżył się warkot, umilkł i silna ręka złapała mnie, osadzając na miejscu. Szarpałem się, usiłowałem wyrwać, aż nagle ból eksplodował na mej twarzy, w którą coś uderzyło.

Oczy zaczęły widzieć i zobaczyłem przed sobą Chance'a.

— Wsiadaj do śniegołazu.

— Yamamoto. On...

— Szary Dym zawrócił. Na nartach.

— Dziewczyna obserwowwała go — powiedziałem — ale musiała zasnąć.

— Pewnie tak jak ty — warknął Chance. Myślę, że miał ochotę mnie zabić.

— Przepraszam, o Boże, przepraszam. Nie wiem, jak to się stało. Nie, myślę, że nie spałem. Po prostu...

— Po prostu straciliśmy Yamamoto — syknął Chance. — Najpierw wypchnąłeś go na mróz, a potem go zabiłeś, ty sukinsynu. Jak tylko zobaczyłem, że zapalasz światło, od razu wiedziałem... Dobrze, cholera, wiedziałem!

Przepełniał mnie straszny wstyd i żal.

— To nie tak — wymruczałem. — Benzedryna. Mam trochę benzedryny.

Jego ręka opadła z niesmakiem, osuwając się z mojego ramienia.

— Idź już lepiej i zajrzyj do swojego pacjenta — powiedział z cichą pogardą.

Pokuśtykałem do swego skutera i wydobyłem torbę, przewracając ją w poszukiwaniu flakonika z benzedryna. Znalazłem dwie tabletki, połknąłem je i podszedłem do pojazdu Chance'a. Natalia nachylała się nad nieprzytomnym Komarowem. Spojrzałem na nią; trudno było robić jej wyrzuty. To moja i tylko moja wina.

— Co z nim?

Spojrzała na mnie, niebieskie oczy zasnutę troską.

— Ciągłe śpi.

— Ciągłe? Daj mi zobaczyć.

Zbadałem go najlepiej, jak mogłem. Równy puls, stan wydawał się zupełnie normalny. Ale przecież nie powinien być tak długo nieprzytomny. Benzedryna zaczynała skutkować; umysł mi się rozjaśniał. Było w tym coś dziwnego. Puls, temperatura, oddech — wszystko w normie, tak jak być powinno. Co więcej, wydawało się, że organizm Komarowa nie będzie jeszcze potrzebował pożywienia przez najbliższe dwie godziny ani insuliny przez jakieś trzy.

— Dobrze — powiedziałem. — Wracaj do skutera. Z nim wszystko w porządku.

Wyprostowała się i poszła ze mną, by wsiąść z powrotem do kabiny. Zamknąłem drzwi, zostawiając ją samą, i zawróciłem do boku Chance'a, spoglądającego nieruchomo w kierunku, w którym pojechał Szary Dym.

— Nie moglibyśmy wziąć śniegołaza, żeby się rozejrzeć? — zapytałem.

Obrócił się do mnie.

— To nie jest strona, z której wracają śniegołazy. A ludzkie oczy, zwłaszcza Szarego Dymu, więcej zobaczą w ten sposób.

— Ale światła!

— Nie będziemy robić iluminacji — skwitował. — Ani ryzykować pojazdów.

Minęło dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut, a my nie ruszaliśmy.

Teraz gdy benzedryna przeniknęła do krwi, w głowie zrobiło mi się nienaturalnie niemal jasno; czułem zabójczy chłód mrozu i wiatru przenikający na wskroś, wiedziałem, że drętwieją mi stopy i dłonie. Spojrzałem na Chance'a; zastygły jak głaz patrzył w kierunku, w którym podążył Szary Dym. Nie potrzebował sympatii, ale tak byłem wdzięczny, że to on dowodzi. Ponieważ nazywa się Chance, nie drgnie, aż będzie wiedział; był dowódcą, nie mógł sam wrócić.

Czekaliśmy więc i czekali. Aż wreszcie poruszenie daleko w srebrzystej szarości powiedziało nam, że coś się tam dzieje. Poruszenia nabrały zarysów, te stały się człowiekiem, sunącym ku nam narciarzem.

James Szary Dym szybko jechał w naszym kierunku.

Chance wyszedł mu na spotkanie.

— No i?

— Nie żyje. — Ciemna twarz Szarego Dymu była beznamiętna, ale oczy patrzyły twardo. — Musiał potknąć się. I upadł.

— Jesteś pewien? — zapytałem.

Oczy Szarego Dymu wpatrzyły się we mnie.

— Nie żyje. Zamarzł.

Przez plecy miał przewieszoną nartę, którą teraz zdjął.

— Patrzcie.

Spojrzałem. Chance także. Potem podnieśliśmy wzrok na siebie. Narta Yamamoto była od spodu głęboko nacięta, a brzegi rysy rozszczipione.

— Jak, na Boga? — zapytałem.

Szary Dym pokiwał głową.

— A kto to może wiedzieć? Pochowałem go w śniegu. — Przez chwilę milczał, po czym zmierzył mnie zimnym wzrokiem. — Tak, tak, to był prawdziwy mężczyzna.

— Jedźmy — z goryczą powiedział Chance.

Wróciłem do swego skutera, myśląc o ciele Yamamoto leżącym tam w lodach: człowiek, który umarł z powodu mojej beztroski, zbrodniczej beztroski. Ani Chance, ani Szary Dym nie powiedzieli mi słowa. Nie musieli. Pogarda biła od nich.

Kiedy wsiadłem, Natalia zapytała cicho:

— Co się stało?

— Nie żyje — mruknąłem, odwracając się ku niej. — Zabiłem go.

— Nie — powiedziała łagodnie. — To był wypadek. Byłeś zmęczony. Nie obwiniaj siebie.

Odburknąłem coś. To była moja wina. Wszyscy o tym wiedzieli, włącznie ze mną. Straszny, miazdzący ciężar winy.

W chwilę później śniegołazy znowu były w ruchu, a ja patrzyłem na Ericsona kołyszącego się na końcu liny holowniczej, zastanawiając się, jak musi się czuć. Godzina i dwadzieścia mil drogi wystarczyło, by zabić Yamamoto, najsilniejszego z nas, a ciągle jeszcze mieliśmy siedemdziesiąt mil przed sobą; siedemdziesiąt mil, podczas których to on mógł zamarznąć, mógł potknąć się, mógł umrzeć. Siedemdziesiąt mil, podczas których śniegołazy mogły się rozwalić. Jak dotąd straciliśmy trzy na niecałych trzystu milach; jeden w drodze dojazdowej, dwa na stu trzydziestu milach powrotnych. Mieliśmy coraz mniejsze szanse.

Spojrzałem na zegarek. Za dziesięć ósma. Za niemal trzy godziny pojawi się zorza, a my ciągle mieliśmy siedemdziesiąt mil do przejechania. Dawało to przeciętną dwudziestu pięciu mil na godzinę, bez żadnej rezerwy na wypadek, awarię czy postój. Nie miałem też już obecnie żadnej wątpliwości, że zaczęto nas szukać. Rosjanie pozostawieni przez nas na Nowej Ziemi musieli do tej pory znaleźć jakiś sposób na wysłanie sygnału, a nie był dla nas żadną pomocą fakt, że teoretycznie byliśmy na wodach, czy bardziej lodach, międzynarodowych. Jak tylko zrobi się jaśniej, będą nas szukać, i to bardzo zajadłe; a pod tą szerokością czas zorzy wydłuża się raptownie. Jeśli nie dotrzemy na miejsce w mroku, Rosjanie będą mieć prawie trzy godziny brzasku na znalezienie nas.

Od czego jednak zacząć? Zastanawiałem się, co się tam dzieje, jak sobie dali radę. Przez całą drogę padał śnieg; nigdy bardzo gęsty, ale wystarczający, by zakryć ślady pozostawiane przez nasze skutery. Gdyby były widoczne z powietrza, pomyślałem, samolot musiałby tylko trzymać się ich i dotarłby do nas jak po sznurku. Nawet najwolniejszy samolot byłby przy nas w pół godziny. A sygnał, stały, regularny sygnał, którym kierował się Meldrum, musi zostać przechwycony także przez sowieckich radiooperatorów. Najpierw go odnotują, potem trochę się zdziwią, potem namierzą położenie i zastanowią się. A potem zaczną działać...

Nie spuszczałem oczu z Ericsona; wysmukła, wąska, elegancka sylwetka dwadzieścia jardów przede mną, nieugięte uczepona liny, ciągnięta w mroźną i ciemną arktyczną noc. Wydawało się, że rośnie,

kiedy tak ciągle miałem go przed oczyma. Ale myślałem o Yamamoto; jak gdyby ta sama rolka filmu była puszczana w mojej głowie: samotny narciarz sunący przez noc, dla którego życie to dwadzieścia stóp liny i zawodna uwaga znużonych ludzi; potyka się, przewraca, lina wyszarpięta z dłoni, a on leży na lodzie i patrzy na oddalające się życie. Być może podniósł się i walczył dalej, z nartą, która nie ślizgała się już dobrze, gdyż coś wyrznęło głęboką rysę w jej spodzie.

Nagle poczułem, jak włosy jeżą mi się na karku. Ta rysa! Przypomniałem sobie Szary Dym z nartą w rękę, przypomniałem sobie wyłobienie w jej twardym drewnie.

Zmusiłem się do myślenia o czymś innym; o tym, co wydarzyło się od czasu, gdy opuściliśmy skałę: eksplozja, utrata skutera Yamamoto, zniszczenie, głupie, bezmyślne zniszczenie mojego pojazdu, ten czełkan, który jakoś spadł i znalazł się pod. spodem. Potem tragiczny upadek samego Yamamoto. Myślałem o tym wszystkim, gdy mała kolumna zaczął zwalniać. Zatrzymałem śniegołaz i wysiadłem, chcąc dołączyć do reszty. Wydawało się, że lód ciągnie się nieprzerwanie dalej, ale kiedy zbliżyłem się, zobaczyłem wyrwę. Następna płoń, długa i wąska, jak czterostopowy kanał poprowadzony w środku lodów.

Spojrzelśmy w lewo i prawo, ale szczelina równo niczym linia ciągnęła się w dal, a dziesięć stóp niżej falowała czerń wody.

Usta Chance'a, zagryzione w rozczarowaniu i gniewie, tworzyły wąską linię. Spoglądał na Meldruma.

— Powtarzam, przeskoczmy ją! Meldrum potrząsał głową.

— Lepiej objedźmy. Jeśli tylko coś nie wyjdzie... Chance prze-rwał mu.

— Przecież to łatwe. Brzegi są płaskie. Nam wystarczy dobry krok.

— Nam tak — odrzekł Meldrum. — Ale zobacz, jeśli nie uda się któremuś skuterowi, leci prosto w wodę.

Spojrzałem na dwie ściany lodowe opadające pionowo w lodowatą wodę.

— Skaczemy — stwierdził Chance.

— Posłuchaj — upierał się Meldrum — a jak stracimy któryś skuter? Jak coś się przydarzy, cokolwiek, silnikom, bieźnikom, nar-tom z przodu, wtedy zostajemy z trzema narciarzami i dwoma śniego-łazami. Ktoś będzie musiał umrzeć. Nie dojedziemy z trzema narcia-rzami z tyłu.

Zostawiłem ich; i tak nie mieli zamiaru słuchać, co miałem do powiedzenia. Podszedłem do skutera Meldruma, gdzie Szary Dym zajmował cały tył. Kiedy otworzyłem drzwi, poczułem jego wzrok: zimny, szacujący, nieprzyjazny.

— Ta narta — powiedziałem. Dalej patrzył na mnie.

— Ta rysa na spodzie. Co mogło ją zrobić?

Oczy Szarego Dymu ciągle były wpatrzone w moje; jego głowa odrobinę poruszyła się na boki, ale oczy nieruchomo były utkwione we mnie.

— Mógł to zrobić lód?! — krzyknąłem.

Znowu minimalnie pokręcił głową. Potem pochylił się, przełożył nogę przez siedzenie, odwrócił się i sięgnął na tył skutera do schowka z narzędziami. Były tam czekany, młotek, ale kiedy wyruszaliśmy, były też karabińczyki i dwa haki, gdybyśmy potrzebowali ich w skale. Teraz ich nie było.

— O Boże — powiedziałem. Szary Dym stał koło mnie.

— Musimy jechać. Ostrożnie jechać. Teraz nie czas. Do skutera zbliżył się Meldrum.

— Z drogi — warknął. Wsiadł, zatrzasnął drzwi i odjechał od płoni. Tym razem najazd miał niedługi, wydawało się w ogóle, że jedzie za wolno, i kiedy pojazdzik zbliżał się do czarnej, głębokiej wyrwy w lodzie, serce podeszło mi do gardła. Nagle niepostrzeżenie znalazł się po drugiej stronie, zupełnie jakby gąsienice ani na chwilę nie odrywały się od lodu. Żadnego podskoku, żadnego uderzenia, po prostu gładka, równa jazda.

Podszedłem do Chance'a, stojącego na krawędzi szczeliny. Meldrum zatrzymał śniegołaza po drugiej stronie i zbliżył się do nas. Stał przez chwilę, spoglądając w dół płoni; Chance wyciągnął rękę. Kiedy cztery stopy odmierzyć na dywanie, wyda się to niewiele, ale wiem, jak czuł się Meldrum. Wychylił się, chwycił rękę Chance'a i skoczył.

Od razu widziałem, że mu się nie uda. Może to zmęczenie, może podeszwa się pośliznęła, może nie chciał skakać i wewnątrz siebie przed tym wzbraniał; w każdym razie w chwilę później zwisał nad głębiną, trzymany tylko przez rękę Chance'a. Chance opadł na kolana, postępując, a ja rzuciłem się płasko na lód, sięgając w dół i starając się

pochwycić drugą rękę wymachującą rozpaczliwie nad przerażoną, pobielaną twarzą Meldruma. Szarpnął się desperacko, ale jego dłoń ściągnęła mi tylko wierzchnią rękawicę.

Także i Chance leżał teraz na płask, wyciągając drugą dłoń.

— Nie mogę utrzymać — wycharczał. — Wysuwa się.

Meldrum wydał przerażony skowyt, kiedy ich ręce rozłączyły się, a ja poczułem na szyi szarpnięcie taśmy rękawic. Nos rozpląszczył mi się o lód i poczułem, że zaczynam się ześlizgiwać.

Pode mną Meldrum patrzył w górę, uchwycony tej jednej rękawicy. Staralem się zahaczyć palce nóg, ale gwałtownie wyjeżdżałem poza krawędź. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim.

Wtedy jakiś ciężar zwałił się na moje nogi, a kolana i kostki ostrym bólem zareagowały na ucisk stawów. Ale przynajmniej przestałem się ześlizgiwać. Wydawało się, że trwamy tak przez wieczność. Nacisk z jednej strony szyi był ogromny i poczułem, że robi mi się ciemno w oczach. Napiałem, jak mogłem, mięśnie karku i wpatrzyłem się w twarz Meldruma kotyszącą się lekko pode mną. Wczepiony był w rękawicę, ale nie mógł długo tak wytrzymać i widziałem, jak ręce zaczynają mu się ześlizgiwać.

Całe zdarzenie, od momentu skoku Meldruma, nie trwało dłużej niż dziesięć sekund; jeszcze kilka, a ucisk mu się rozluźni, on zaś spadnie i zginie. Ludzkie ciało bardzo rzadko może znieść nagły stu-stopniowy skok temperatury, który jest wynikiem zanurzenia się w niezamarzniętych wodach arktycznych.

Wtedy coś z łoskotem runęło na lód obok i dwie inne ręce pojawiły się obok moich, rozpaczliwie szukając przegubu Meldruma. Ale ten był już za nisko.

Niewyraźnie, poprzez rozgłośne pulsowanie krwi w głowie, gdyż uprząż powoli mnie dusiła, usłyszałem okrzyk Szarego Dymu:

— Złap mnie za kostki. Szybciej, na Boga!

Potem stęknął i wysunął się do przodu, zwieszając się górną częścią ciała poza krawędź, w głąb, i wyciągając się, wyciągając... Rozległ się głos dziewczyny.

— Na pomoc, szybko, nie mogę go utrzymać!

Usłyszałem okropny trzask, łomot i zduszony, bolesny jęk Szarego Dymu.

Nagle, jakimś cudem, nic już nie naciskało na moją szyję i ktoś

ciągnął mnie w tył za kostki. Jak tylko moja klatka piersiowa wjechała na lód, niezdarnie wyprostowałem się.

Nogi Szarego Dymu leżały na lodzie, ale jego reszta, od ud w górę, zwisała w rozpadlinę, trzymając kołyszącego się Meldruma. Nie zsuwał się z dwóch przyczyn. Pierwszą była dziewczyna, wczepiona w jego stopy. Drugą był Ericson. Narty Norwega, przerzucone w poprzek łydek Szarego Dymu, dociskały całym ciężarem tamtego.

Do pomocy rzucił się szczupakiem Chance, który leżąc płasko obok Szarego Dymu ciągnął go za kurtkę do tyłu. W chwilę później byłem przy nich i ja.

Cał po cały Meldrum podjeżdżał ku nam, aż wreszcie Chance i ja mogliśmy sięgnąć i złapać jego dłonie. Wtedy Szary Dym puścił je z westchnieniem ulgi, które natychmiast zamieniło się w jęk bólu. Odwróciłem się nieporadnie, ciągle trzymając Meldruma, i zobaczyłem, że Natalia trzymając Indianina za kostki, dalej odciąga go od płoni.

— Nie ciągnij — wrzasnąłem — tylko trzymaj!

— Zejdź — zamruczał Chance i Ericson odsunął się niezgrabnie na nartach.

Minutę później cała nasza piątka stała na lodzie, rozgorączkowana i wstrząśnięta. Piątka, nie szóstka. Szary Dym zemdlął. Leżał na brzuchu z twarzą w śniegu, nogi dziwnie ułożone.

— Nie było czasu — wykrztusił Ericson. — Ześlizgiwał się. Nie mogłem zdejmować nart. Musiałem skoczyć.

Szybko nachyliłem się, odwracając głowę Szarego Dymu tak, by kaptur osłaniał ją od śniegu. Ściągnąwszy następnie drugą, nietkniętą rękawicę obmacałem delikatnie jego nogi.

— Co jest? — dopytywał się Chance.

— Złamane — odpowiedziałem. — Obie złamane poniżej kolan.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Meldrum odwrócił się bez słowa i pospieszył do skutera Chance'a. Wsiadł, wrzucił bieg, zawrócił w kierunku szczeliny i przeprawił się przez nią równie gładko jak za pierwszym razem, choć teraz z tyłu znajdował się Komarow. W chwilę później będąc już nad brzegiem płoni zapytał:

— No jak, nikt mi nie poda ręki?

Tym razem poszło gładko, za jednym krokiem, a chwyt Chance'a był nieustępliwy jak śmierć. Myślę, że ten krok nad czterema stopami pustki był najodważniejszą rzeczą, jaką w ogóle widziałem. Bez zatrzymania Meldrum skierował się do mojego śniegołaza, ostatniego w króciutkiej kolejce.

— Nie — powiedziałem stanowczo. Oglądnął się, zawrócił.

— Dlaczego?

Kiwnąłem brodą w kierunku Szarego Dymu.

— Będziesz miał pasażera. W żaden inny sposób nie przerzucimy go na drugą stronę.

Meldrum popatrzył na mnie, a potem na Szary Dym.

— Dobrze — powiedział Meldrum. — Zaczekam.

Ericson zdjął już narty i pomógł mi z drugiej strony nieść Indianina do skutera. Ze swojej torby wydobyłem małe składane łupki i przytroczyłem je do nóg Szarego Dymu. Nie było krwi, złamanie zamknięte, kości niemal bez przemieszczenia, pęknięte i przerwane, ale wzdragałem się pomyśleć o odłamkach.

Wziąłem morfinę i podałem mu ilość, która mogła oszołomić słońca. Kiedy wróci do przytomności, będzie potrzebował wszystkich sił, by ścierpieć ból w tych nogach.

Wycofałem się w końcu z małej kabiny z flaszeczką tabletek benzedryny.

— Weźcie.

Chance patrzył na pigułki leżące na mojej dłoni.

— Nie; czuję się dobrze.

— Weź to — powiedziałem. — To rozkaz. Ericson i dziewczyna połknęli pastylki bez szemrania. Meldrum sprzeciwił się stanowczo.

Stał, oklapły ze zmęczenia,

dłonie drżące w rękawicach, oczy zaczerwienione i znużone. Cicho powiedział:

— Nigdy w życiu nie jechałem po alkoholu ani narkotykach. Lepiej sobie poradzę bez tego.

Kiwnąłem głową. Może miał rację. Czasami trzeba uznać, że pacjent wie lepiej.

Usadowiliśmy Szary Dym tak wygodnie, jak tylko to było możliwe; potem Meldrum wsiadł i śniegołaz przefrunął nad płonią jak szybowiec w pogodny letni dzień. Przebyliśmy ją związani na wszelki wypadek liną, ale obyło się bez kłopotów.

Zegarek wskazywał wpół do dziesiątej. Komarow pewnie przychodzi do siebie. Wyswobodziłem się z liny i pospieszyłem do niego.

Leżał z tyłu skutera ciągle pogrążony w głębokim śnie. Sprawdziłem puls i oddech, wszystko było w porządku. Ale przecież nikt z pewnością nie mógł spędzić jedenastu godzin w tak wygiętej pozycji, bez przewracania się! Efekty fenobarbitalu powinny dawno już minąć, a wedle swojego normalnego rytmu diabetycznego powinien być przytomny i głodny. Byłem zdziwiony, ale specjalnie się nie niepokoiłem: trudno się zamartwiać o pacjenta z miarowym rytmem serca i równym oddechem, a poza tym to, że Komarow ciągle spał, było nam na rękę. Także bez starszego, przerażonego pasażera drużyna miała dość swoich kłopotów.

Chance zapytał z tyłu:

— Wszystko w porządku? Wyprostowałem się.

— Wydaje się, że tak. Wkrótce powinien się budzić.

Chance przyjrzał mi się.

— Już powinien się być zbudzić, tak?

Potaknąłem.

— Niby powinien, ale się nie budzi. Poza tym jednak wszystko jest OK. To znaczy, jeśli chodzi o stan fizyczny. Martwię się natomiast o...

Przerwał mi.

— Dobra, każdy z nas ma swoje problemy. Wracaj do siebie i ruszamy. Brzask będzie za niewiele więcej niż godzinę.

— Nie mamy kłopotów z kierunkiem? — Zerknąłem na tarczę pelengacyjną na tablicy rozdzielczej przed nim.

Spojrzał na mnie wyzywająco.

— Jeśli będziemy mieć, to wszyscy skończymy jak Yamamoto. Rusz się.

Drzwiczki trzasnęły, a ja zmagając się z wiatrem pobiegłem do śniegołaza.

Do przebycia mieliśmy jeszcze czterdzieści pięć — pięćdziesiąt mil, a przy szybkości ograniczonej do dwudziestu pięciu mil na godzinę nieuchronnie musieliśmy przez godzinę lub więcej jechać w świetle zorzy. Zobaczyłem, jak rusza Meldrum z rannym Szarym Dymem z tyłu, a w ślad za nim Chance. Ericson czekał przykucnięty, aż lina się napręży, i dopiero wtedy wyprostował się. W chwilę później pojechaliśmy za nim. Było z nami kiepsko: Szary Dym zupełnie wyłączony z akcji. Meldrum śmiertelnie znużony, Chance z raną w udzie, a choć wydawało się, że mu nie dolega, musiała bez przerwy zabierać jego siły.

Niemniej pchaliśmy się ciągle przed siebie, Meldrum niezmiennie obierający trasę pośród lodu z beznamiętną wprawą, która usuwała przed nami większość trudności, jako że nawet jechać w ślad za nim było mi trudno. Absolutnie nie byłem w stanie sobie wyobrazić, jak może się czuć ten, który toruje drogę. Już od dwudziestu czterech niemal godzin mały Szkot z niewiarygodną zręcznością wiodł nas przez lody, wymijając granie, muldy, szczeliny i dziury, a ciężar ten ciągle na nim spoczywał; ciągle los reszty zależał od jego osądu.

Zmierzaliśmy do celu, ale ciemność już się kończyła. Spoglądałem na Ericsona uwieszonego na końcu liny, kolana ugięte, a prędkość skakała do dwudziestu, dwudziestu pięciu, trzydziestu; mały konwój mknął przez lód.

Dziewczyna za mną najpewniej zasnęła. Od czasu cudem unikniętej

katastrofy nad płonią nie wypowiedziała ani słowa; kiedy obejrzałem się, oczy miała zamknięte, a głowę opierała o ścianę kabiny.

O dziesiątej czterdzieści niebo nad lodem zaczęło się rozjaśniać. Zmiana nastąpiła gwałtownie: przejście od mrocznej poświaty księżycowej do światła, przy którym można było czytać książkę, dokonało się w kilka minut.

Meldrum natychmiast zaczął jeszcze bardziej przyspieszać. Wiedziałem, co czuje, ale nie wydawało mi się to rozsądne. Ericson miał już za sobą prawie pięć godzin spędzonych na końcu liny, a jakkolwiek mógł nawyknąć do długiego wysiłku dzięki swym bezkresnym wyprawom narciarskim, zasoby jego sił musiały szybko się teraz wyczerpywać. I nie mógł liczyć ani na chwilę wytchnienia w tym przemyskaniu po lodzie.

Kolejne czterdzieści minut, kolejne trzydzieści pięć, jeszcze trzydzieści będzie świadkiem naszych zmagania.

Zdałem sobie sprawę, że wzrok mój wybiega w przód, wyglądając składanego hangaru, który załoga „Gwiazdy Polarnej” szypra Huttona rozstawiła dla nas na lodzie. Każda mijająca minuta przybliżała nas do celu, a pokusa, by wypatrywać czegoś na horyzoncie, nie zważając na postać Ericsona płynącą przede mną, była niemal nie do przezwyciężenia. W pewnej chwili omal na niego nie najechałem i to mnie otrzeźwiło. Niech Meldrum pierwszy dojrzy kres, zasłużył sobie. Skupiłem się na tym, co do mnie należało: zachowywać odpowiednią odległość od Ericsona i trzymać się śladu.

Minuty wlokły się jedna za drugą. Formalnie był to świt, ale zdarzają się miasta przemysłowe, gdzie nigdy nie jest jaśniej, niż zrobiło się wokół nas. Horyzont był wyraźnie widoczny, płaski i niezmienny, ciągle przed nami ustępujący.

Z dwudziestu minut zrobiło się piętnaście, z piętnastu — dziesięć. W każdej chwili na widnokręgu mógł pojawić się budynek, wabiący nas obietnicą samolotu z fotelami w środku, fotelami, w które można się zapaść i usnąć, usnąć. Wydawało mi się, że nie zbudzę się przez tydzień, może przez miesiąc.

Ciągle jechaliśmy, choć był już czas, by nasz hangar się pokazał. Może pomyliłem się w swoich wyliczeniach czasu i odległości i wcale nie byliśmy tam, gdzie sądziłem? Zakląłem; potrzeba ujrzenia hangaru była dojmująca; nerwy napięte do ostatnich granic sprawiły, że całe ciało pełne było napięcia i oczekiwania. Gdzież ten barak? Gdzie?

Czterdzieści jardów przede mną śniegołaz Meldrum zaczął zwalniać i stanął. Przycisnąłem hamulce i zatrzymałem się za tamtymi dwoma. Po kiego licha staje? Otworzyłem gwałtownie drzwiczki kabiny i poszedłem naprzód. Chance i Meldrum stali już na zewnątrz i z dławiającym, mdlącym uczuciem zobaczyłem dłaczego. Dwie mile przed nami widać było hangar, biały garb na lodzie.

Tylko dwie mile. Równie dobrze mogło ich być milion! Stał na wielkiej krze, która zupełnie odłamała się od głównego pola lodowego i unosiła na szaroczarnej wodzie.

Meldrum zapytał z desperacją:

— Można dojechać z innej strony? Chance potrząsnął głową.

— Do diabła, żadnych szans.

Obejrzałem się, lustrując niebo i lód za nami. Żadnego ruchu prócz małych obłoczków spalin z podrygujących w oczekiwaniu skuterów.

Chance ociężale zawrócił do swojej maszyny. Zauważyłem teraz, że kuleje, a twarz ma szarą i zmęczoną. Sięgnął do radia i włączył je.

— Chance do Huttona. Chance do Huttona. Cisza, dużo szumów. Wsiadł, dostrzegając odbiornik.

— Chance do Huttona. Odbiór.

Czekaliśmy.

— Chance do Huttona. Chance do Huttona. Odbiór.

Sekundy wlokły się niemilosiernie. Patrzyłem po krze bezlitośnie unoszącej się na wodzie przed nami. Trzaski.

— Hutton do Chance'a.

— Chance do Huttona. Hangar stoi teraz na krze, która odpękała. Musisz przyplłynąć i podjąć nas.

— Idziemy. Jestem dziesięć mil od pola lodowego. Całą parą. Odbiór.

— Podjedziemy w waszym kierunku tyle, ile się da. Koniec.

— Hutton mówił — odezwałem się — że może robić jakieś dwaście węzłów. To potrwa około godziny.

— Wiem. — Patrzył na hangar tam, na krze, klnąc głośno i nieprzerwanie.

Wróciłem do swojego skutera, wydobyłem termos i nalałem kawy. Wypiłem ją łączywie, rozglądając się po niebie, po lodzie. Kątem oka dostrzegłem ruch; Natalia wyszła zza małego pagórka śnieżnego.

Spojrzałem na nią.

— Gdzie byłaś? Uśmiechnęła się.

— Niedelikatne pytanie.

— Przepraszam. — Zakręciłem kubek na termosie i poszedłem do skutera Chance'a.

— Obudził się?

— Nie — odpowiedział Chance. — Zobacz sam.

Nachyliłem się nad Komarowem, ująłem jego przegub i wyczułem puls. Był niezmiennie silny. Twarz miał odwróconą, ukrytą w kapturze. Położyłem rękę na czole i przekręciłem go do siebie. Temperaturę miał normalną. Skóra też nie była wilgotna. Uniosłem powiekę, ale nie dostrzegłem niczego niepokojącego. To bez sensu. Dlaczego, u licha, się nie budził, kiedy ciało musiało skręcać się z głodu? Lekko klepnałem go w policzek, ale nie było żadnej reakcji. Uderzyłem jeszcze raz, trochę mocniej, również bez efektu. Pochyliłem się nad nim jeszcze bardziej, w męczącej, wygiętej pozycji.

Wtedy poczułem coś jeszcze. Spojrzałem na końce palców, gdzie były jakieś drobinki, i wyczołgałem się ze skutera. Wyprostowawszy się raz jeszcze spojrzałem i przyłożyłem do ust. Drobnutkie kryształki rozpląnęły się w ustach, kubki smakowe natychmiast wychwyciły słodkość.

Cukier! Szybko nachyliłem się znów nad Komarowem, otwierając mu usta. W nich także były kryształki cukru. Ktoś rozchylił jego usta i włożył cukier, może z odrobiną wody, żeby łatwiej się rozpuścił. To strasznie ryzykowne, mówiąc szczerze, idiotyczne. Komarow z łatwością mógł wciągnąć cukier z oddechem i zadławić się. Co więcej, podawanie cukru diabetykowi, który zaczyna odczuwać brak insuliny, jest potwornie niebezpieczne. Było nader prawdopodobne, że cukier przekształci sen wywołany narkotykiem w diabetyczną komę. A w każdym razie wystawi organizm Komarowa na groźny szok.

Poczułem, że jeżą mi się włosy na karku. Ktoś nie przejmował się śmiercią Komarowa. W rzeczy samej, ktoś chciał jego śmierci. Cukier podwajał szanse.

Wydostałem się ze skutera i poszedłem do Chance'a.

— Dajesz Komarowowi cukier? — zapytałem ostro.

— Nie — odwrócił się, spoglądając na mnie ze zdumieniem. — Myślisz, u diabła...

— Ktoś to zrobił — powiedziałem. — Tak samo z czekanem, który zniszczył mój skuter.

— Taaak — rzucił przeciągle.

— Nie bądź idiotą! — krzyknąłem. — To nie ja. Ktoś życzy nam śmierci. Yamamoto. Komarow. Szary Dym... — Ta myśl mnie poraziła, gdy biegłem do śniegołaza, w którym leżał Indianin. Wczołgałem się do środka.

— Jim! Jim!

Otworzył oczy, ale się rozjeżdżały. Dałem mu zbyt wiele morfiny, by mógł się na czymkolwiek skupić. Ale musiałem spróbować. Uderzyłem go mocno w twarz, po której przebiegł skurcz bólu.

— Narta — krzyknąłem. — Rysę zrobiono metalem, tak? Uderzyłem go jeszcze raz.

— Tak, Jim?

Rozglądał się, mrugając wolno oczami, ogłupiały. Był w podróży, o której śpuna tylko sobie marzą.

— Jim — powtarzałem natarczywie. — Narta!

Usta rozchyliły się, mamrocząc coś, a ja przywarłem do nich, chcąc cokolwiek usłyszeć. Nagle przemówił wyraźnie, głośno, prawie krzycząc.

— Nie popychaj. Trzymaj. Nie popychaj!

— Dobra, dobra, uspokój się — powiedziałem łagodnie, układając go na powrót.

Wygramoliłem się. Chance był wściekły.

— Czemu, do cholery, go bijesz?

— Dziewczyna — powiedziałem. — Próbowwała go zabić. I Bóg wie co jeszcze. Próbuje nas załatwić.

Patrzył na mnie zdziwiony.

— Ocaliła mu życie. Złapała go za nogi.

— Nie słyszałeś przed chwilą? — zapytałem z furją. — Trzymaj mnie, nie popychaj! To Ericson go uratował.

— Masz rację, doktorku.

Obejrzelśmy się jak na komendę. Stała po drugiej stronie maszyny.

— Masz rację — powiedziała. — Jeśli ci na tym aż tak bardzo zależy.

W rękach trzymała automat.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Przeszła od skutera do skutera, zbierając broń i rzucając ją daleko w śnieg. Miała nas wszystkich pod lufą i wiedzieliśmy o tym. Nic nie dało się zrobić, wszyscy bowiem staliśmy na zewnątrz bez żadnej osłony, z wyjątkiem Szarego Dymu, ale on był zbyt oszołomiony, by zdawać sobie z czegokolwiek sprawę. Co więcej, automat nie był dla Natalii pierwszozną, co widać było po znawstwie, z jakim trzymała go przy sobie. Poręcznie i pewnie.

— Przywiązana asystentka — rzuciłem.

Spojrzała.

— Można tak powiedzieć. Ale nie ta, o którą ci chodzi. Tamta dostała bezpieczne schronienie w Moskwie. Czy gdzieś tam.

— A ty?

— Cisza. — Podniosła głos. — Podejdźcie trochę, wszyscy. Chcę, żebyście stali w szeregu tu przede mną.

Poszliśmy za wskazaniem lufy automatu i stanęliśmy przed nią.

— Siadać.

Usiedliśmy.

Chciało mi się płakać. Byliśmy tak blisko, tak cholernie blisko i teraz wszystko mieliśmy stracić.

— To kim pani jest, panienko? — zapytał Chance.

— KGB — mruknąłem.

— Punkt dla doktora. — Stała spoglądając na nas, spokojna, zupełnie opanowana.

— Więc po co, u diabła, chciała jechać z nami?



— No, doktorku, wytłumacz koledze.

— Jest rzeczywiście asystentką Komarowa, ale to KGB ją podsunięło, by mieć go ciągle na oku. Kiedy zabieraliśmy go, musiała jechać z nami.

— Dlaczego?

— Żeby go zabić, gdyby wszystko wskazywało na to, że wydstaniemy się wraz z nim. Żeby dostarczyć go z powrotem żywego, jeśli będzie mogła.

— Będę — dokończyła. — To pewne. Jak tylko nadleci helikopter. Trochę cierpliwości.

— Helikopter?! — krzyknąłem.

Uśmiechnęła się. Była ładna, prawie piękna, czego nie można było powiedzieć o uśmiechu. Zimnym i twardym jak lód, na którym siedzieliśmy.

— Twoja dyskrecja, doktorku, była milusia, ale niemądra — powiedziała.

— To gdzie wtedy byłaś?

— Korzystałam z małego radyjka, które mam ze sobą. A ten jeszcze przeprosił, głupiec.

— Po co dawałaś mu cukier? — zapytałem.

— Bo w pewnej chwili zaczęłam sądzić, że wam się uda. Ale, ale, dziękuję za przypomnienie, doktorku. Potrzebna jest teraz insulina. — Lufa automatu ruszyła się.

— Wstawaj.

— Odpieprz się — odrzekłem. — Niech umiera. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

— Liczę do trzech — powiedziała — potem strzelam w udo. Raz, dwa...

Podniosłem się.

Odpięła z pleców medyczną torbę i cisnęła w moim kierunku.

— Dwa centymetry sześcienne. Zanim dostanie jedzenie, będzie równoważyła cukier.

Otworzyłem pojemnik. W środku mała fiolka insuliny i stalowe pudełeczko ze strzykawką. Była jeszcze jakaś brązowa buteleczka z pastylkami. Podniosłem ją.

— Fenobarbital?

— Dziwiłeś się, dlaczego ciągle śpi. Dlatego. No, doktorku, insulina. Dwa centymetry.

Kiedy szedłem do śniegołaza, przesuwała się łukiem za mną, tak zmieniając pozycję, by mieć nas wszystkich na muszce.

Co mogliśmy, do diabła, zrobić? Podczas kiedy moje ręce mechanicznie zajmowały się nabieraniem insuliny do strzykawki, a potem odmierzeniem takiej ilości, by pozostały dwa centymetry, mózg rozpaczliwie pracował, starając się znaleźć jakieś wyjście, jakiś sposób na odzyskanie utraconej przewagi. Spojrzenie przez ramię powiedziało mi, jak beznadziejna była sytuacja. Dziewczyna stała o piętnaście jardów od linii skuterów, reszta w połowie drogi między nią a pojazdami. Wystarczyło jej tylko odbezpieczyć automat i nacisnąć spust. Nie mieliśmy najmniejszej szansy.

Ponuro wcisnąłem się do skutera obok Komarowa i zacząłem ściągać spodnie rękawiczki. Tu przynajmniej było ciepło. Nagle drgnąłem! Było ciepło, gdyż silnik pracował, a silnik, choć mały, to przecież kawałek solidnego metalu z przodu niewielkiej maszyny. Szansa była niewielka, ale przecież jakaś. Spojrzałem przez okno na resztę. Chance, Meldrum i Ericson siedzieli posępni na łodzie z rękami za głową, ale z pewnością zareagują szybko. Pytanie, jak długo będzie się ociągać ze strzałem w obawie o trafienie Komarowa? Zsunąłem się najdalej, jak mogłem, między obudowę skutera a podłużne siedzenie, potem wyciągnąłem rękę i nacisnąłem kciukiem guzik gaźnika, a zarazem gwałtownie szarpnąłem kierownicę lewą ręką, wykręcając skuterem w prawo. Śniegołaz zrobił na swych gaśienicach ostry wiraż i pognał przez lód. Jeśli Rosjanka nie rozwali maszyny, zamierzałem wjechać między nią i tamtą trójkę, a następnie wykręcić w jej stronę. Nie wiedziałem, czy strzela; głowę miałem schyloną nisko, tuż przy warczącym silniku. Ponownie szarpnąłem kierownicą i wychyliłem się. Wtem obok w szybie pojawiła się mała dziurka, a ona sama rozpękła się gwiazdźście. Przywarłem do silnika, pociągając rączkę w lewo i znowu uniosłem szybko głowę: cała trójka odskakiwała właśnie, a śniegołaz robił łuk w jej kierunku. Mocniej jeszcze ściągnąłem kierownicę w lewo. Rosjanka cofała się z automatem wymierzonym w sunący na nią pojazd i nietrudno było zgadnąć, jakie myśli przelatują jej przez głowę. Strzelając pełnym ogniem, zabiłaby mnie i Komarowa, a jak długo była nadzieja, że zabierze go z powrotem, nie chciała tego zrobić. Gdy znalazłem się tuż przy niej, odsunęła się jak toreador, a ja zrobiłem ostry zakręt, wrzuciłem wsteczny bieg i zacząłem najeżdżać na nią od tyłu z ciałem Komarowa jako tarczą.

Ciągle się wahała, obracając się wolno i chcąc trafić mnie w głowę. Wyprostowałem kierownicę i mocno przycisnąłem gaz, a gaśniące skutera wpadły w poślizg i maszyna wleciała na nią jak wirujący bąk. Usłyszałem okropny trzask i poczułem, że lecę do przodu i do góry, wprost na szybę...

Odzyskałem świadomość chwilę później, leżąc na lodzie, nade mną zaś pochylał się Meldrum. Bolała mnie każda kostka i każdy mięsień, ale uśmiech na jego twarzy był kojący.

— Co się stało?

— Trochę za ostro podrywałeś, bo dziewczę padło — powiedział.  
— Nokaut.

Chwiejnie stanąłem na nogach. Dziewczyna, ciągle nieprzytomna, leżała na lodzie, a koło nas leżał wywrócony na bok śniegołaz. Chance i Ericson delikatnie wydobywali pojękującego Komarowa ze środka.

Pokuśtykałem do nich.

— Pilnuj dziewczyny — zwróciłem się do Ericsona — a ja mu się przyjrzę.

Nie zważając na wiatr i mróz ściągnąłem mu kaptur i obmacałem głowę, mając nadzieję, że nie uderzył się o coś zbyt mocno. Guzy szybko wyrastają na głowie, a on nie miał żadnego. Z powrotem naciągnąłem kaptur i sprawdziłem kończyny. Zginały się łatwo, ale straszliwie jęczał, gdy dotknąłem prawego ramienia. Pewnie zwichnięte, pomyślałem.

Nie było jednak czasu na dalsze zajmowanie się Komarowem. Kiedy wraz z Chance'em dźwigaliśmy go do jednego z działających skuterów, Ericson krzyknął ostrzegawczo. Spojrzałem w górę i w oddali zobaczyłem punkcik. Bezceremonialnie wrzuciliśmy staruszka do środka i skoczyliśmy ku automatom.

— Trzymaj! — krzyknąłem, rzucając jeden Ericsonowi.

Nawet nie spojrział, gdyż miał już w rękach swój karabin i nurkował właśnie za przewrócony skuter.

Warkot helikoptera przybliżał się. Była to ogromna, pomalowana na pomarańczowo maszyna, która przemknęła jak ogromna wałka tuż nad lodem. Myślę, że nie widzieli nas jeszcze, sądząc po tym, jak lawirowali to w jednym, to w drugim kierunku. Ale nagle dźwięk silnika ustabilizował się, a helikopter poleciał wprost na nas.

Zatrzymał się może o sto jardów od nas, zawisłszy na wysokości

jakichś stu pięćdziesięciu stóp. Mogłem dostrzec pilota wychylonego ze swego siedzenia i patrzącego na nas.

Ericson powoli uniósł karabin. Pilot najprawdopodobniej nie zauważył nas jeszcze, usiłując zrozumieć, dlaczego nikt nie macha do niego na powitanie i czemu jakieś ciało leży na lodzie krzyżem.

Postanowił sprawdzić to na dole. W kadłubie odsunęły się drzwi i w wejściu ukazało się dwóch żołnierzy z automatami w rękach. Kiedy wylądują, będziemy mieli się z pyszna.

— Teraz — powiedział cicho Chance. Spojrzałem na Ericsona; nacisnął spust, zarepetował i wystrzelił. Przez chwilę nic się nie działo. Potem helikopter jakby podskoczył, a wirnik pochylił się do przodu. Żołnierze w drzwiach uczyli się rozpaczliwie jedną ręką, ale mimo to otworzyli ogień, a kule poryły lód o kilka jardów od nas. Nagle helikopter zadarł nos, długi ogon opadł i cała maszyna runęła jak kamień, waląc się na lód ze strasliwym trzaskiem.

Natychmiast stanęła w płomieniach; buchnęła wielka ściana wyjących płomieni, gdy ogień objął benzynę, a nas owionął gorący podmuch. Nastąpiło kilka małych eksplozji wybuchającej amunicji, a po nich grzmot innej eksplozji. Nie wiem, czy był to dodatkowy zbiornik paliwa, dynamit czy bomby, ale resztki helikoptera po prostu rozniosło; pozostał tylko stos płonących odpadków i płomienna kałuża płynąca w kierunku obydwu śniegołazów.

Razem z Meldrumem rzuciliśmy się ku nim, osłaniając rękami twarze od gorąca. Wskoczyłem do kabiny, wrzuciłem wsteczny bieg i szybko się wycofałem.

Pięćdziesiąt jardów dalej zatrzymaliśmy się i wysiedli. Płomień nie rozszerzał się dalej i zaczęły przygasać. Szedł ku nam Chance, lekko utykając.

— Spójrzcie.

Odległa o cztery, pięć mil „Gwiazda Polarna” płynęła ku nam z maksymalną szybkością, a rozcinana dziobem fala białała na ciemnym morzu. To mają na myśli marynarze, kiedy mówią, że statek złapał kość w zęby.

Popatrzyłem na wszystko, na dopalające się szczątki helikoptera, przewrócony śniegołaz, spojrzałem na Ericsona, który stojąc obok Natalii beznamytnie przyglądał się, jak usiłuje wstać. Podniosła się w

końcu, przez dłuższą chwilę zatrzymała spojrzenie na resztkach helikoptera, potem przerzuciła je na nas i podeszła.

Chance uśmiechnął się drwiąco, ona odpowiedziała mu jednak dziwnym spojrzeniem, w którym nie było widać porażki. Czysta nienawiść, ale także zapowiedź czegoś innego.

— Patrz — powiedział Chance, wskazując na spieszącą ku nam „Gwiazdę Polarną”.

Obejrzała się, ale kiedy się obróciła, jej twarz była triumfująca i niemal pogardliwa.

— Helikopter był z „Lenina” — stwierdziła, wyciągając rękę na południowy zachód. Daleko na horyzoncie widać było statek, odcinający się od rozjaśnionego nieba. Wielki statek.

Parsknęła śmiechem.

— Tak, tak. „Lenin”. Słyszeliście chyba o nim? Najwspanialszy statek Arktyki. Cztery węzły w półmetrowym lodzie. Napęd atomowy. Tysiąc marynarzy i żołnierzy.

Przerwała patrząc na nas z wyższością.

— No co, jak przed nim uciekniecie?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nawet z odległości około piętnastu mil „Lenin” budził lęk. Maszynowa ciemna sylweta na pół rozcinająca srebrną linię horyzontu. Statek ten od dawna był główną bronią w walce Rosji o wyzwolenie północnej Arktyki z zimowych okowów lodu. Pierwszy i przez długi czas jedyny atomowy lodofamacz. Twierdzono, że potrafiłby utorować szeroki na sto stóp kanał do samego bieguna.

Przenosząc z niego szybko wzrok na „Gwiazdę Polarną” Chance powiedział cicho:

— Cała rzecz w tym, czy tamten ma przed sobą lód, czy wodę?

— Jaka to różnica? — zapytałem.

— Może rozwijać ponad cztery węzły na godzinę w lodzie, ponad piętnaście na czystej wodzie.

Spojrzałem na oba statki, próbując ocenić odległość między nimi i ich prędkości, ale nie potrafiłem.

Chance podszedł do śniegołaza i włączył radio.

— Chance do Huttona. Słyszysz mnie?

— Hutton do Chance'a. — Głośno i wyraźnie. — Będziemy za dziesięć—dwadzieścia minut. Odbiór.

— Mamy towarzystwo — poinformował Chance.

— Jeszcze jakieś? — Hutton wydawał się dotknięty. — Widziałem, że zestrzeliliście helikopter.

— Wystartował z „Lenina”. — Chance nacisnął guzik ręcznego mikrofonu, ale przez kilka sekund nie było odpowiedzi.

— O kurczę, jesteście pewni? — niskim, powolnym głosem zapytał w końcu Hutton.

— Już go widzimy — odrzekł Chance.

— W jakim kierunku?

— Na lewo od ciebie, na południu.

Chwila ciszy, a potem krótki, urwany śmiech Huttona.

— Mam go. Nawet, kurczę, nie trzeba lornetki.

— Wracaj — powiedział Chance. — Wymkniemy mu się w ciemności. Nie mogliśmy się wymknąć i Chance wiedział o tym. Z dwoma tylko skuterami i wszystkimi naszymi obrażeniami było wątpliwe, czy całej gromadce uda się w ogóle ruszyć. Ale rozumiałem, e co mu chodzi: jeśli „Lenin” przyskrzyni „Gwiazdę Polarną” z nami na pokładzie, nikt nie będzie miał szans. Jedna osoba, wraz z Komarowem, dzięki szybkości śniegołaza będzie mogła umknąć i zaczekać na „Gwiazdę Polarną” w innym miejscu.

— Zaraz tam będę — odpowiedział Hutton. — Czekaj.

— Nie dasz rady mu uciec — stwierdził Chance.

Meldrum wziął od Chance'a mikrofon i powiedział ciężkim szkockim akcentem, który ledwie mogłem zrozumieć.

— Cześć, wsioku. Co, w tym swoim blaszanym cebrzyku nie możesz wrzucić dwójki?

Hutton zaśmiał się z aprobatą.

— Ej, ten ostry kurdupel ciągle u was? Nie pękaj, kochaś, migiem tam jestem i was podbieram.

Meldrum odłożył z uśmiechem mikrofon; a my patrzyliśmy na wodę pieniącą się przed prującą ku nam „Gwiazdą Polarną”. Kiedy rozcinając fale zbliżyła się do nas, przez lornetkę dostrzegłem na dziobie korpulentną sylwetkę. Na wodzie pełno było lodowych kawałków, od niedużych kier po małe górki lodowe, którymi „Lenin” w ogóle by się nie przejął, dla „Gwiazdy Polarnej” jednak oznaczałyby w przypadku kolizji poważne uszkodzenie lub zatonięcie.

— Obejrzyjcie się — mruknął małomówny Ericson wskazując na „Lenina”.

— O Boże — jęknąłem — wykręca. — Ukazał się teraz fragment burty, podczas gdy dotąd widoczny był tylko dziób. Nie było wątpliwości, co znaczy ten manewr: wielki lodołamacz wycofywał się z lodu na czyste wody, by wykorzystać swą szybkość. A kiedy patrzyliśmy na to zatrwożeni, od statku oddzielił się mały ciemny obiekt i wzbił się w powietrze. Następny helikopter!

Lekki stukot koło mnie; to Ericson ściągał z pleców swój karabin. Na razie tylko gest zaciekłości, jako że helikopter ciągle był o kilka mil od nas.

- OK — odezwał się Chance. — Przesuńmy się na skraj lodu.

Było chyba ze ćwierć mili.

Meldrum wszedł do mojego skutera z Szarym Dymem z tyłu; Chance wiózł Komarowa. Ericson chwilę się zawahał, zanim podniósł linkę holowniczą.

— W porządku — powiedziałem. — Ja ją doprowadzę. — Kiedy ruszyli, obróciłem się do dziewczyny. — Jazda!

— Zostanę tutaj — odrzekła.

— Na pewno nie.

— No to mnie zastrzel.

— Nie myśl, że się zawaham. — Starłem się nie myśleć o Yamamoto, w to miejsce przypominając sobie przysięgę Hipokratesa, ale palec drżał na spuście.

Stała patrząc mi w twarz, wyzywająca, nogi rozstawione.

— Ruszaj się.

Nie drgnęła. Sądząc z wyrazu jej oczu, nie wierzyła, że strzelę.

Kula odłupała lód o cal od jej stopy. Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem określiła się i poszła za skuterami. Idąc sześć stóp za nią, lufę miałem wymierzoną w jej kark. Wlokła się straszliwie, co chwila przystając i obracając się ku szybko zbliżającemu się helikopterowi, a ja w żaden sposób nie mogłem jej ponaglić.

— Jest już blisko — powiedziała drwiąco i wkrótce nieomylnie mogłem rozpoznać dźwięk silnika. Za chwilę nie opuszczała już głowy, nieznacznie tylko zerkając na lód pod stopami.

Chance i Meldrum dotarli już na skraj lodu i spoza dziewczyny mogłem dostrzec, jak wymachują, byśmy się pospieszyli, pokazując przy tym na helikopter. A my ciągle szliśmy, podczas gdy warkot był coraz głośniejszy. Potknęła się, upadła na lód, a potem uniosła na kolana, jakby nie mogła wstać. Spojrzałem w lewo. Helikopter, nisko opuszczony, był od nas o jakieś dwieście jardów. W drzwiach stał uzbrojony żołnierz.

Przerzuciłem automat i z biodra puściłem serię. Nie miałem nadziei, że trafię w któreś z witalnych miejsc helikoptera, ale może utrzyma go to na dystans.

W tym momencie rzuciła się na mnie z boku, jak zawodowy



futbolista nadstawionym barkiem waląc w moje kolana, a gdy upadłem, była już na mnie, przyciskając mnie kolanami i butami, podczas gdy jedna ręka wczepiała się w twarz, druga zaś macała za automatem. Dobrze wiedziała, jak i co robić. Udo przeszył silny, obezwładniający ból, gdy jej kolano nacisnęło nerw kulszowy; kciukiem przyniatała mi nos. Rozpaczliwie dźgnąłem kolbą raz, potem drugi. Usłyszałem, że jęknęła od ciosu, ale nie poddawała się. Okręciwszy się na lodzie uderzyła mnie butami w twarz. Zastawiłem się automatem, ale kopnięcie wytrąciło mi go z rąk, a buty zamachnęły się znowu; w tyle głowy poczułem straszliwy, jaskrawy wybuch.

Ze wszystkich stron spadały na mnie ciosy jej dłoni, łokci, kolan. Uderzyłem rozpaczliwie od dołu, ale kurtka musiała osłabić siłę ciosu, a rozczapierzone kciuki sięgnęły do mych oczu. Odchyliłem się na bok, ale jej ciężar na pół mnie przygwałdził i nie zdołałem się uwolnić. Odkręcając się w drugą stronę zobaczyłem, że odchyła się, ręce jak ostrza mając ułożone na płask do ciosu karate.

Na chwilę lewa noga odzyskała wolność, wyszarpnąłem ją i kopnąłem ze wszystkich sił. Trafiłem ją w ramię i odrzuciłem na lód, ale zanim zdążyłem powstać, znowu była przy mnie. Prawa noga ciągle miała porażony nerw, ale podparłem się lewą i z wysokości jej pasa wyprowadziłem haka. To rodzaj ciosu, którego próbują bokserzy, kiedy są już zupełnie ugotowani, i który najczęściej nie wychodzi. Ale ona była już w ruchu, wychylona, przymierzająca się do ciosu; w żaden sposób nie mogła się uchylić. Trafiłem prosto w punkt.

Oczy zapadły się w głąb, kolana jej się ugięły i upadła. Nigdy dotąd nie uderzyłem kobiety i zapewne nigdy więcej tego nie zrobię. Ale teraz byłem naprawdę rad. Porwałem za broń i spojrzałem w kierunku helikoptera. Z prawej strony z wiatrem doleciał mnie ostry trzask; zobaczyłem, że Ericson z przykłąku strzela do helikoptera, który rozważnie wycofał się poza zasięg karabinu, a potem zaczął okrążać mnie, jednocześnie powoli się zbliżając. Pochyliłem się i podniosłem nieprzytomną dziewczynę w strażackim uchwycie. Miałem nadzieję, że nie strzelą do mnie w obawie trafienia swojej.

Nie nadaję się na strażaka. Po dwudziestu jardach niesienia tak ciążyła mi na ramionach, iż czułem, że uginające się nogi zaraz odmówią mi posłuszeństwa. Stałem spoglądając na resztę; wydawali się tak daleko, że nigdy nie zdołam do nich dotrzeć. Skupiłem się na

stawianiu stopy za stopą, po cichu licząc kroki. Po pięćdziesięciu chciałem ją cisnąć precz, po stu wiedziałem, że mi się nie uda, ale trzeba podejść tak blisko, jak tylko się da.

Niezgrabnie obejrzałem się na nisko wiszący helikopter i zobaczyłem stojącego w drzwiach żołnierza, który składał się do strzału. Nie spuszcżając z niego oka, jak mysz zagnana w kąt przez kocura, pokuśtykałem jeszcze kilka kroków. O dziwo, jednak nie strzelał! Przez chwilę myślałem, że to z powodu dziewczyny, że powstrzymuje go obawa trafienia jej; ale wtedy broń wypadła mu z rąk, chwycił się za pierś i powoli wypadł.

Huk helikoptera zagłuszał wszystko i dlatego nie usłyszałem skutera. Jak za dotknięciem magicznej różdżki nagle wyłonił się zza mnie, płynąc po lodzie. A z tyłu na ugiętych kolanach, z odchylnym tułowiem jechał na holu Ericson. Linka obejmowała go w pasie, w dłoniach trzymał karabin.

Helikopter, powarkując gniewnie, odskoczył, gdy skuter wyhamował przy mnie. Kiedy stanęli, Ericson wykorzystał chwilowy postój do następnego strzału. Nie mogłem zobaczyć, czy trafił, ale helikopter najwyraźniej oddalił się jeszcze bardziej.

— Niezła kanonada! — krzyknąłem.

Ericson pokazał zęby w uśmiechu.

— Szybko, ciśnij ją na tył! — Meldrum spojrział na mnie ponagłajaco z otworu, który niegdyś zakrywały drzwiczki.

Bez specjalnych względów rzuciłem dziewczynę na tył śniegołaza, a sam wskoczyłem na podnózek. Meldrum ruszył. Minutę czy dwie temu wydawało się, że nigdy tam nie dotrę; teraz byliśmy w trzydziści sekund.

Sytuacja była jednak rozpaczliwa. Kiedy zeskoczyłem ze skutera, dramatyczność położenia zobaczyłem jak na dłoni. Staliśmy na urwistym, piętnastostopowym brzegu lodowej płyty. Kra, na której czekała wydra, kotłowała się o dwie mile od nas. Hutton nadpływał szybko z lewej na swej „Gwieździe Polarnej”, a z tyłu „Lenin” uwolnił się już od lodów i pełną mocą szedł przez otwartą, czarną wodę. Nad nami, co prawda w bezpiecznej odległości od karabinu Ericsona, polatywał obserwujący wszystko helikopter.

Nie ulegało wątpliwości, że Hutton powinien do nas dotrzeć pierwszy. Ale kiedy będziemy wsiadali na pokład „Gwiazdy Polarnej”, „Lenin” może nas osaczyć, przypierając do lodowej płyty. A na pokładzie lodołamacza znajdowało się tysiąc osób, które miały wielką ochotę się do nas dobrać.

Niezależnie od tego Szary Dym i Komarowa należało transportować, a Chance był osłabiony z powodu ciągle krwawiącej rany w udzie. Jedyнным naszym atutem było to, że Rosjanie nie wiedzieli o wydrze.

Podenerwowani patrzyliśmy na Huttona całą mocą gnającego swą „Gwiazdę Polarną” ku nam. Chociaż była skromnym stateczkiem rybackim, od dzioba po rufę wyglądała jak okręcik. Mimo że wyciągała najwyżej dwanaście węzłów, robiła to z ambicją, nieco przysiadając na rufie i dając z siebie wszystko.

Była o miłę, później o pół, z każdą sekundą coraz bliżej; czterysta jardów, dwieście... „Gwiazda Polarna” parła ku nam nie zmniejszając szybkości, zupełnie jakby chciała wgrzyźć się dziobem w lód. W ostatniej jednak chwili, dzięki owej tajemniczej współpracy silnika i steru, jakby przysiadła, zrobiła powolny zwrot przez rufę i łagodnie zatrzymała się wzdłuż krawędzi lodu.

Hutton, którego trudno było pomylić z kimś innym nawet wtedy, gdy miał na sobie kozuch, wynurzył się ze sterówki, podszedł do bomy, włożył nogę w pętlę i machnął ręką. Chwilę później stał obok nas na lodzie. Rozejrzał się po nas, potem złożył dłonie w tubę i krzyknął w dół na pokład:

— Nosze!

Operacja potoczyła się gładko. Dwoje płóciennych noszy podjechało do nas na dźwigu towarowym i podczas gdy ja mocowałem na nich Szary Dym, Chance sadowił Komarowa. Jedne po drugich oderwały się od lodu i wylądowały na pokładzie, potem dźwig znowu się odkręcił i kolejno lądowaliśmy my, dziewczyna — znowu przytomna — przewieszona przez szerokie bary Huttona i wściekła.

Odrywając się od lodu, przed krótką i miłą podróżą na pokład towarowy „Gwiazdy Polarnej” kilka stóp niżej, spojrzałem po raz ostatni na dwa śniegołazy, ciągle wiernie terkoczące. Trochę szkoda było się z nimi rozstawać...

Ale sentymenty natychmiast uleciały mi z głowy, gdy rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem szybko zbliżający się ciemny masyw „Lenina”.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Hutton gładko oderwał „Gwiazdę Polarną”, a potem dał maszynowni polecenie „Cała naprzód” i wpłynął jeszcze głębiej między pole lodowe a odpęknietą krę.

Razem z Chance'em staliśmy obok niego w małej, ciasnej sterówce.

— Nie na otwartą wodę? — zapytałem.

Twarz Huttona powoli obróciła się ku mnie, w sieci zmarszczek wzrok pewny i czysty.

— Przegania nas. Ma jakieś trzy, cztery węzły więcej. Po prawdzie — i jego porysowana bruzdami twarz ułożyła się w coś, co mogło być ponurym uśmiechem — po prawdzie, od początku ma przody. Jest szybszy, ma lepsze urządzenia i lód mu nic nie szkodzi.

Wymieniliśmy spojrzenia z Chance'em, który ponaglił:

— Więc?

— No to go trochę wystrychniem na dudka — mruknął Hutton. — Im ciemniej, tym go lepiej wykiwamy.

— Jak go wykiwać — zapytałem z niedowierzaniem — z jego radarem i helikopterami?

— Zerknij no, braciszku, na nasz radar.

Spojrzeliśmy na zielonkawo połyskujący ekran, a Hutton sękatym palcem powiódł po zarysie lodu.

— Widzicie, nie? To śmichu warte, żeby lód tak odpękł, ale widzicie, co się stało?

Zobaczyłem. Wielka kra, na której przycupnęła wydra, miała kształt litery U i taki sam obrys miało pole, od którego się oderwała.

— Przyskrzynił nas w U, nie? — powiedział Hutton. — No to co teraz zrobi?

Potrząsnąłem głową.

Hutton roześmiał się całkiem szczerze.

— Będzie latał w górę i w dół, bo tak stoi w ichnich podręcznikach. Wypuści helikopter, tak na wszelki wypadek. I będzie se czekał. Dobra, jak tam ze światłem?

— Ściemnia się — powiedział Chance. — Szybko się ściemnia.

— To się troszkę poślizgamy — oznajmił Hutton.

„Gwiazda Polarna” poszła przez ciemną wodę jakimś dziwnym, chaotycznym, zygzakowatym kursem. Z kieszeni kożucha Hutton wyjął stare pudełko blaszane, a z niego zwitek ciemnego, połyskującego tytoniu. Zaczął go przycinać starym i pokrzywionym scyzorykiem, potem roztał ścinki w twardych palcach i nabił krótką, pękatą fajkę. Przypalił starannie, dociskając tytoń palcem wskazującym, aż wreszcie zaciągnął się ze smakiem. W ostrym nocnym powietrzu fajka zapachniała niezwykle przyjemnie.

Światło pospiesznie teraz przygasało, był pełny zmierzch. Widnokrąg raptownie się skurczył. Harry Hutton wyciągnął rękę i przekreślił wyłącznik.

— Lepiej pogasić te wszystkie świecidełka.

Zaciemniona teraz „Gwiazda Polarna” płynęła od jednego skraju kanału do drugiego, omijając pojedyncze wzgórki lodowe, to kierując się na wielką płytę, to wykręcając w kierunku kry.

— Na jego radarze wyglądamy jak zwariowana myszka, co chce czmychnąć przed kocurem. — Powiedział radośnie Hutton. — Patrzta na niego!

Zgodnie z jego przepowiednią, „Lenin” zawrócił w kierunku, z którego nadpłynął.

— Dobra — powiedział. — Czort wi, jak też długo ta mała to wytrzyma. Nie da nam siedzieć tu przez całuchną noc, nie ma dwóch zdań. Ale pewnikiem się przejedzie parę razy w górę i w dół, zanim cosik pocznie. No to podejźmy se do kry.

Maszyny „Gwiazdy Polarnej” niosły nas miękko przez wodę, wprawiając kadłub w lekkie drżenie. Nad nami, od południa, słychać było helikopter zataczający wolno koła. Jego światła połyskiwały na ciemniejszym niebie.

Barak znajdował się prawie na wygięciu U i „Gwiazda Polarna\*” zaczęła zygzakiem podchodzić do niego. Miałem nadzieję, że dwóch siedzących wewnątrz facetów wszystko ma przygotowane i że nie mieli żadnego wypadku.

Od czasu kiedy ich wysadzono, musieli przeżyć tu niezłe piekło, szczególnie gdy kra odłamy wała się. Będąc na ich miejscu trząsnąłbym się ze strachu; błagałem niebios, by nie spanikowali i nie odlecieli. Helikopter leniwie wykręcił na nocnym niebie w naszym kierunku. Pilot sprawdzał, co robimy, musiał być jednak zupełnie spokojny, że niewiele w ogóle możemy zrobić, gdyż przeleciał nad nami szybko i dość wysoko. Hutton zachichotał, wyminał rafę lodową i znów skierował się w stronę kry.

— Jeszcze kilkaset jardów i nie będzie nas widać z „Lenina” — odezwałem się.

Hutton przytaknął.

— Wtedy zaczęną się chłopaki denerwować. Nie od razu. Po kilku minutach. Kapujecie. Jak już nic nie widzisz na oczy.

Patrzyliśmy na błyskające światełka helikoptera i na nieruchome zielone i czerwone światła „Lenina” u końca jednego z ramion U. „Gwiazda Polarna” łagodnie wyhamowała, zasłonięta przez krę.

— Dajcie dźwig — powiedział Chance. Wstawił nogę w pętlę i szybko został podniesiony z pokładu na poziom powierzchni kry, osiem stóp wyżej, czy coś koło tego. Rozejrzał się, a potem powiedział w dół:

— Jakieś dwieście pięćdziesiąt jardów. Nie jest źle.

— OK. — Kiwnąłem na Haralda Ericsona; szybko został przeniesiony na lodową taflę, gdzie zaczął przypinać narty.

Ponad nami mogłem dosłyszeć głos Chance'a wydającego polecenia Ericsonowi.

— Wal tam i ostrzeż ich. Ale żadnych świateł, żadnego zapuszczenia silnika, aż my wszyscy znajdziemy się na górze. Jak już będziemy, zapuszczacie silnik wydry i suniecie do nas. Tutaj najłatwiej będzie załadować rannych.

— W porządku — Ericson zniknął z pola widzenia. Chance wychylił się.

— Podajcie ich tutaj.

— Dobra. — Najpierw założyłem hak na nosze Komarowa. Nasz pacjent zaczął w końcu odzyskiwać przytomność, ale teraz nic z

tym nie można było zrobić. W następnej chwili lekko zakołysał się nad pokładem i czyściutko wylądował na lodowej powierzchni. Za nim poszły nosze z Szarym Dymem. Meldrum zrobił krok do przodu i kciukiem ponuro wskazał na dziewczynę.

— Ej, rybak, może ją sobie weźmiesz? Z tej samej gliny co ty ulepiona, wredna dziwka.

— To się najlepiej poczuje w Szkocji. Bierzta ją.

Obstawiliśmy ją dokładnie w trakcie podróży na lód; ja i Meldrum na pokładzie, Chance na krze.

— Teraz ty — popchnąłem Meldruma.

— A co się stanie z naszym ówkiem? — zapytał.

— Nie martw się o mnie, kochasiu — powiedział Hutton. — I zwijaj się, bo matuleńka się zamartwi na śmierć.

Po kilku minutach wszyscy byliśmy na lodzie, spoglądając poprzez lód na składany hangar. Wydawało się, że nic się nie rusza w środku, nic też nie działo się w jego cieniu. Pod nami ruszyły silniki „Gwiazdy Polarnej”, która odbiła od ściany kry i skierowała się na środek kanału.

W chwilę później po krze rozszedł się warkot, jedna ściana budyneczku odpadła, a ja zobaczyłem niebieskopomarańczowe płomienie buchające z rury wydechowej silnika. Potem wydra wolno wytoczyła się na rozświetloną księżycową poświatą krę, a Ericson, ciągle na nartach, wskazywał ku nam. Wydra niezgrabnie wykręciła na swych płozach i zaczęła wolno sunąć w naszym kierunku.

Hałas robiony przez silnik Pratt i Whitney z trzyłopatkowym skrzydłem był ogłuszający; z hukiem rozchodził się po krze, potem przerodził się w wiatr, aż wreszcie zamarł o kilka jardów od nas. Z boku otworzyły się drzwi, z których zjechały schodki.

— Dobra! — krzyknął Chance. — Ładujemy ich.

Razem z Meldrumem chwyciliśmy nosze Jima Szarego Dymu i szybko wtaszczyliśmy je do małej kabiny, po czym zeskoczyliśmy po Komarowa. Ericson odpiął narty i stał o jakieś pięć—sześć jardów od wydry z karabinem gotowym do strzału. Kiedy ześlizgiwałem się z kabiny, zobaczyłem, że patrzy w niebo, a potem ogląda się.

— Szybciej. Zobaczyli nas.

Rozejrzałem się. Helikopter szybko i cicho przemieszczał się po nocnym niebie; dźwięk jego silnika ginał w naszym warkocie. Kiedy go dostrzegłem, właśnie gwałtownie opuszczał się na lód.

Trąciłem Chance'a i pokazałem mu.

— Wszyscy do środka, szybko! — krzyknął.

— Co z dziewczyną? — zapytałem. Spojrzał na mnie.

— Bierzymy ją. Chciała jechać z nami, niech jedzie. Może CIA wymieni ją później na kogoś innego.

Trąciłem ją lufą.

— OK — powiedziałem — wsiadaj.

Posłuchała niechętnie. Za nią poszedł Meldrum, potem Chance, powłócząc nogą po schodkach. Za nim wspiąłem się i ja, stanąłem przy Ericsonie, obserwującym helikopter. Nie było żadnej wątpliwości co do ich zamiarów. Maszyna unosiła się niziutko nad powierzchnią, raptem kilka stóp, drzwi miała otwarte na oścież. Za kilka chwil siądzie na lodzie i wysypią się z niej uzbrojeni żołnierze.

Ericson przyklęknął na jedno kolano i złożył się do strzału.

— Muszę nastraszyć pilota — powiedział spokojnie. — Jeśli teraz walną o lód, niewielu to przeżyje.

Przymrużył oko celując, ja zaś obserwowałem palec pociągający za spust. Chwila ciszy, a potem ostry, krótki trzask.

Przez noktowizor zobaczyłem, że szyba w kabinie pilota zarysowała się. Obok mnie szczęk repetowanego zamka, następny krótki trzask i gwiazda wykwitła na drugiej szybce. Ericson celował spokojny jak na strzelnicy, kciuk i palec wskazujący odciągające zamek, strzały padające jeden po drugim. Po pięciu trafieniach pilota opuściła zimna krew i helikopter nagle wzbil się poza zasięg strzału. Ericson pozwolił sobie na nikły uśmiech satysfakcji, patrząc, jak przeciwnik odskakuje.

— Zjeżdżajmy! — krzyknąłem do niego.

Przewieszał karabin przez plecy, gdy nagle odwrócił się, jakby coś zatrzymało go w pół kroku. Z rozdziawionymi ustami patrzył na drugi koniec kry. Schyliłem się, by pod kadłubem wydry zobaczyć to, co on.

— O Boże! — powiedział Ericson. — Skąd on się wziął?

Zobaczyłem światła „Lenina”. Były straszliwie blisko, ale przez chwilę nie kojarzyłem. Potem pod światłami dostrzegłem wielki okuty dziób atomowego lodołamacza.

Nagle wszystko stało się osłepiająco jasne. „Lenin” taranował naszą krę.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nie wiem, co mnie ostrzegło; jakiś błysk w kąciku oczu, może podświadoma reakcja na odległy dźwięk silnika. Cokolwiek to było, wturlałem się pod wydrę, wrzeszcząc do Ericsona. Gdy grzmotnąłem na lód, usłyszałem terkot karabinu maszynowego i odgłos kul rysujących ścieg po lodzie. Usłyszałem jęk i spojrzałem na Norwega.

Nad nami helikopter brał następny nawrót. Zerwałem się i rzuciłem do niego.

— Gdzie dostałeś?

Syknął z bólu pokazując mi dziurę w kurtce na prawym ramieniu, skąd tryskała już krew. Drugą widać było na udzie.

— Zjeżdżaj — powiedział. — Szybko.

— Odchrzań się — odrzekłem. Nie myśląc o bólu, jaki musiałem mu zadać, pociągnąłem go do wydry, z której do pomocy zeskoczył już Meldrum. Obaj podnieśliśmy Ericsona i zaczęliśmy mu pomagać wchodzić. Wysuwając lewą zdrową nogę namacał najniższy stopień, a my myśleliśmy tylko o podsadzeniu go, gdy nagle nas wszystkich trzech zmiotła gwałtowna burza, która wybuchnąwszy w kabinie przemknęła koło nas.

— Co się, u diabła, dzieje?! — krzyknął z wściekłością Meldrum zerwawszy się na nogi.

W drzwiach pokazała się twarz Chance'a.

— To dziewczyna.

— Karabin! — wrzasnąłem. Zabić ją to było to, o czym w tej chwili marzyłem.

Potrząsnął głową.

— Niech zjeżdża. Dawajcie tu Ericsona.

Na lodzie widać było krew. Ostrożnie podnieśliśmy go i podpierając swymi ciałami pomogliśmy mu wejść po schodkach i do kabiny.

— Ten sukinsyn rozwała krę — natychmiast wysapałem do Chance'a. — Musimy czym prędzej startować.

Ryk silnika spotężniał i poczułem, że wydra wykręca. Skoczyłem do kabiny pilota, gdzie w skrytce była zapakowana torba lekarska, ale w tym momencie po raz pierwszy w życiu zapomniałem zupełnie o pacjencie.

Przez przednią szybę dojrzałem helikopter wiszący nisko nad lodem i ostrzeliwujący nas, a za nim ogromny dziób „Lenina”, który najeżdżał na krę.

Kiedy uderzył, wielki kawał lodu cały się zatrząsł, a wraz z nim także i my w kabinie.

„Lenin” gładko wszedł w krę niczym siekiera w pniak i zobaczyłem, jak wielka rysa przebiegła przez płytę, odłupując dobrą jej ćwiartkę.

— Szybciej, na Boga! — krzyknąłem do pilota.

Ale i on dobrze widział całą scenę oraz to, jak olbrzym cofa się, biorąc rozpęd do następnego uderzenia. Już pierwsze wystarczyło, by lodowa płyta popękła, tworząc dziesięciostopową szczelinę, w której czerniała woda. Jeszcze jeden dobrze wymierzony cios i wydrze zabraknie miejsca na start.

„Lenin” niemal zupełnie wycofał się z lodu. Wydawało się, że przyswarował, zbierając siły do kolejnego morderczego uderzenia.

Teraz pokazała się dziewczyna; wybiegła przed wydrę wymachując rękami, a helikopter zniżył się, by ją podebrać. Pobiegła do czekających na nią otwartych drzwi, wspięła się i przez moment wydawało się, że maszyna wzięci w górę. Ale po chwili opadła tuż nad tafelę, o kilka stóp przed nami.

Zamiar pilota — czy dziewczyny — był prosty; trwając tak uniemożliwią wydrze wzięcie rozbiegu. Jeszcze jedna szarża „Lenina” pokawałkuje krę i wydra znajdzie się w potrzasku; potem wybiorą nas jak ryby z saka.

Krzyknąłem do tyłu o automat; upadł rzucony przez potykającego się Chance'a. Porwałem broń, przełączyłem na ogień ciągły i przez szybę wywaliłem cały magazynek w kierunku kabiny pilota. Już po

kilku strzałach helikopter osiadł ciężko na lodzie, ale strzelałem dalej, a jego łopaty ciągle wirowały.

Pilot zaczął wykręcać wydre, by ominąć helikopter, i przez po-  
twornie długie sekundy myślałem, że nic z tego nie będzie, że koniec  
skrzydła zawadził o łopaty unieruchomionej maszyny. Choć o włos,  
udało się jednak; mieliśmy szczęścia na kilkanaście cali.

Teraz pilot już nie zwlekał. Ręka złapała za drążek gaźnika i  
pchnęła go do przodu. Pratt i Whitney ryknął jak burza rewolucji.  
Pilot odblokował hamulce i wydra ruszyła.

Nie mogłem oderwać oczu od „Lenina”. Trzy śruby ogromnego  
lodołamacza bardzo szybko znów popchnęły go do przodu i sunął  
teraz na krę, opancerzony dziób o kilka stóp od krawędzi lodu. Wydra  
z ośmioma osobami na pokładzie, obciążona paliwem na długi prze-  
lot, potrzebowała trzystu jardów na start, a jedyna część kry dająca  
taki dystans prowadziła wprost na „Lenina”!

Stałem tam, mięśnie napięte do ostatnich granic, nic nie mogący  
zrobić, lód wibrował pod płozami, a samolocik sunął ku miejscu, w  
którym lodołamacz miał właśnie rozszczepić lód.

Wydra sunęła coraz szybciej, ale ciągle rozpaczliwie wolno; ręce  
pilota nieruchome na drążku. Dziób „Lenina” nieubłaganie nadpły-  
wał: uderzy w lód idąc z szybkością dziesięciu węzłów, całą mocą —  
jeszcze dwadzieścia stóp... dziesięć... pięć. Już! Lód biało pod nami  
przelatywał, wskazówka szybkościomierza wychylała się coraz bar-  
dziej, obroty silnika rosły.

Rysę pęknięcia zobaczyłem na moment przedtem, zanim usłysza-  
łem jego huk. Od miejsca, w którym lodołamacz uderzył w krawędź  
lodu, z nieprawdopodobną szybkością wybiegła wijąca się linia, prze-  
poławiając krę. Ponad rykiem silnika, przez rozbitą szybę doszło mnie  
wyraźne, dziwaczne krach-ach-krach pękającego lodu.

Czarna rysa pognąła w kierunku wydry, kiedy „Lenin” wrzynał się  
w lód, pchany przez swój atomowy napęd. Gdyby szczelina wykwitła  
przed nami, samolot najpewniej zaryłby się w nią, lądując na grzbie-  
cie.

Mała wydra mknęła przed siebie, pilot z napięciem wpatrzony w  
zegary. Nigdy nie pojmem, jak udało mu się odwrócić wzrok od czarnej  
linii, lecącej ku nam jak strzała.

Widziałem jego dłonie zaciśnięte na drążku, ale zastygłe bez ru-  
chu.

Wydra i pomykająca szczelina zbliżały się do siebie ze straszliwą szybkością; jeszcze chwila, a rysa pożre lód podpierający samolocik.

Wtedy dłonie poruszyły się: spokojnie, z uczuciem, ale pewnie, kostki zbieleły pod skórą. Widziałem, jak powietrze wpływające pod skrzydła unosi nos wydry. Rysa była tuż przed nami, węzową błyskawicą rozcinając lód. Z przerażeniem patrzyłem, jak sięga samolociku. Szalony los rozewrze ją przed naszymi płozami; byłem pewny.

Sekundy bieły, a potem nagły wstrząs rzucił mnie na kolana; zerwałem się w napięciu czekając na katastrofę, której nie było. Kochana wydra wzbila się w powietrze.

Nie mogłem oderwać oczu od gnającej rysy i niezgrabnie wykręciłem się w ciasnej kabinie, by widzieć krę pod mną. W lodzie musiała być różnica naprężeń, gdyż na dole dokonały się rzeczy dziwne i straszliwe. Mniej więcej na dwóch trzecich długości kry rysa gwiazdziście się pomnożyła. Od centralnego punktu rozbiegło się kilka szczelin, przemykając lód i dalej rozdzielając się na mniejsze pęknięcia. Z lodem zrobiło się to, co przydarzyło się mojej szybie w Central Parku. Plecionka błyskawicznie sięgnęła znieruchomiałego helikoptera, linie przemknęły pod nim, za niego, dookoła, tak że wyglądał jak owad uwięziony w straszliwej sieci pajęczej.

Przez chwilę wszystko trwało w bezruchu, a potem lód zaczął się poruszać, szarpany przez różnokierunkowe napięcia. Wielkie bloki zaczęły się wypiętrzać, miażdżyć, obracać i wirować. Widziałem, jak helikopter powoli nachyla się nad czarną wyrwę, która rozstąpiła się pod nim. Potem kawał, na którym stał, chyba się wyprostował na chwilę, zanim ogromna siła zakręciła nim jak kostką w mikserze, a helikopter osunął się w czarną wodę i zniknął w wirze kotłującego się lodu. Tam, gdzie przed chwilą stał helikopter, widać teraz było wielką krę, a ja patrzyłem wstrząśnięty tym, co się dzieje. W tym momencie umierali tam ludzie: pilot, załoga, żołnierze. I Natalia. W zmrożonej wodzie dusili się teraz, przynięceni ogromnym, nieubłaganym ciężarem wirującego lodu...

Nie tak szybko można się z czegoś takiego otrząsnąć. Ale można. Po jakiejś chwili znowu zobaczyłem „Lenina” przedzierającego się przez lód i fosforyzujący ślad, który znaczył tor szypra Huttona. „Gwiazda Polarna” ciemniała w oddali, bliska krańca płyty lodowej,

a przed nią były już otwarte wody. Pięć mil dalej płynęła ku niej gromadka stateczków. Było ich sporo; uśmiechnąłem się: trudno, by „Lenin” aresztował na wodach międzynarodowych całą flotę rybacką z angielskiego portu Hull.

Zabrałem torbę lekarską i poszedłem do kolegów. Ericson miał szczęście; obie kule przeszły na wylot, a ta, która ugodziła go w ramię, ominęła płuco. Podałem mu morfinę i penicylinę, opatrzyłem rany i wreszcie usiadłem.

Kabina wydry stała się wielką sypialnią; wszędzie widać było pogrążonych we śnie. Iain Meldrum porządnie ułożony w fotelu, nawet we śnie zorganizowany i sprawny. Ericson jak napięta sprężyna, nawet w chwili wytchnienia: lekko w nim pogrążony, stale gotów, by się czujnie ocknąć. Przeciwnie Chance, ten spał z odrzuconymi rękami, głośno pomrukujący i pochrapujący. Biedny Jim Szary Dym, odurzony lekarstwami, piękna miedziana skóra teraz bledsza; do czasu przynajmniej był nieświadom bólu w swoich nogach. Dziś wieczór w Thule, gdy wieść go będą na salę operacyjną, muszę się dobrze upewnić, że w tej bezosobowej drużynie usług medycznych będzie przynajmniej jakaś przyjazna dusza.

A Komarow wciąż spał na noszach ustawionych na podłodze kabiny, oddech równy i spokojny. Wpływ benzedryny minął już; sen był straszliwie zaraźliwy. Ziewnąłem raz i drugi; coraz cięższe powieki zaczęły opadać. Kilka razy podnosiłem je z wysiłkiem, ale w końcu nie miałem już ani siły, ani chęci.

Piętnaście sekund później obudziło mnie wierzgnięcie Chance'a; długa noga wyciągnięta przez przejście, filcowy but dźgający mnie w łydkę.

— Weź tę nogę — powiedziałem.

— Pacjent się zbudził, panie doktorze — oczami wskazał podłogę kabiny, chcąc sobie oszczędzić ruchu głowy. Spojrzałem w dół. Komarow poruszył rękami i nogami, odchrząkiwał.

— Dzięki za wiadomość. — Podnosząc się zerknąłem w kierunku Chance'a, ale ten znowu zasnął. Klęknąłem koło noszy Komarowa, patrząc, jak jego powieki drgnęły, uniosły się na chwilę i znowu zamknęły. Po sekundzie znowu się otworzyły i tak już pozostały. Oczy były pełne zdumienia.

— Jest pan w drodze do Ameryki, panie profesorze — odezwałem się.

— Ameryki? — uniósł głowę i rozejrzał się po ciasnym wnętrzu kabiny, po zmordowanych i poranionych ludziach. — Ale jak...?

— Pańska wiadomość dla profesora Warda. Przylecieliśmy pana zabrać. — Będzie jeszcze czas powiedzieć mu o Wardzie.

— Przylecieliście? Na Nową Ziemię? — Oczy szare, nieustępliwe, teraz zadziwione.

— Uznaliśmy, że to bardzo ważne. Przytaknął.

— Tak, to bardzo ważne. O wielu rzeczach muszę opowiedzieć.

— W Waszyngtonie wysłuchają pana z wielką ochotą.

Spoglądał na mnie, mrugając oczyma. Wzmianka o Waszyngtonie wstrząsnęła nim; słowa i cała ta sytuacja zaczynały do niego powoli docierać. Trzeba powiedzieć, że jak na człowieka, który zasypiał pod strażą w jednym kraju, a budził się na podłodze niewielkiego samolotu, znajdującego się Bóg wie gdzie, profesor przystosowywał się bardzo szybko. Po krótkiej chwili ze skóry na czole powoli zaczęły ustępować zmarszczki niepokoju; wygładziła się i pojaśniła. Leciutko się uśmiechnął.

— To może być bardzo interesujące — powiedział. — Dziękuję. Cóż było jeszcze dodać.